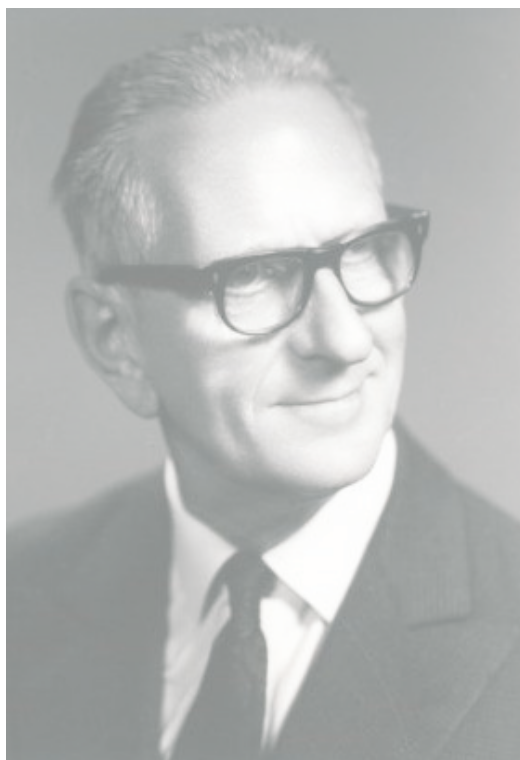


George Bidwell



KOLEKCJA JELENIOGÓRSKA

WALTER SCOTT



KSIAŻNICA
KARKONOSKA

Kolekcja Jeleniogórska Georga Bidwella jest wynikiem pasjonującej i twórczej współpracy z Panią Sybillą Bidwell i Krystyną Bidwell-Porębską, córkami Pisarza.

Jesteśmy za to niezmiernie wdzięczni

Danuta Sawicz

Dyrektor JClIER „Książnica Karkonoska”

KOLEKCJA JELENIOGÓRSKA

GEORGE BIDWELL

WALTER SCOTT

Przekład z języka angielskiego

ANNY BIDWELL

JClIER Książnica Karkonoska
Jelenia Góra 2018

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	1
POTOMEK SZLACHTY POGRANICZA	3
KSZTAŁTOWANIE SIĘ CZŁOWIEKA	8
ZAKOCHANY.....	13
ROZSĄDNA UMOWA	19
GOSPODARKA.....	24
PIERWSZY KROK KU KATASTROFIE	30
„PLUJĘ PROSTO DO RZĘKI TWEED”	37
„WAYERLEY” i ”PAN TADEUSZ”	44
LAIRD ABBOTSFORDU.....	49
SZACH I MAT AUTOROWI „WAYERLEYA”	55
„CZARNY KARZEŁ” I ”OLD MORTALITY”	61
TRIUMFY LITERACKIE I OSOBISTE.....	68
LAIRD I JEGO PODDANI.....	76
TWARZĄ W TWARZ Z RZECZYWISTOŚCIĄ.....	82
MONARCHOWIE TRZECH DYNASTII	88
„CONUNDRUM CASTLE”	95
UDERZENIE PIORUNA	101
BURZA.....	106
„W UMYŚLE MOIM JEST KRÓLESTWO MOJE”	111
KONIEC „WIELKIEGO ANONIMA”	116
„ROZDAWAŁ NIEWINNĄ ROZRYWKĘ”	122
SPIS ILUSTRACJI	125

*Moim zdaniem,
Walter Scott jest człowiekiem tak doskonale szlachetnym,
jak tylko człowiek być może.*

Lord Byron w liście do Stendhala, 29 maja 1823 r.

POTOMEK SZLACHTY POGRANICZA

Krępa, niska niańka w obcisłym staniczku i długiej, fałdziej spódnicy, złożyła swego półtorarocznego wychowanka na wrzosowisku. Przez chwilę pozwoliła mu przewracać się, kopać nóżkami w powietrzu, gaworzyć, spoglądać na owce, pasące się na pobliskich zboczach, i na krowy, sennie przeżuwające w słońcu. Trzymała rękę w kieszeni fartucha, palcami dotykając dużych nożyc, które wyostrzyła umyślnie dla swych morderczych celów.

Niańka nie była młodziutką, uśmiechniętą dziewczyną; zbliżała się do trzydziestki. Miłość zamąciła równowagę jej umysłu. Tęskniła do kochanka, który był w Edynburgu, chciała koniecznie powiedzieć mu o tym, co już podejrzewała od pewnego czasu, a czego teraz była pewna. Nie mogła pozostać w wiosce Sandyknowe, gdzie każdy będzie wytykał ją palcem, gdzie pastor zgromi ją publicznie, gdzie jej pracodawcy, dziadkowie dokazującego na wrzosowisku malca o bezwładnej prawej nodze, wymówią jej pracę ze zgorszeniem i słowami nagany. Była jak nieprzytomna. W chłopcu widziała przeszkodę, dzielącą ją od ukochanego w Edynburgu: gdyby małego nie było, mogłaby uciec. Ale przecież swego pupila nie opuści. Więc postanowiła go zabić, aby nie istniała przeszkoda w jej ucieczce. Obłąkana logika prowadząca do obłąkanego postępu. Miłość i strach odebrały jej rozum.

Stała odwrócona plecami do chłopca. Wyjęła nożyce z kieszeni, nie patrząc na nie przesunęła palcem po ostrzu. Było tak ostre, że skaleczyło ją. Strzepnęła czerwone krople na wrzosa i odwróciła się do swojej małej ofiary. Chłopiec położył się na plecach — jasne włosy spadały mu na czoło — i obdarzył nianię uśmiechem dziecięcej ufności. Ten uśmiech otrzeźwił nieprzytomną. Upuściła nożyce, rzuciła się na kolana przed dzieckiem i zaczęła obsypywać pocałunkami jego twarzą, płamiąc przy tym krwią, kapiącą ze skaleczonego palca, jego długą białą bluzę.

Wreszcie wstała, dygocąc jeszcze w histerycznym strachu na myśl o tym, co zamierzała zrobić, i odrzuciła wyostrzone nożyce tak daleko we wrzosa, jak tylko mogła. Podniosła chłopca, który krzywił się na widok krwawych plam na bluzie, i pobiegła pędem z powrotem do Sandyknowe.

Mały Walter prędko zapomniał o krwi na swojej bluzie podskakując w ramionach niani i udając, że kłusuje na koniu. Owce, które mijali, podnosiły chwilami łby i beczały na obcych. Chłopiec zaciśniętą piąstką wskazywał szczyty gór Cheviot, naturalną granicę dziedziny szkockich i angielskich. Za mały był jeszcze, aby interesować się śladami dawnych rzymskich obozów, które później miały rozpalać jego umiłowanie historii.

Wróciwszy do dworu w Sandyknowe, spotkali w wielkiej sieni gospodynię. Chłopiec zaraz z dumą pokazał krew, która zaschła na jego bluzie. Przestraszona gospodyni zaczęła ostro wypytывать niańkę, która załamała się i opowiedziała całą historię, wyznając również przyczynę rozpacz. Tego wieczoru młoda kobieta opuszczała na zawsze dom swoich chlebobawców, jadąc z tobołkiem na wózku, którym zwykle wożono mleko. Wyostrzone nożyce pomogły więc do osiągnięcia celu. Wyjechała, a kulawego chłopca ocalił jego własny dziecięcy urok — ocalił dla Szkocji, Wielkiej Brytanii i całego świata.

Chłopiec nazywał się Walter Scott i urodził się jako dziewiąte dziecko swoich rodziców dnia 15 sierpnia 1771 roku w Edynburgu, w domu przy ulicy zwanej College Wynd. Dzielnica ta nie wyróżniała się zdrowotnością. Miasto rozwijało się szybko i nawet ludzie zamożni, jeśli nie wybudowali własnego

domu, nie mogli dostać odpowiedniego mieszkania. Wąskie, małe okna wychodziły na zaułki ciasne, zaśmiecone, cuchnące, po których buszowały świny. Świeże powietrze i światło dochodziło swobodnie tylko do dzielnic na skarpie, gdzie mieściła się stara uczelnia szkocka — Edinburgh College. Choroby, zrodzone w brudzie i zatrutym powietrzu, zabrały już sześćcioro dzieci Scottów. Wreszcie, wkrótce po przyjeździe na świat Waltera, rodzina przeprowadziła się z tego gnijącego przedmieścia do przyjemnego domu na George Street, otoczonego starannie utrzymywanym ogrodem, gdzie do okien docierały świeże powiewy od Gór Pentlandzkich na południu i od zatoki Firth of Forth.

Ojciec chłopca nosił również imię Walter. Był prawnikiem, dla prawa sprzeniewierzył się swojej posiadłości w Sandyknowe. Chociaż miał rozległą praktykę, fortuny się nie dorobił. Bezwzględnie szczerzy i uczciwy, ale zbyt prostolinijny w ocenie ludzi, Walter Scott-ojciec więcej tracił, pożyczając swoim klientom pieniądze, których oni nigdy nie zwracali, aniżeli otrzymywał od nich tytułem honorariów za swoje usługi w dziedzinie prawa. Jego uczciwość znajdowała odzwierciedlenie w kalwińskiej surowości życia z powodu której dom Scottów nie był przyjemnym ogniskiem rodzinnym. Niedziele poświęcano wyłącznie modlitwom i czytaniu kazań. Starano się nawet nie rozmawiać. Pan domu rzadko kiedy wypijał kieliszek wina — w epoce, w której wysączano całe beczki trunków. Jeżeli gość pochwalił jego żonę, iż gotuje wyborne, pożywne zupy, Scott dolewał do swego talerza wody. Wydaje się, że jego jedyną rozrywką było studiowanie dzieł teologicznych i uczęszczanie na pogrzeby swoich niezliczonych kuzynów.

Żona tego szkockiego prawnika, tak surowego i bezwzględnego wobec siebie i wobec rodziny, a tak nadmiernie łagodnego w stosunku do swoich klientów, Anna, była córką Johna Rutherforda, profesora medycyny na uniwersytecie edynburskim. Niska, nieładna, domatorka i lubiąca gości, była prawie tak samo nieugiętą kalwinką, jak i Walter Scott-ojciec. W wieku lat osiemdziesięciu siadając na krześle nigdy nie dotknęła plecami oparcia. Lubiła recytować stare ballady, w ogóle jeszcze nie drukowane, których słuchanie było największą rozkoszą małego Waltera. Tematem tych ballad były zamieszki pograniczne z owych czasów, kiedy Szkocja walczyła o zachowanie niepodległości, przygody jej najdzielniejszych synów, którzy najeżdżali sąsiednie ziemie angielskie, albo symboliczne zawiłości genealogii szkockich klanów. Do swego dziewiątego dziecka była tym bardziej przywiązana, że mały chorował często. Opowiadała mu kiedyś o człowieku, który na własne oczy widział Cromwella, wjeżdżającego do Edynburga na czele zwycięskiej armii. „Nikt na świecie nie miał lepszej matki — pisał jej syn, gdy umierała — I jeśli cokolwiek w moim życiu osiągnąłem, zawdzięczam to w największej mierze jej pierwszym namowom i zachętom do nauki!”

Szkocja w epoce, w której urodził się Walter Scott, była krajem ubogim, zacofanym, zaniedbanym przez Anglię. Podróżni wspominali głównie o dzikich pustkowiach, podłym klimacie, ubóstwie miast, nędzy wsi, kiepskich drogach i jeszcze gorszych oberżach. A jednak Glasgow i Leith — dwa wyjścia na morze — Stawały się coraz ważniejszymi portami. Wydobycie węgla i rudy żelaza, przemysł tekstylny — wełniany i lniany — przyczyniały się z wolna do wzrostu majątku narodowego. Rolnictwo rozwijało się i przechodziło na nowocześniejsze metody. Myśl szkocka zdobywała sobie uznanie nie tylko w dziedzinie ekonomii politycznej — reprezentowanej przez Adama Smitha — ale i w historii, filozofii i teoriach estetyki, i to uznanie nawet w Londynie, bardziej skłonny do szyderstw niż do pochwał.

Co prawda, małego Waltera nie interesowały jeszcze ówczesne warunki życia w Szkocji. Ballady i opowiadania matki o dawnych bohaterach od dzieciństwa skierowały jego myśli w przeszłość.

Urodził się w Edynburgu i z Edynburgiem przez całe życie wiązały go sprawy zawodowe, ale z krwi pozostał człowiekiem Pogranicza, najżywiej go obchodziły sprawy Pogranicza, największą przyjemnością było słuchanie żyjących jeszcze wówczas harfiarzy i skrzypków, wędrownych minstrelów, którzy budzili jego młodocianą wyobraźnię czarodziejskimi melodiami, a umysł napełniali opowieściami o bohaterstwie.

Jego przodkowie byli ludźmi, którzy w średniowieczu mało dbali o królewskie prawo i ład, w wojnach o szkocką niepodległość najeżdżali nocami granicę, a w nowszych czasach uprawiali rozległe połacie ziemi, kochali się w sportach i wszelkich rodzajach myślistwa. Wioski Pogranicza zamieszkiwali rzemieślnicy uniezależnieni od miast, a pasterze w górach tworzyli oddzielne społeczności o dość dziwnym charakterze. Byli piśmienni i nabożni, ślepo trzymali się tradycji i wierzyli we wróżki, pojawiające się letnią, ciepłą nocą.

Spokrewnieni z młodym Walterem Scottowie z Buccleugh byli możnym rodem, którego wpływy obejmowały nie tylko Szkocję, ale i całą Wielką Brytanię. Historię tego rodu cechował niezachwiany patriotyzm, czym nie wszyscy arystokraci szkoccy mogli się poszczycić: ten sprzedał swój honor za złoto, tamten zdradził szkockiego króla albo pretendenta do tronu. Do krewnych również zaliczali się Scottowie z Harden, z którymi młodego Waltera, jego rodziców i rodzeństwo łączyły najściślejsze więzy. Rutherfordowie, rodzina ze strony matki, także z Pogranicza, szczylic się przodkami jeszcze dawniejszymi niż ktokolwiek ze Scottów. Walter Scott napisał w liście do Urzędu Heraldycznego z okazji przyznania mu tytułu baroneta: „Moi przodkowie na trzysta lat przed zjednoczeniem królestw mordowali, rabowali i kradli, jak przystało szlachcie Pogranicza; a od panowania króla Jakuba do rewolucji angielskiej, mając szarżę w wybranej przez Boga armii parlamentu, śpiewali psalmy i zabijali z modlitwą na ustach; prześladowali innych i sami byli prześladowani za panowania ostatnich Stuartów; polowali, pili wino, buntowali się i odbywali pojedynki aż do czasów mego dziada i ojca.”

Od pierwszych dni życia chłopiec był słabego zdrowia i wciąż pod opieką lekarzy. Fakt, że pomimo lekarskiej opieki żył nadal, pozwala przypuszczać, iż wcale nie był taki słabowity, wręcz przeciwnie, bardzo odporny; żeby wytrzymać ówczesne kuracje — puszczanie krwi, stawianie baniek i tykanie zwierzęcych odchodów — trzeba było mieć żelazny organizm. Gdy miał osiemnaście miesięcy, ząbkował i dostał gorączki. Położono go do łóżeczka, a kiedy obudził się następnego dnia, okazało się, że nie włada jedną nóżką. Zachorował prawdopodobnie na paraliż dziecięcy (Heine-Medina), ale w owych czasach medycyna nie potrafiła leczyć tej choroby. Ojciec jego matki, profesor Rutherford, zachował zdrowy rozsądek. Poradził wysłać chłopca do jego dziadków w Sandyknowe. Żadnej kuracji nie zastosował, ale orzekł, iż świeże powietrze i życie na wsi powinny wzmocnić organizm małego pacjenta.

W późniejszym życiu Walter Scott miał zatriumfować nad kalectwem, tak wcześnie nabytym. I gdyby to nie było okrucieństwem, można by powiedzieć, że myśmy skorzystali na tym, iż Walter Scott nie wstępował w życie jako mężczyzna w pełni sił fizycznych. Marzył zawsze o wojsku, ćwiczeniach, manewrach i bitwach. Z pewnością poświęciłby się karierze wojskowej. Ponieważ nie mógł tego uczynić, prowadził swych żołnierzy i rozgrywał bitwy — na papierze, na czym skorzystały pokolenia czytelników bez rozbicia choćby jednej głowy albo zastrzelenia prymitywną bonią palną jednego wojaka.

Właśnie podczas tego pobytu w Sandyknowe chromy chłopiec uniknął śmierci z rąk niańki. Opiekę miał później serdeczną, choć tego rodzaju, że mogłaby się wydawać dość prymitywną współczesnym

oczom. Jego „pierwsza świadomość egzystencji”, jak pisał późniejszych latach, była niemiłym wrażeniem; owinięto go nagiego w skórę świeżo zabitej owcy. Aby kuracja skutkowała, uważano za konieczne, żeby pacjent się spocił. Więc ktoś, kto zajrzałby przez okno do jadalni w Sandyknowe przy takiej sposobności, ujrzalby poważnego dziadka, ciągnącego zegarek po podłodze, aby zachęcić wnuczka, owiniętego w owczą skórę, do czołgania się za nim.

Wciąż spotykamy się z owcami w historii leczenia chłopca i przywrócenia mu przynajmniej częściowo władzy w chromej nodze. Jeśli pogoda sprzyjała, niańką był mu pastuch, który kładł chłopca między skałami, skąd mógł śledzić owce, szukające kępek trawy i smakowitych liści krzewów. Przyjacielem jego był również oborowy, który lubił sadzać sobie panicza „na barana” i nosić go po całym gospodarstwie, a wreszcie kłaść go na słomie w oborze, by się przypatrywał dojeniu. Chłopiec dostał w prezencie małego kuczka szetlandzkiego, który wkrótce zastąpił oborowego w charakterze wierzchowca. Od tej pory jeździł po obejściu i po wrzosowiskach, a kucyk prędko nauczył się jeść z ręki swego małego pana i ostrożnie wchodzić za nim do dworu w Sandyknowe.

Przyjemnie mijało lato, a zima przynosiła nowe radości. Babka, schylona nad igłą, opowiadała o dawnych dziejach i zdarzeniach z życia przodków chłopca, tych samych, co to „mordowali, rabowali i kradli, jak przystało szlachcie Pogranicza”. Jego ciotka Janet, która mieszkała z rodzicami, czytała mu ballady, z których najdłuższe mógł recytować na pamięć, usłyszawszy je tylko raz, gdy miał cztery lata. Jego skłonności do popisywania się świetną pamięcią i ciągłego recytowania długich wierszy zirytowały pewnego razu miejscowego wikarego, który również kochał się we własnym głosie. Wykrzyknął: „Łatwiej byłoby mówić w obliczu paszczy armatnich, niż przy tym dziecku” Legendy te i ballady były szczególnie żywe w okolicy, gdzie każdy kamień przypominał dzieje Pogranicza. O paręset jardów od dworu wznosiła się wieża, ze szczytu której chłopiec spoglądał na pola rozlicznych bitew i utarczek między klanami Pogranicza, włącznie z własnymi pradziadami Waltera, a żołnierzami angielskimi przekraczającymi granicę, by pomścić jakieś uprowadzone bydło angielskich farmerów.

Z tego wyniosłego punktu mógł widzieć doliny rzek Teviot i Tweed płynących wśród zielonych łąk, góry Lamermuir skryte wśród ciemnych mgieł, stare siedziby różnych krewniaków rodziny Scottów, z których każda miała swoją własną historię.

Obdarzony fenomenalną pamięcią chłopiec gromadził w umyśle wszystkie legendy, zapamiętywał wszystkie szczegóły. Lata miały dodawać wciąż do tego skarbcza wiadomości, które przetworzył następnie serię w romansów, wprowadzając w czyn własne słowa: „To nie wiedza sama, lecz użytek, jaki z niej robimy, daje rzeczywiście dobroczynne rezultaty”.

Nawet w dzieciństwie literackie wykształcenie Waltera nie ograniczało się jedynie do ballad i podań pogranicza. W miejscowości kuracyjnej Bath, na południu Anglii, dokąd go zawieziono w nadziei wzmocnienia chromej nogi, którą niezupełnie dotykał ziemi, brat jego ojca, kapitan Robert Scott, zabrał go do teatru na Szekspirowską sztukę *Jak wam się podoba*. Na chłopcu, wychowanym w romantycznej krainie baśni, uniesienie kurtyny, odkrycie tego nowego świata, magicznego, a jednak ziemskiego, wywarło oszałamiające wrażenie. Pochylony, kurczowo uchwyciwszy się oparcia krzesła o rząd przed nim, wytrzeszczył oczy, nastawił uszu, by nie uronić najmniejszego szczegółu. Gdy Orlando i Oliver się pokłócili, chłopiec nie mógł pohamować głośnego okrzyku: „Czyż nie są braćmi?” Stryj powstrzymywał go tłumiąc śmiech. Gdy kurtyna zapadła po raz ostatni, chłopiec

wciąż jeszcze siedział nieruchomo. Stryj pociągnął go, ale chłopiec przez dłuższą jeszcze chwilę nie mógł powrócić ze świata teatru do rzeczywistości.

Wkrótce miał się przekonać, że rodzeństwo rzadko kiedy żyje ze sobą bez kłótni. Gdy miał sześć lat, spędził zimę w domu swoich rodziców w Edynburgu przy ulicy George'a. Tam przekonał się, że chroma noga oddzielała go od własnego rodzeństwa, które lekkimi stopy biegło przez łąki, rowy i żywopłoty. Jego musiała przenosić służąca, zniecierpliwiona i szydząca z małego kaleki. Jednocześnie jego umysłowa wyższość, coraz wyraźniejsza, budziła niechęć rodzeństwa.

Znał już Homera w przekładzie angielskiego poety, Aleksandra Pope'a. Pewien przyjaciel rodziny widział sześciolatniego malca czytającego *Raj utracony* Milтона, o którym to utworze powiedział: „Jakie to dziwne, że Adam, zaledwie przyszedłszy na świat, już tyle wiedział.” Z pewnością wszystko to ściągało nań szyderstwa jego bynajmniej nie intelektualnie nastawionych braci. A co gorzej, jego matka, która nazywała go „Wattie, moje jagniątko” — nazywała go tak i wówczas, gdy już był sławny i miał tytuł baroneta — nie kryła wcale faktu, że to kulawe jagnię jest jej faworytem.

Najstarszy z pozostałych przy życiu braci Scottów był w marynarce. Opowiadał Walterowi przerażające i zapewne nieprawdziwe przygody, których zaznał. Ale kiedy indziej dręczył go, nie szczędząc kuksańców i kopniaków. Drugi brat, John, chłopiec posępnego usposobienia, zawsze niechętnie odnosił się do Waltera. Trzeci, młodszy od niego Daniel, był zbyt tępy, aby znaleźć jakikolwiek wspólny język z tym bystrym umysłem, wykarmionym na romantycznych historiach. Tylko z Tomem, również młodszym, o miłym charakterze i żywym umyśle, zdołał zawrzeć trwałe przymierze. Jedyna siostra, Anna, chorowita i lękliwa, uważała braci za awanturników, których należy tolerować, ale lepiej trzymać się od nich jak najdalej.

Kulawy i rozmiłowany w książkach, młody Walter potrafił jednak tyranizować domowników. Wpadał niekiedy w obłąkaną pasję, w której nie liczył się z nikim i jak młody podrażniony byczek atakował wszystko, co na drodze. Zanim jeszcze poszedł do szkół, dowiódł swemu krewniakowi, Scottowi z Raeburn, jak potrafi być groźny. Walter przypatrywał się zabijaniu szpaków, które dziesiątkowały owoce na drzewach. Chłopiec rozumiał konieczność usunięcia szkodników. Ale ani wtedy, ani kiedykolwiek potem nie tolerował tego, co osądzał jako bezmyślne okrucieństwo. Jeden z naganiaczy, znalazłszy młodego szpaka, dał go chłopcu, który zabrał się do osławiania ptaszka, karmiąc go okruszynkami. Niespodziewanie jego kuzyn zobaczył szpaczka i pochwyciwszy go w chwili, gdy Walter go karmił, ukręcił mu łeb. Przez krótką chwilę Walter z zaciśniętymi pięściami, z nienawiścią w oczach wpatrywał się nieruchomo w kuzyna. Wargi Scotta z Raeburn wygięły się w szyderczym uśmiechu i zaczął mówić o szpakach, które należy zabijać, a nie hodować, gdy przerwało mu w pół słowa coś, jakby uderzenie twardej piłki w pierś. Ostre paznokcie wpiły się w skórę jego szyi. Chwycił rękę Waltera, ale ten tylko przywarł mocniej i kopał jednocześnie z całych sił uda swego kuzyna. Naganiacze z trudnością oderwali chłopca od Scotta z Raeburn, który uspokoiwszy się obrócił tę napaść w żart.

Ale Walter Scott nigdy nie zapomniał okrucieństwa swego kuzyna i nigdy w przyszłości nie utrzymywał z nim żadnych bliższych stosunków.

KSZTAŁTOWANIE SIĘ CZŁOWIEKA

Ośmioletni Walter siedział w drugim rzędzie w klasie starej, owianej tradycjami szkoły w Edynburgu. W pierwszym rzędzie, na lewo od niego, siedział jego główny rywal, którego nie mógł prześcignąć w odpowiadaniu nauczycielowi.

Właśnie pytano prymusa. Wstał i odpowiedział powoli, z namysłem, a tak dokładnie i ściśle, że musiał zdobyć najlepszy stopień. Walter obserwował go i zastanawiał się. Sam był inteligentnym i byстрыm uczniem. Ale nie mógł odpowiedzieć lepiej. Więc jeśli nie może prześcignąć prymusa, musi tamtego ściągnąć w dół. Pytano innych w klasie, a potem znowu chłopca w pierwszym rzędzie. I znowu odpowiadał z namysłem, uważnie, nie odbiegając od tematu, nie dając się ponieść wyobraźni. W brązowych oczach Waltera załśnił podejrzaną błysk.

Nauczyciel zamknął książkę, powiesił swoją laskę — narzędzie dyscypliny na ramieniu i opuścił klasę. Półgodzinna przerwa dzieliła ich od następnej lekcji. Chłopcy wybiegli na dziedziniec, podrzucając piłkę. Walter szedł ze swoim rywalem, mówiąc, że zrobiło się ciepło i doradzając mu, aby zdjął marynarkę i kamizelkę, zanim się zabierze do gry. Chroma noga Waltera uniemożliwiała mu udział w grach. Gdy inni biegali i kopali, atakowali i bronili, Walter, jak zwykle, pilnował stosu porzucanego ubrania wykrzykując czasem słowa zachęty lub potępienia. W pewnej chwili schylił się szybko i w rękę jego błysnęło ostrze szczyryka.

Z powrotem w klasie Walter z napięciem oczekiwał wyniku swojego podstępu. Chłopiec w pierwszym rzędzie na lewo wstał znowu, by odpowiedzieć na postawione mu pytanie. Zachowywał się tak jak poprzednio, gdy Walter go obserwował. Palce jego powędrowały na wpół bezwiednie do pewnego określonego guzika na kamizelce: gmerał chwilę — nie mogąc znaleźć guzika. Chłopiec spojrzał w dół: guzik znikł. Prymus spieszył się zupełnie i przepadł: zająknął się, nie mógł zebrać myśli, nie umiał znaleźć właściwych słów. Walter zerwał się na nogi z podniesioną ręką. Kazano mu odpowiedzieć. Walter mówił z zapałem i pośpiechem, słowa aż się przelewały, ale nie tracił logicznego wątku. Zajął miejsce swego rywala — na czele klasy. I czule pieścił szczyryk, który przyniósł mu powodzenie tam, gdzie wysiłki intelektualne zawiodły.

Był zachwycony powodzeniem swego podstępu, a jednocześnie poruszyło się w nim sumienie. Wciąż zamierzał wyznać, że to on odciął guzik mądrości swemu koledze, ale nigdy się na to nie zdobył. Wielu ludzi ma na swym sumieniu jakiś grzeszek młodości; najgorsi zapominają i niczego się nie mogą nauczyć; najlepsi pamiętają i poznając samych siebie mają szansę poprawy na przyszłość.

Wprawdzie Walter Scott był dobrym uczniem, ale w późniejszym czasie wspominał swe lata szkolne jako jedyny okres w życiu, kiedy nie był naprawdę szczęśliwy. Wkuwano wszystko na pamięć. Nauczyciele nie starali się zainteresować uczniów wykładanymi przedmiotami. Trzeba się było nauczyć na pamięć albo znosić karę cielesną.

Szkoła była zakończeniem pierwszego etapu dzieciństwa. Umysł Waltera wypełniały już opowieści i zainteresowania, które miały rządzić całym jego życiem, a bardziej jeszcze twórczością literacką. Wiedza szkolna stała się dla niego wyłącznie okazją do zdobywania faktów, które by mogły dostarczyć dodatkowych bodźców dla jego zawsze czynnej wyobraźni.

Ta wyobraźnia przydała mu się doskonale między kolegami, wśród których zyskał sobie od razu popularność dzięki talentowi opowiadania ciekawych historii. Jego opowiadania już wówczas idealizowały przeszłość, miał się później wyrazić, że sympatia, którą otaczał Kawalerów króla Karola I, wzięła swój początek z przekonania, że ich przeciwnicy, ludzie Cromwella, nie byli „gentlemanami”. Tymczasem wciąż wzbogacał swój zasób wiadomości o dziejach Pogranicza, słuchając u kolan matki jej opowiadań i rozpoczynając zapisywać te, które najbardziej lubił. Matka również zaszczerpiła mu umiłowanie poezji i zwracała jego uwagę na bardziej humanistyczne ustępy. W pokoju matki znalazł parę tomów Szekspira. Pochłaniał je wieczorami przy blasku płomieni kominka, kiedy powinien był już od dawna spać.

Ale nie wyrósł na „kujona”. Do tego stopnia opanował swoje kalectwo, że jako przewodnik uprawiał wspinaczkę na różne szczyty w pobliżu Edynburga, włącznie z wejściem na stromą wyniosłą skałę, na której stoi Edynburski Zamek. Brał udział — i to zwykle jako jeden z pierwszych — w niejednej burdzie między chłopcami szlacheckich rodów, uczęszczającymi do ekskluzywnej i starej szkoły, a chłopcami z ubogich dzielnic miasta. Walczono wtedy nie tylko na pięści, ale i na kije, a nawet na noże. Poważne okaleczenia nie były rzadkością, ale Walter wykręcił się paru siłcami.

Ognie sztuczne na ulicy George'a stanowiły szczególną atrakcję dla Waltera, który sam je zapalał aż do chwili, kiedy zaprotestowano, ponieważ jedna z rac zamiast do góry poszybowała w kierunku poziomym i poparzyła paru przechodniów, a wśród innych wywołała popłoch.

Wszystko to zdawałoby się dowodzić, że lata szkolne Waltera nie były takie znowu nieszczęśliwe. Może to niedziele spędzane w domu rodzicielskim zasnuły posępną mgłą wspomnienia szkolnych dni. Na obiad zawsze było to samo: zupa z baraniej głowy, a następnie barania głowa. Oba te dania, tylko podgrzewane w niedzielę, przyrządzano w sobotę, aby dać służbie możliwość spędzenia czasu na modlitwie, nabożnych rozmyślaniach i uczęszczaniu do kościoła.

W każdą niedzielę wysłuchiowano co najmniej trzech kazań, w kościele i w domu. Senność często ogarniała przy takich okazjach młodszych członków rodziny, a ci, którzy mieli jeszcze oczy otwarte, szturchali i szczypali śpiochów. Walter był zwykle w poniedziałek cały posiniaczony.

Przez cztery lata — z krótkimi tylko wypadami na ukochane Pogranicze — musiał się poddać bezdusznej rutynie lekcji i cotygodniowej porcji przymusowej pobożności. Spędzał wiele czasu na nauce przedmiotów, które go wcale nie obchodziły, ale jednocześnie poznał niezłe łacinę, a francuski i włoski w stopniu wystarczającym, by mógł czytać francuskie romanse, a także Dantego i Ariosta w oryginale.

Walter miał wstąpić na uniwersytet w Edynburgu w listopadzie roku 1783. Tak wczesne rozpoczynanie wyższych studiów było wówczas regułą dla szlachetnie urodzonych. Egzaminy wstępne nie były wtedy tak wysoką barierą jak dziś. Po skończeniu nauk w szkole średniej, a przed rozpoczęciem uniwersytetu było kilka wolnych miesięcy. Walter skorzystał z tej sposobności i wymknął się do swoich dziadków, którzy przenieśli się ostatnio z Sandyknowe do pobliskiego Kelso, miejscowości, która była jakby obliczona na poruszenie już rozbudzonej i wyćwiczonej wyobraźni Waltera. W ciągu długich walk na Pograniczu Kelso było wielokrotnie niszczone, palone, potem znowu odbudowywane. A dnia 24 października roku 1715 książę Jakub, zwany Starym Pretendentem, syn króla Jakuba II, który udał się na wygnanie w roku 1688, został ogłoszony królem Szkocji, Jakubem VIII, właśnie na rynku w Kelso.

Nie tylko historyczne miasteczko, ale i jego otoczenie rozpałały romantyczną wyobraźnię Waltera. „Od tamtych czasów — pisał później — obudziło się we mnie to rozkoszne uczucie zachwyty nad pięknem przyrody, które nigdy odtąd mnie nie opuściło. Okolice Kelso, najpiękniejszej i chyba najbardziej romantycznej wioski w Szkocji, nadają się idealnie do rozbudzenia wrażliwości. Są tu obiekty wspaniałe nie tylko same w sobie, ale i dzięki skojarzeniom... Od tej pory umiłowanie piękna przyrody, zwłaszcza połączonego z widokami starożytnych ruin oraz zabytków pobożności i wielkości naszych przadków, stało się moją nigdy nie zaspokojoną pasją.”

W Kelso czas mijał nie tylko na wrzosowiskach czy w ogrodzie. A ogród to był rozległy: na sześciu czy siedmiu akrach, zaplanowany w stylu holenderskim, o długich, prostych alejach między żywopłotami tui i grabów, kępami kwitnących krzewów albo wysokich, dekoracyjnych drzew, ze staroświeckim zagajnikiem, do którego szło się przez labirynt wąskich, pokręconych ścieżek, ozdobiony ogromnym wschodnim drzewem platanu, które było istną górą listowia. Walter chodził przez jakiś czas do szkoły w Kelso, gdzie siedział w ławce razem z Jamesem Ballantyne, synem miejscowego sklepikarza, chłopcem, który miał później odegrać niemałą rolę w doli i niedoli wielkiego pisarza.

Chociaż poduczył się łaciny dzięki dobremu nauczycielowi i własnej pilności, chociaż nie tracił czasu i czytał wiele, między innymi powieści Richardsona, Fieldinga i Smolletta, jednakże największy wpływ w owym czasie wywarła na niego — jak na wielu romantyków — książka zatytułowana *Zabytki dawnej poezji angielskiej*, wydana przez biskupa Thomasa Percy ze starego manuskryptu ocalonego z rąk pokojowej, zabierającej się do napalenia nim w piecu. Walter zabrał książkę do jednego z zakątków w uroczym ogrodzie, usadowił się pod platanem i tak się zapamiętał w czytaniu tej książki po raz pierwszy — bo czytał ją potem wielokrotnie — że zapomniał pójść do domu na obiad.

— Tuman jesteś i nigdy niczym innym nie będziesz jak tumanem!

Tak powiedział profesor greki do Waltera po krótkim okresie jego studiów. Potępienie nie zmartwiło nazbyt młodzieńca, który może już wiedział, że chociaż taka opinia profesora nie jest jeszcze paszportem do sławy, to jednak wielu najwybitniejszych ludzi na świecie usłyszało w młodości podobną ocenę.

Na uniwersytecie miał serdecznego przyjaciela, Johna Irvinga, o podobnym zamiłowaniu do romantycznych historii. Razem chodzili na długie spacery, przy czym Walter trzymał jedną rękę na ramieniu przyjaciela, a drugą opierał na lasce. Głównym celem ich wycieczek były stare zamczyska w promieniu dziesięciu mil od Edynburga. Brali ze sobą książki z wypożyczalni i gdy dotarli do celu spaceru, siadali, by wspólnie czytać. Walter mógł powtarzać później na pamięć całe stronic książki, które czytali. W powrotnej drodze opowiadali sobie nawzajem — Walter płynnie, John zacinając się nieco — historie, w których bohaterstwo, rycerskość i siły nadprzyrodzone odgrywały najważniejszą rolę.

W roku 1794 Walter zachorował: pękło mu naczynie krwionośne w dolnej partii kiszek. Doktorzy kazali mu leżeć w łóżku przy otwartych oknach w pełni zimy, jeść tylko niewielkie porcje jarzyn i nie rozmawiać. John Irving przesiadywał przy łóżku przyjaciela i grał z nim w szachy. On to również tak pozawieszał lustra w pokoju chorego, iż ten mógł leżąc w łóżku widzieć przechodzących ulicą ludzi, a co więcej — obserwować ćwiczenia, marsze i kontrmarsze czerwono umundurowanych żołnierzy z pobliskich koszar.

Gdy wreszcie nadeszła rekonwalescencja, Walter znowu pojechał do Kelso, tym razem do Rose Bank, domu swego stryja, tego samego kapitana Roberta Scotta, który pierwszy wprowadzał go w rozkosze teatru Szekspirowskiego. Robert Scott kochał literaturę i zachęcał swego bratanka do czytania i pisania, co Walterowi Scottowi-ojcu, zaabsorbowanemu teologią, wydawało się marnotrawieniem czasu. Toteż dom stryja Roberta stał się domem Waltera aż do chwili, kiedy się ożenił.

*

*

*

W biurze Waltera Scotta-ojca kilku praktykantów schylało się nad stołami pokrytymi zakurzonymi dokumentami: leżały tu akty własności, papiery hipoteczne, różne pergaminy dotyczące sprzedaży i kupna nieruchomości. Ale wydawało się, że młodzi praktykanci mało uwagi poświęcają temu, co powinno być ich pracą. Trzymali w ręku pióra, ale te pióra nie poruszały się. Wsparli głowy w pozie zdradzającej głębokie zasluchanie w głos tego spośród nich, który czytał poezje donośnie i dźwięcznie, wydobywając wszelkie dramatyczne efekty tekstu. Jednego z praktykantów wysłano, by czuwał przy drzwiach i ostrzegał przed powrotem patrona, ale nikt się nie przejmował za bardzo, bo czytający był synem tegoż patrona. Może ojciec nie będzie szczególnie zachwycony sposobem, w jaki jego syn spędzał czas i wpływał na praktykantów, ale nie mógł przecież podrzeć kontraktu własnego syna.

Tak więc pod nieobecność ojca młody Walter urozmaicał sobie długie godziny w biurze czytaniem poezji i partijką szachów. Niezdolny do służby wojskowej, nie czując powołania do stanu duchownego, musiał poddać się nakazowi ojca i wstąpić w jego ślady, gdyż wydawało się, że nie ma dla niego innej profesji. Ale nie cierpiał bezdusznej rutyny i źle znosił zamknięcie w biurze. Jednakże znalazł jedną dobrą stronę w swojej sytuacji. Przepisywanie dokumentów płatne było po trzy pensy za folio (90 słów). Walter przepisywał szybko i gdy potrzebował pieniędzy na książki lub bilety do teatru, zmuszał się do siedzenia długimi godzinami. Kiedyś przepisał sto dwadzieścia folio za jednym posiedzeniem, nie przerywając sobie nawet by zjeść lub wypić.

Z choroby kiszek, która omal go nie wyprowadziła na tamten świat, wyleczył się tak, iż wydawał się silniejszy i zdrowszy niż kiedykolwiek przedtem. Wyrósł na młodzieńca wysokiego, o szerokich ramionach, barczystego. Miał taką siłę w mięśniach, że — jak później wspominał w swym diariuszu — mógł jedną ręką podnieść kowadło w kuźni. Doskonały stan zdrowia pozwolił jego ojcu posłać go na męczącą i trudną wyprawę konno w góry szkockie, gdzie miał razem z sierżantem i sześciu żołnierzami dokonać eksmisji dzierżawcy, którą przeprowadzała firma adwokacka Scotta-ojca.

Walter skorzystał ze sposobności, by poznać te okolice, bogate w legendy i podania o waśniach klanowych, w opowieści o ucieczce i ukryciu księcia Karola. Młody praktykant adwokacki miał te wiadomości wykorzystać i później swoim najpopularniejszym poemacie — *The Lady of the Lake (Pani jeziora)* — wślawić okolice, które w tej wyprawie poznał. Gdy grupa jeźdźców kłusowała po wrzosowiskach i przeprawiała się przez przełęcz, towarzyszący Walterowi sierżant opowiadał mu o rudowłosym rozbójniku i złodzieju bydlą, zwanym Rob Roy, który pod koniec XVIII wieku był wodzem klanu MacGregorów. Opowiadania te pisarz powtórzył — z dodatkami, które pozbiierał w czasie późniejszych podróży i studiów — w jednej ze swych najpoczytniejszych powieści.

Praca w biurze prawnym zbliżyła ojca i syna; młody człowiek był dumny i szczęśliwy — pomimo wagarowania, czytania poezji i gry w szachy — iż staje się użyteczny swojemu ojcu. W życiu Waltera Scotta poszczególne fazy przekształcania się młodzika w mężczyznę są tak wyraźnie oddzielone, że nie potrzebują podkreślenia. Lata ślęczenia nad dokumentami prawnymi w biurze ojca nauczyły go umiejętności koncentracji i pracowitej dokładności — a obie te cechy przydały się bardzo, kiedy konieczność ekonomiczna i własne postanowienie, że musi spłacić zaciągnięte długi, zmusiły Waltera Scotta do szalonej pracy.

ZAKOCHANY

W szafie było ciemno. Suknie kobiece, które tu wisały, nie pozwalały swobodnie oddychać młodemu Walterowi. Przez cienkie drzwi słyszał Jessie rozmawiającą z przyjaciółką i podziwiał chłodne opanowanie jej głosu. Ale i on był spokojniejszy, niż można się było spodziewać w takich okolicznościach. Nawet układał sobie wiersze, które miał zapisać, jak tylko wydostanie się z szafy i znajdzie z powrotem w bezpiecznym schronieniu własnego domu.

Nareszcie odgłosy kroków i szelest sukni, słowa pożegnania i zamknięcie drzwi zwiastowały, że raz jeszcze jego udręka zbliża się ku końcowi, raz jeszcze udało mu się uniknąć wykrycia.

Obrócono klucz w drzwiach szafy, drzwi stanęły otworem. Zarumieniona Jessie — mała, jasnowłosa, o owalnej twarzyczce — próbowała opanować śmiech.

— Jesteś bez serca! — rzekł Walter. — Doprawdy, jestem gotów uwierzyć, że z góry sobie układasz wizyty albo odwołanie z pokoju, aby mnie zamykać w tej szafie, jak psa, którego pan nie chce wziąć na spacer!

Istotnie, spędził wiele godzin w tym schronieniu, gdzie układał wiersze. Tyle wierszy, że kiedyś napisał do Jessie: „zwracałem się do księżycy — tej najbardziej opiewanej planety — tak często, iż wstyd mi już spoglądać w jego oblicze. Tworzyłem ody do słowików tak liczne, iż mogłyby wystarczyć wszystkim słowikom, które się kiedykolwiek z jajka wykluły”.

Jessie była córką kupca z Kelso. Walter spotkał ją w czasie jednej z licznych wizyt w domu swego stryja. Wzbudziła w siedemnastoletnim młodzieńcu pierwszą namiętność. Jej łagodność i dobroć — o ile możemy wierzyć listom zakochanego — przyciągnęły ich do siebie. Spotkania na spacerach w tej pięknej okolicy nie nastroczały trudności. Gdy Walter powrócił do Edynburga, wkrótce potem Jessie przyjechała tam, by pielęgnować chorą krewną — wtedy musiał wchodzić do jej domu ukradkiem, bocznymi drzwiami i nieraz kryć się w szafie.

Poezje, które komponował w chwilach przymusowego uwięzienia, posyłał swojej bogdance i czuł się szczęśliwy gdy je chwaliła. W jednym liście pisze o swojej wdzięczności i dodaje bardziej osobiste wyznanie, wyrażając nadzieję „skosztowania słodkiego łupu bez goryczy, jako należnej mi nagrody za trudy w twojej służbie poniesione”. Podpisywał się „Twój wierny Walter”. Listy od Jessie palił, „aczkolwiek z największą niechęcią”, i nalegał, aby i ona poszła za jego przykładem — może skłaniały go do tego obawy i znajomość wielu procesów. Jessie szczęśliwie nie posłuchała go.

Co do biednej Jessie — listy były wszystkim, co miała od swojego „wiernego Waltera”. Szybko zniknęła z kroniki jego życia i później wyszła za mąż za lekarza, który zaczął praktykować w Londynie. Ale zostawiła jakiś ślad w umyśle młodego poety, gdyż uczynił ją bohaterką jednej ze swoich powieści pt. *The Fortunes of Nigel*. Sportretował ją jako córkę kupca, która wychodzi za mąż za młodego „lairda” szkockiego, i stworzył postać kobiecą żywą i przekonującą, co się heroinom Scotta rzadko zdarzało.

Oprócz takich wycieczek w regiony spraw sercowych, Walter w owym czasie zawarł szereg serdecznych przyjaźni. Ci przyjaciele mieli w jego późniejszym życiu pojawiać się i znikać w najdziwniejszy sposób. Tak więc był Charles Kerr, członek Uniwersyteckiego Towarzystwa

Miłośników Poezji, któremu rodzice odmówili wszelkiej pomocy, gdy się zadłużył, i który musiał wobec tego uciec na wyspę Man przed wierzycielami. Drugim przyjacielem był William Clerk, świetny gawędziarz, cierpiący na wrodzoną i nieuleczalną chorobę lenistwa. Walter Scott podziwiał jego talenty i zdumiewał się jego nieróbstwem. Clerk był zawsze w doskonałym humorze, więc godziny spędzane wspólnie przez dwóch przyjaciół rozbrzmiewały śmiechem, chociaż łączyły ich i poważniejsze zainteresowania, jak poezja i historia.

Koledzy Waltera w biurze jego ojca, praktykanci adwokacy, mieli mu za złe, że wybierał przyjaciół spoza ich grona. Gdy mu to szczerze powiedzieli przy okazji corocznej wesołej libacji, którą wspólnie urządzali, Scott odparł ostro: „Wyznam szczerze, że chociaż wielu z was lubię i od dawna lubiłem, to jednak sadzę, że William Clerk wart jest was wszystkich wziętych razem!” Nic dziwnego, że jeden z jego przyjaciół z owych czasów określa go jako ognistego i rwącego się do bójki.

Walter miał już niebawem rozstać się z biurem. Jego ojciec dał mu szansę zrzucenia tego ciężaru wiecznego przepisywania dokumentów i polecił studiować prawo, co, jak sądził, da chłopcu więcej możliwości wykazania swoich talentów i w ten sposób odwróci jego uwagę od tak niegodnych gentlemana zainteresowań, jak poezja i słuchanie baśni wędrownych włóczęgów w tawernach Pogranicza. Walter rozpoczął naukę prawa cywilnego i municypalnego w roku 1789, wlokąc dosłownie za sobą Williama Clerka. Co rano szedł przed siódmą do odległego o dwie mile mieszkania Clerka, by wyciągnąć go z łóżka i za kołnierz zaprowadzić na wykłady.

Ale nic nie zdołało odwieść Waltera od zainteresowań, które jego ojciec uważał za niegodne gentlemana. Trzy lata studiów prawniczych przerywały długie wycieczki, których celem było zwykle zwiedzenie jakiegoś zamczyska, pola bitwy, muru między Anglią a Szkocją zbudowanego przez Rzymian, przeróżnych miejsc, gdzie kolejno przebywała Maria Stuart — jako królowa albo jako więzień. Noce spędzał w szałasach pasterzy albo pod gołym niebem. Ale nim sen ogarnął jego i jego towarzysza — był nim Charles Kerr albo William Clerk, albo przyjaciel Clerka, niejaki Robert Shortreed, zastępca szeryfa Roxburghshire — długo dyskutowano w miejscowych oberżach i wypijano немало whisky. Scott korzystał z każdej sposobności, by spisywać miejscowe legendy i podania, opowieści o pretendentach z dynastii Stuartów do tronu angielskiego, bo parę szklaneczek rozwiązywało zwykle języki. Nie należy się może dziwić, że jego ojciec nazwał go kiedyś w irytacji wędrownym śmieciarzem.

Shortreed tak opisywał swego kompana: -Widziałem go w różnych nastrojach, wesołego i poważnego, narwanego i ponurego, trzeźwego i pijanego... Wyglądał ospale i głupio, gdy był pijany, ale nigdy nie tracił dobrego humoru.”

Walter sam zanotował takie zdarzenie. Kiedyś, po paru wieczorach ciągłych pijatyk on i Shortreed z satysfakcją znaleźli nocleg w chacie, gdzie trzeźwa pobożność zdawała się brać górę nad alkoholem. Miejscowy pastor zasiadł również do kolacji, w czasie której podano tylko wino domowego wyrobu. Następnie pastor odprawił nabożeństwo. Gospodarz tego domu, jak Scott zauważył, nieco drzemał. Natomiast jego żona bardzo była przejęta nabożnością. Niespodziewanie, w trakcie głośno odmawianej modlitwy — kiedy już i Walter z trudem utrzymywał otwarte powieki — gospodarz zerwał się na nogi z okrzykiem: „Dzięki Bogu! Otóż i beczułka nareszcie!” Weszło dwóch górali-pastuchów, niosąc barylkę przeschmuglowanego koniaku. Pastor przerwał odmawianie modlitw. Gospodyni załamała ręce zgorszona, gdyż rozumiała, że jej mąż tak potulnie się zachowywał tylko dlatego, iż oczekiwał tej niepobożnej przerwy w nabożeństwie. Gospodarz nie zwracał na nią

żadnej uwagi, tylko kazał umieścić beczułkę na stole, przepraszając wymownie za skąpy poczęstunek, z jakim się goście do tej pory w jego domu spotkali. Pastor i gospodyni wyszli oburzeni, a gospodarz, goście i górale zabrali się do osuszania baryłki.

*

*

*

Walter dobiegał dwudziestego pierwszego roku, gdy spotkał dziewczynę, której ani życie, ani śmierć nie zdołały z jego pamięci wymazać. Wychodząc z kościoła Szarych Braci pewnego niedzielnego poranka, w ulewny deszcz, ujrzał stojącą bezradnie na progu dziewczynę w zielonej mantylce. Ciemnobraunatne loki okalały twarzyczkę o cerze jak mleko i róża. Błękitne oczy kryły się za ciemnymi rzęsami. Nosek był może odrobinę za szeroki, by osiągnąć doskonałość, ale wyraz jej twarzy, pełen powagi i godności, podbił młodego człowieka. Zawrócił i ofiarował jej osłonę swojego parasola. Zarumieniła się i spuściła z wdziękiem wzrok, nim położyła rękę na jego ramieniu i skorzystała z tej sposobności powrotu do domu bez przemoczenia, a za to z bijącym sercem.

Dowiedział się, że na imię jej Wilhelmina i że jest córką sir Johna Stuart-Belschesa, człowieka bogatego i dobrze urodzonego. I przez kilka niedziel pod rządk eskortował ją do domu z kościoła, z parasolem lub bez. Zakochał się w jej zmiennych nastrojach: powagi i rozmarzenia, to znowu figlarniej wesołości, wywołanej jego własnym humorem i anegdotami, opowydawanymi głębokim, dźwięcznym głosem. Wkrótce zamiast studiować, marzył w oknie o swej piętnastoletniej czarodziejce.

Zbyt skromna, by to otwarcie przyznać, Wilhelmina chętnie przyjmowała asystę tego młodzieńca, który choć kulawy, był wysoki i pięknie zbudowany, o wysokim czole, jasnobrunatnych włosach, niebiesko-szarych oczach i uśmiechu, który nadawał jego twarzy o nieco ciężkiej dolnej szczęce wyraz żartobliwości i dobroci. Inna kobieta, o dziesięć lat od niego starsza Joanna Baillie, poetka i sawantka, pisała o Walterze Scotcie: „Gdybym znalazła się w tłumie, zagubiona i bezradna, wybrałabym jego twarz spośród tysiąca ufając, że dobroć i bystrość malująca się na tej twarzy wybawiłaby mnie od każdego niebezpieczeństwa”.

Walter i William Clerk zdali egzaminy adwokackie, ale procesy jakoś nie kwapiły się do nich. Walter otrzymał parę spraw do przeprowadzenia w imieniu swego ojca. Wywiązał się z nich poprawnie, ale bez błyskotliwości. Dostał też parę spraw kryminalnych, między innymi bronił pewnego starego kłusownika i złodzieja owiec, dla którego ku ogólnemu zdziwieniu otrzymał bardzo łagodny wyrok. Nie mając żadnych złudzeń co do winy kłusownika, Scott szepnął do niego: „Szczęśliwy złodziejaszek z pana!” — - na co tamten natychmiast odpowiedział w dialekcie miejscowym: „Całkiem słusznie, panie, i przysię panu jutro rano zającą!” Zgodnie z obietnicą zając się zjawił, schwytyany niewątpliwie o świcie.

*

*

*

Z taką samą donkiszoterią jak ta, która cechowała jego ojca, Walter bronił często bez wynagrodzenia biednych przestępców, przyjmując w zamian dobre rady. Pewien doświadczony włamywacz radził, by

nie trzymać psa na łańcuchu przed domem, ale raczej małego, szczekającego hałaśliwie pieska w mieszkaniu, i nie ufać nowoczesnym zamkom, lecz staroświeckim wielkim kluczom.

Bawiły go te sprawy, a jednocześnie dały możliwość zebrania z własnych obserwacji cennego materiału, który stał się surowcem jego późniejszej twórczości. Ale przy takich metodach dochody były nikłe, a zamiłowania do palestry nie miał nigdy. Wspominając postacie z Szekspirowskich *Wesołych kumoszek z Windsoru*, pisał o tych latach: „Moja profesja i ja byliśmy w takich stosunkach, jak zacny Slender z Anną Page. Nie było wielkiej miłości między nami na początku, a spodobało się Bogu, iż uczucie to zmniejsza się jeszcze przy bliższym poznaniu”.

Lata praktyki prawniczej przyniosły jednakże nowe przyjaźnie, choć William Clerk pozostał Walterowi najbliższy. Wśród nowych znajomych znalazł się człowiek dziwnie kontrastujący z bezpośrednim, zamiłowanym w przygodach Walterem Scottem. William Erskine był wzrostu niskiego, budowy delikatnej, bał się jeździć konno, był wrażliwy i głęboko uczuciowy. Dwaj młodzieńcy dopełniali się wzajemnie, Erskine stał się głównym doradcą i krytykiem Scotta w pracy literackiej. Z synem duchownego, Tomaszem Thomsonem, który miał zostać wybitnym antykwariuszem, Scott zagłębiał się w dawne dzieje swego kraju. Jeszcze jednym krytykiem był George Cranstoun, nieśmiały, dumny i nadzwyczajnie uzdolniony młodzieniec. James Skene podzielał zamiłowania Waltera do konnej jazdy i rybołówstwa. No i na nowo nawiązała się przyjaźń z chłopcem, obok którego siedział w szkole w Kelso — Jamesem Ballantyne.

Młodzież ta spotykała się w jednym z licznych klubów literackich, do których Scott obecnie należał. Istotnie, chociaż ojciec jego przypuszczał, że młodzieniec zajmuje się praktyką adwokacką, w rzeczywistości Walter poświęcał energię na pisanie wierszy i przekłady niemieckiej poezji.

Na jednej z wycieczek Scott spotkał człowieka, który wyglądał jak wieśniak parający się pługiem i czyszczący stajnie, a jednak miał na twarzy wyraz niezwyklej przenikliwości, swobodne manieri w każdym towarzystwie, w jakim się znalazł, i wyrażał głębokie uczucia z bezpośrednią prostotą. Tym człowiekiem był trzydziestodwuletni Robert Burns, wielki poeta szkocki, którego Scott spotkał w domu swego szkolnego przyjaciela, Adama Fergusona. Burnsa wzruszyła głęboko stara rycina wisząca na ścianie. Na dole ryciny był anonimowy wiersz. Burns chciał się dowiedzieć nazwiska autora. W całym towarzystwie jeden tylko Walter Scott mógł go objaśnić w tym względzie, za co otrzymał podziękowanie, które przez długi czas uważał za największy moment swego życia.

Znajomość ta urwała się jednak szybko, gdyż Scott miał odmienne przekonania polityczne. Młody adwokat urzeczony był przeszłością. Jego patriotyczny zapał przyjął formę dążenia do zachowywania dawnego obyczaju, podczas gdy z punktu widzenia logiki i ludzkiej sprawiedliwości obyczaju tego nie można było dłużej bronić. Dla Waltera Scotta rewolucja francuska nie była świtem nadziei, ale groźbą.

Przyjaciele i znajomi nie odrywali jednak zakochanego młodego prawnika od marzeń związanych z Wilhelminą Belsches. Był w takim stanie zadurzenia, który skłaniał młodzieńców do rycia imienia ukochanej w korze drzew. W roku 1793 zamierzał wybrać się na wycieczkę tak blisko domu jej ojca w Fettercairn, w hrabstwie Kincardine na wschodnim wybrzeżu Szkocji, że Sir John czułby się zmuszony zaprosić młodego prawnika do swego domu. Matka Waltera, którą zakochany młodzieniec wtajemniczył w ten plan, zdradziła go mężowi i Sir John został ostrzeżony o uczuciach młodzieńca.

Prawdopodobnie wskutek tego rodzicielskiego porozumienia Walter musiał czekać aż do wiosny 1796 roku, zanim otrzymał upragnione zaproszenie. Tymczasem napisał do Wilhelminy list z deklaracją swoich uczuć i otrzymał odpowiedź, która się nie zachowała do naszych czasów, a która musiała być — może celowo — enigmatyczna, gdyż Walter wytłumaczył ją sobie przychylnie, a następnie posłał do Williama Clerka po potwierdzenie swoich domysłów! Otrzymał to potwierdzenie i napisał znowu do swego przyjaciela „o lepszych dniach, do których oczekiwania teraz ma prawo, a do których i ona będzie tęskniła”. Jedna rzecz jest wiadoma: Wilhelmina zażądała, aby rodzice pozostali w nieświadomości uczuć łączących dwoje młodych. Może zdawała sobie sprawę, jak mało było prawdopodobne, aby ci rodzice odnieśli się przychylnie do mariażu z młodym prawnikiem bez grosza przy duszy i bez perspektyw wybitnej kariery adwokackiej.

Tymczasem młody prawnik uczynił pierwszą próbę publikowania swoich utworów literackich. W ciągu jednej nocy przetłumaczył dramatyczny, żywo napisany poemat *Lenore* poety niemieckiego Gotfryda Bürgera. Poemat ten zapoczątkował nowy genre: balladę romantyczną, często później naśladowany w Niemczech, w Anglii, a także i w Polsce. Przekład ten, wydrukowany w roku 1796, przeszedł bez echa. Nie był zresztą podpisany nazwiskiem tłumacza. Zaczynała się snuć owa pajęczyna tajemniczości, którą Scott otoczył swoją twórczość literacką. Początkowo mówił, że zabawianie się wierszami nie doda wcale powagi nazwisku młodego adwokata; możliwe, że jeszcze bardziej obawiał się gniewu ojca. Ale chociaż ten debiut literacki nie przyniósł ani sławy, ani pieniędzy, dał mu jednak wiele satysfakcji. „Znajduję przyjemność w trudach pracy literackiej, w którą się zaangażowałem właściwie przypadkiem, i trudzę się mniej w nadziei przypodobania się innym, choć i o tym nie desperuję, a raczej dlatego, iż jest to dla mnie najmielszą rozrywką”.

Wreszcie upragnione zaproszenie od rodziców Wilhelminy nadeszło. Młoda panna wracała właśnie do zdrowia po przebytej chorobie i nalegała dalej, aby nie zdradzać jej ojcu żadnych łączących ich uczuć. Krótki pobyt w Fettercairn Walter spędził prowadząc prace wykopaliskowe na terenie starego fortu w okolicy, pisząc wiersze do swej bogdanki i ukrywając swoje dla niej uczucia. Jej uparte naleganie, by zachowywać tajemnicę, musiało przytłumić jego nadzieje, gdyż po opuszczeniu domu, który miał być dla niego ziemią obiecaną, chmury rozpacz zaczęły się gromadzić nad jego głową.

W liście do Williama Erskine'a wspomniał, że niejaki William Forbes, syn bogatego bankiera i dziedzic tytułu baroneta, zaczął asystować Wilhelminie. Takiego konkurenta dziewczyna mogła oczywiście przedstawić ojcu bez tajemnic. Walter pisał, że znalazł się „w gęstwinie niepokojów, niepewności i dylematów, w bagnie rozpacz”.

Niepewności i dylematy miały się wkrótce wyjaśnić, ale z bagna rozpacz nie tak łatwo się było wydostać. Asysta bankiera-baroneta szybko wykreśliła młodego prawnika-poetę z życia Wilhelminy, jeśli nie z jej serca. Wiadomość o tym poraziła Waltera jak grom. W powieści *Rob Roy* mamy opis stanu serca Franka, gdy ten sądzi, że już nigdy więcej nie ujrzy swojej ukochanej Diany: „Zdumienie i rozpacz prawie mnie sparaliżowały [...] Uczułem ścisnięcie w gardle i w piersi, histeryczną pasję biednego Leara; i przysiadłszy na skraju gościńca wylewałem pierwsze łzy od czasów mego dzieciństwa, a bardziej gorzkie niż kiedykolwiek”. Te słowa nie były zapewne płodem imaginacji, lecz owocem osobistego gorzkiego doświadczenia.

Wprawdzie ożenił się z inną kobietą zaledwie w rok później, wprawdzie został dumnym ojcem i „lairdem”, jednakże miłość do Wilhelminy pozostawiła w sercu młodego człowieka ślady, które przetrwały całe życie. W powieści *The Abbot* sportretował Wilhelminę pod postacią Catherine Seyton

— zmienną, łagodną lub rozbawioną, potulną i samowolną. Nigdy, jak się zdaje, nie była ona daleka jego myślom, a w chwilach krytycznych zawsze śnił o niej. Jako stary wdowiec w siedemnaście lat po śmierci Wilhelminy spotkał jej matkę. Zasedli do długiej gawędy i mówili o kochanej bez wzajemności dziewczynie tak długo, „aż roztkliwiłem się jak stary głupiec wspomnieniami i nie byłem już zdolny do niczego innego, jak tylko do przelewania łez i recytowania wierszy przez całą noc. To smutne są sprawy. Nawet grób wydaje swoich umarłych, a czas cofa się i toczy o trzydzieści lat wstecz”.

Młody adwokat znalazł zajęcia, które pozwoliły zabić ranie jego serca. Wydaje się mało prawdopodobne, aby Walter Scott był szczęśliwy, gdyby poślubił Wilhelminę. Wyrachowanie, jakie przejawiała wybierając bogatego pana zamiast ubogiego adwokacyny, każe przypuszczać, że charaktery ich nie zgadzałyby się ze sobą. Wilhelmina z romantycznych rojeń Scotta była bez żadnej wątpliwości bardzo odmienną istotą od tej rzeczywistej, z krwi i kości dziewczyny, której asystował i która go odrzuciła. Jego późniejsze żale bardziej są chyba związane z trzeźwym zrozumieniem, że nie znajdzie na ziemi dziewczyny z marzeń, niż z poczuciem, że stracił tę jedyną partnerkę, którą mógł kochać wielką miłością przez całe życie. Jego następną próbę matrymonialną cechowała realistyczna trzeźwość.

ROZSĄDNA UMOWA

Oddział Królewskiej Dragonii Edynburskiej stał na polu tuż pod miastem, wyciągnięty w jeden szereg. Na drugim końcu pola, o jakieś dwieście jardów, ustawiono tyle niskich pali, ilu było jeźdźców. Na szczycie każdego z pali tkwiła rzepa.

Dowódca, wysoki, barczysty mężczyzna o jasnych włosach, wykręcając się w siodle i wymachując szablą w kierunku rzepy, wołał do swoich podkomendnych:

— Tam widzicie Francuzów! Bronią oni pozycji, którą za wszelką cenę trzeba zdobyć! Aby zwyciężyć, musicie wyciąć w pień tych krwawych rewolucjonistów! Każdy z was niech sobie upatrzy najbliższego nieprzyjaciela. Kiedy dam rozkaz „do ataku”, będziecie się ścigać o to, który z was pierwszy zetnie te przekłute głowy!

Dragoni powyciągali szable — niektórzy spoglądali przy tym nieufnie na lśniące ostrza, gdyż wielu z nich nie miało nigdy w ręku nic groźniejszego od kuchennego noża. Dowódca ustawił się przed dragonami, dając sobie najlepszą szansę wygrania tego wyścigu. Pochylił się na koński kark i machnął szablą:

— Do ataku! — wrzasnął.

Paru dobrych jeźdźców pogalopowało za dowódcą, który jeździł tak, jak by się na koniu urodził. Inni, którym siodło było równie obce jak szable, ledwie nie pospadali na ziemię, gdy ich wierzchowce ruszyły naprzód. Jednakże cały oddział posuwał się jakoś ku „Francuzom”.

— W nich! Bij, rąb, ścinaj! — krzyczał dowódca, potężnym zamachem szabli rozcinając na pół rzepę, którą wybrał sobie na ofiarę. Inni też cięli swoje rzepy, jak by ich ogarnął szał bitewny. Ale większość wojowała z własnymi wierzchowcami, które miały apetyt na smakowitą łączkę gdzieś na uboczu: trzymając się kurczowo grzyw, jeźdźcy mijali sławetne rzepy bez jednego ciosu.

Dowódca spojrzawszy z satysfakcją na swoją porąbaną rzepę, teraz leżącą na ziemi, nie tylko pocięta, ale i stratowaną kopytami, wrzasnął do swoich podkomendnych:

— A gdzież wy gnacie? Musicie zabić obrońców, zanim popędzicie w pogoń za Bonapartem!

Rozłożył ramiona gestem desperacji, trzymając jeszcze w ręku szablę. A gdy jego kilku lepszych towarzyszy zgromadziło się koło niego, opuścił ramiona i zaczął się serdecznie śmiać.

— Od pługa! — mówił zanosząc się od śmiechu. — Prosto od pługa! Boję się, że to będzie ponad siły zwykłego adwokata. Nie wyćwiczę ich tak, aby stawili czoło choćby o połowę mniejszej liczbie Francuzów.

Walter Scott umiał dostrzec komizm tej sytuacji, ale jednak brał bardzo poważnie swoje obowiązki wojskowe, których się podjął w jakiś rok po wygnaniu go z raju romantycznej miłości. Został kwatermistrzem pułku Królewskich Dragonów Edynburskich, który dopomógł sformować. Oficerami mianowano wyłącznie arystokrację i szlachtę szkocką. Ci mieliby sporo do stracenia w razie inwazji rewolucyjnej Francji. Należał do nich książę Buccleugh, głowa starszej linii rodu Scottów; jego syn, hrabia Dalkeith; Robert Dundas, syn lorda Melville'a, najbardziej wpływowego człowieka w Szkocji;

William Forbes, szczęśliwy rywal Waltera, oraz James Skene, towarzysz wypraw konnych i rybackich Scotta.

Podobne ochotnicze jednostki wojskowe tworzone w całym kraju, oficjalnie po to, aby odeprzeć inwazję. Kwatermistrz Walter Scott radował się szczerze stukotem końskich kopyt, brzękaniem szabel, donośnymi głosami komendy i może zaczął marzyć o dokonaniu takich bohaterskich wyczynów, jak te, które opiewały stare podania i legendy. Na każdą wieść o inwazji jechał entuzjastycznie na punkt zborny i wracał rozzarowany. Marzył o sławie, ale żadna sposobność jej zdobycia się nie nadarzała. Aż wreszcie kazano mu jechać naprzeciw tłumom głodnych buntowników. Zawrócił i pojechał do domu, odgadując, dla jakich celów w istocie rząd zachęcał do formowania ochotniczych regimentów. Był konserwatystą, ale kto pracował u niego, nie miał pustego żołądka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ci, którzy zatrudniali robotników w miastach, pozwalali im głodować. Sam żarłok nie lada, sympatyzował z tymi głodnymi ludźmi i nie miał zamiaru jechać przeciw nim z szablą w ręku. Rzepy, przedstawiające Francuzów — to jedna rzecz. Ale zacni synowie Szkocji — nie, jego feudalna ojcowska szabla nie skieruje się przeciw nim. Miał nadejść czas, kiedy na słuszny gniew ludu Walter Scott odpowie swoim gniewem, mniej słusznym — ale jeszcze nie teraz.

*

*

*

„Związek mojej małżonki i mój był naszym własnym dziełem, wynikłym z najszczerzego obustronnego przywiązania [...] Ale nie była to miłość, którą, jak przypuszczam, można przeżyć tylko raz w życiu: kto był bliski utopienia podczas kąpeli, rzadko kiedy drugi raz zapuszcza się w głębinę”.

Tak pisał Walter Scott w wiele lat później o swej żonie, Charlotte Carpenter.

W rok po owym „prawie utopieniu” Walter wziął sobie urlop od obowiązków prawniczych i militarnych przyjemności, aby zwiedzić angielskie Pojezierze w pogranicznym hrabstwie Cumberland. Podczas porannej przejażdżki spotkał dziewczynę, która przyciągnęła jego wzrok. Wieczorem zjawiała się ona na balu, na który i on się wybrał. Chroma noga uniemożliwiała mu tańczenie, ale udało mu się poprowadzić ją do kolacji. Jej kruczoczarne włosy, wielkie, ciemne oczy i jasno-oliwkowa cera zrobiły na nim wielkie wrażenie, choć nie była skończoną piękną: szpeciły ją — jak Wilhelminę — usta nieco za duże i nazbyt wypukłe. Była wesoła i ożywiona, a Scott wkrótce zapewniał ją, że będzie „jej uczniem w wesołym pojmowaniu sztuki życia”. Ogólnie biorąc, nie potrzebował uczyć się tego od nikogo, chociaż od czasu historii z Wilhelminą miewał okresy depresji.

Ojciec Charlotty, Jean Charpentier, i jej matka byli Francuzami, którzy przybyli do Anglii jako rojalistyczni emigranci. Matka, o dwadzieścia lat młodsza od swego męża, opuściła go i uciekła z młodym kochankiem, a pan Charpentier odmówił zajmowania się dziećmi. Przyjaciół rodziny, Lord Downside, został opiekunem Charlotty i jej młodszego brata. Dziewczyna, pragnąc uchodzić za Angielkę, zmieniła swoje nazwisko na Carpenter — ale nigdy nie zdołała się pozbyć obcego akcentu.

Konkury szły szybko. Początkowa niechęć Charlotty do mężczyzny o chromej nodze rozwiązała się pod wpływem jego błyskotliwej wesołości i talentów towarzyskich. Musiała wysłuchać historii o Wilhelminie, ale, jak się zdaje, nie obniżyło to w jej oczach wcale walorów Scotta jako ewentualnego małżonka.

Walter Scott-ojciec, obecnie częściowo sparaliżowany, sprzeciwiał się małżeństwu z dziewczyną obcego pochodzenia, syn nie był jednak w nastroju do ustępstw i długich negocjacji. Najwyraźniej chciał znaleźć się poza niebezpieczeństwem nowego „utopienia”. „Można istotnie stracić cierpliwość, droga Charlotte, widząc, ilu kłopotów i prawdziwych trosk przyczyną są ludzie, którzy chcą wyrokować o szczęściu drugich na podstawie tego, co decydowało o ich własnym szczęściu”. Matkę niecierpliwego konkurenta pozyskano faktem, że przyszła synowa była protestantką. A gdy Lord Downside dał zezwolenie i okazało się, że Charlotta będzie miała własny dochód w wysokości czterystu do pięciuset funtów rocznie, stary prawnik, czuły na arystokratyczne stosunki i gotówkę, wreszcie ustąpił.

Gotówka była istotnie nie najmniej ważnym czynnikiem. Dochód Waltera jako adwokata wynosił zaledwie 144 funty rocznie, co nie mogło mu wystarczyć na utrzymanie rodziny. Ale takie prozaiczne zastrzeżenia Walter odtrącił jednym gestem ręki i wynajął część domu w pobliżu swoich rodziców za dwadzieścia funtów rocznego czynszu. „Będzie nam się doskonale powodziło — pisał do Charlotty. — Na razie nie umrzemy z głodu, a ja naprawdę myślę, że nie jest mi przeznaczone utknąć w marnym kącie.” Charlotta, jak się zdaje, była tego samego zdania, gdyż odpisała: „Nie wątpię wcale, że zajdziesz wysoko i będziesz wielkim i bogatym człowiekiem”. Jednocześnie prosiła go, by nie porzucił służby w Królewskiej Dragonii, gdyż lubiła wszystko, co jest „w stylu”.

W wilię Bożego Narodzenia roku 1797 w kościele Panny Marii w Carlisle Walter Scott poślubił Charlotte Carpenter. Chciał mieć pogodną towarzyszkę życia. Wierzył, że taką znalazł, a czas miał dowieść słuszności jego przypuszczeń.

Nieuregulowane życie dostarczyło w pierwszych latach małżeństwa pod dostatkiem zdarzeń przyjemnych i smutnych. Brak pieniędzy nie martwił młodej pary. „Szczęście zależy nie tyle od fortuny, ile od tego, byśmy się umieli radować tym, co mamy”, — pisał kiedyś Walter.

Latem roku 1798 Scottowie wynajęli krytą strzechą chatkę w Lassewade nad rzeką Esk, o sześć mil od Edynburga. Należały do niej dwa pola, duży ogród warzywny i — cudowny widok. Walter cieszył się jak dziecko budując pergole z kamieni i hodując kwiaty i pnącza.

Ciężki cios spotkał ich oboje, gdy w październiku urodziło się ich pierwsze dziecko — po to tylko, by umrzeć następnego dnia. Charlotta cierpiała bardzo nad tą stratą i Walter zajął się nią z serdeczną troskliwością. Może ta troskliwość wynagrodziła jej ból. W każdym razie nadal pragnęła mieć dzieci. Następnego roku szczęśliwie powiła córkę Zofię, która się zdrowo chowała.

Tymczasem Walter przełożył dramat Goethego *Goetz von Berlichingen*, który opublikował anonimowo w roku 1799. Ta druga próba literacka zwróciła na siebie uwagę krytyków. Treść poematu nasunęła Scottowi myśl, iż mógłby dla szkockiego Pogranicza uczynić to, co Goethe uczynił dla starożytnego feudalizmu Nadrenii.

W tym samym roku zmarł stary Walter Scott. Jego synowi przypadła po śmierci ojca dodatkowa suma paruset funtów rocznego dochodu. I jeszcze jedna śmierć, która nie zasmuciła szczególnie młodego Waltera, a nawet była w pewnym sensie okolicznością pomyślną. Zmarł zastępca szeryfa Selkirkshire. Książę Buccleugh i Lord Melville, przez pamięć koleżeństwa w Regimencie Królewskiej Dragonii, uzyskali ten urząd dla swego kwatermistrza. Oznaczało to dodatek jeszcze trzystu funtów szterlingów do jego rocznych dochodów, w zamian za co należało wypełniać niekłopotliwe obowiązki

administracyjne i sądowe w okolicy sąsiadującej z umiłowanym przez Waltera Pograniczem, tuż przy hrabstwie Roxburgshire, gdzie przepędził tyle najmiłszych chwil dzieciństwa.

W sumie roczny dochód młodych Scottów — ze spadku po ojcu Waltera, z honorariów adwokackich, z urzędu zastępcy szeryfa i z posagowej renty Charlotty — dochodził teraz sumy tysiąca funtów szterlingów, co w Szkocji owych czasów warte było przynajmniej pięć razy więcej niż dziś.

I znowu spotkanie, tym razem naznaczone tragicznym fatum — z dawnym kolegą ze szkolnej ławy Jamesem Ballantyne, który teraz wydawał lokalną gazetę w Kelso. Ballantyne był niski, pulchny, nosił brodę, miał zdumiewająco gruby kark. Mówił poważnie, głębokim głosem. Miał przyjaciół w teatrze, od których przejął wytworne gesty, przerażające marsy na czole i odstręczające miny. Niestety, Scott nie dał się przerazić ani odstręczyć. Dał Ballantyne'owi niektóre swoje wiersze do wydrukowania i tak był rad z papieru, druku i oprawy, że zaproponował, aby wydali wspólnie, jako redaktor i wydawca, tom ballad Pogranicza. Scott zawsze miał wielkopański gest, więc zagwarantował, jak się zdaje, pokrycie kosztów w razie strat i umowę zawarto. Dla Scotta była to istotnie chwila bardzo ważna.

Czuł się teraz zupełnie pewny w siodle i gotów do przeskakiwania wszelkich przeszkód z rozmachem i swobodą — by nie powiedzieć z brawurą. W roku 1801 nabył dom przy ulicy Zamkowej w Edynburgu za 1 750 funtów, z czego 950 funtów pozostało do spłacenia na procent. Ten dom pozostał jego edynburską rezydencją przez dwadzieścia cztery lata. Miał go opuszczać w rozpacz i przygnębieniu, ale w tej chwili wprowadzał się w atmosferze radosnego podniecenia. Dźwięki młotów, hałasy murarzy, ogólny rejwach robotników pracujących w całym domu — wszystko to podniecało przyjemnie Scotta, który połowę życia miał spędzić w rozgardiaszu, stanowiącym dla innych nieznośną przeszkodę. W czasie przeprowadzki i remontu „dla powiększenia rejwachu moja żona wybrała sobie tę chwilę, by mi ofiarować w prezencie wspaniałego chłopaka, którego głos, należący do najprzenikliwszych, daje się słyszeć ponad ogólnym hałasem burzy, jak gwizdek bosmana wśród wycia wichru na morzu”.

Cień padł na ten rok z powodu śmierci siostry Waltera, Anny, zawsze delikatnej i słabego zdrowia. Poza tym życie Charlotty i Waltera płynęło gładko, pełne obietnic i nadziei; oboje z każdym dniem uczyli się coraz bardziej cenić siebie nawzajem. Nie było miejsca dla Charlotty w romantycznych rojeniach męża i nie interesowała się ona szczególnie jego pracą literacką. Ale pomagała mu cieszyć się życiem i wkrótce zyskała sympatię jego przyjaciół dzięki miłemu usposobieniu, dowcipowi i wesołości. Utrzymywała domy w Edynburgu i Lasewade w idealnym porządku, ale miała trudności z układaniem menu: kiedyś skompromitowała się, gdyż nie mogła rozróżnić angielskich nazw indyka i gęsi.

Charlotta powiedziała kiedyś, że lubi wszystko, co „stylowe”, i we własnym życiu starała się stosować do tego dictum. Ubierała się dobrze, według najświeższej mody — co pod koniec XVIII wieku oznaczało wzorowanie się na strojach starożytnej Grecji: suknie o spódnicach fałdzystych, układających się miękko na figurze, stan wysoki, a dekolty najczęściej kwadratowy. Charlotta chodziła często na bale, lubiła tańczyć, regularnie uczęszczała do teatru. Wkrótce miała koło bliskich znajomych, którzy stale bywali w salonie jej edynburskiego domu.

Z matką Waltera Charlotta była w najlepszych stosunkach. Starsza dama dogadzała jej i pielęgnowała ją w czasie połogów z taką serdecznością, że — jak mówiła Charlotta — nie mogłaby okazać większej serdeczności własnej córce. Pewnego razu starsza pani Scott przyszła odwiedzić swoją synową

i zastała tę pogodną młodą matronę haftującą w bawialni. Walter czytał jej ballady, które właśnie przygotowywał do wydrukowania u Ballantyne'a.

Zaproszona, by siadła z nimi, stara dama odmówiła.

— W Szkocji, moja droga Charlotte — powiedziała tonem łagodnej wymówki — używamy na co dzień pokoju jadalnego, a w salonie zbieramy się tylko przy uroczystych okazjach.

Synowa obdarzyła ją uroczym uśmiechem, któremu mało mężczyzn i nawet niewiele starszych pań mogło się oprzeć, i odpowiedziała jedną z dowcipnych ripost, z których miała zasłynąć:

— Dla mnie, droga mamusiu, każdy dzień jest uroczystą okazją — nawet, jeżeli ty nie przychodzisz do nas z wizytą!

Było to wyraźne wskazanie, aby teściowa nie mieszała się do nieswoich spraw, ale powiedziane tak wdzięcznie, że nie można się było o to obrazić. Nieraz później z dowcipnych odpowiedzi, dawanych przyjaciółom Waltera, a nawet Walterowi samemu, Charlotta nie usuwała żądła złośliwości.

GOSPODARKA

Zbierając ballady, Scott stał się znanym w każde oberży i wielu chatach Pogranicza. Co prawda wcale nie uważał za konieczne spać pod dachem. Po całodiennej konnej jeździe stromymi ścieżkami, między zdradliwymi skałami i mokradłami, często układał się do snu obok swego konia na miękkim torfie albo słomie, zostawionej przez lekkomyślnego rolnika. Człowiek i koń jedli na kolację te same placki owsiane i tak samo popijali piwem. Takie noclegi bywały może zresztą przyjemniejsze od innych. Pewnego wieczoru, zaszedłszy do oberży w poszukiwaniu osłony przed ulewnym deszczem, Scott dowiedział się, że jedyna izba gościnna posiada dwa łóżka, a na jednym z nich spoczywa nieboszczyk.

— Ale chyba nie umarł biedaczysko na żadną zaraźliwą chorobę? — zapytał Scott.

— Oczywiście, że nie — brzmiała odpowiedź. — Nieboszczyk spadł ze szczytu schodów po pijanemu i rozbił sobie łeb.

Wobec czego Scott ulokował się na pustym łóżku, a rankiem oznajmił, że jego martwy kompan nie przeszkodził mu w śnie równie dobrym jak każdej innej nocy.

Gdy wędrował na wycieczkę, spotykał nieraz ziemian i wieśniaków oczekujących wspólnie jego przybycia. Mieli propozycje nowych dodatków do kolekcji ballad. Ale byli też i tacy, którzy pamiętając pieśni przechodzące z ojca na syna, ale nigdy nie spisane, nie okazywali się wcale pomocni. Kompilator skarżył się, że kiedyś na przykład „jeden z najlepszych bazarzy w okolicy zrobił się religijny na stare lata i uważa dawne piosenki za nieprzyzwoite”.

Zbieranie ballad przyniosło jako uboczny rezultat nowe przyjaźnie, przeważnie dosyć dziwne. Jednym z takich przyjaciół był John Leyden, którego zwykle znaleźć było można na najwyższym szczyble drabinki w księgarni Archibalda Constable'a, późniejszego wydawcy. Leyden przeglądał książki i krytykował je gwałtownie za to, co w nich było, i za to, czego nie było. Syn pasterza z ukochanego przez Scotta hrabstwa Roxburgh, Leyden, był właściwie samoukiem. Udało mu się dostać na uniwersytet edynburski, gdzie żył o chlebie i wodzie, ucząc się szybciej niż mogli za nim nadążyć profesorowie. Znał bardzo wiele ballad i legend Pogranicza, więc Scott, siedząc na dole drabiny, umówił się z Leydenem siedzącym na szczycie o płatną współpracę.

Wprowadzony w literackie koła edynburskie, Leyden zdołał skompensować żywym usposobieniem i błyskotliwą rozmową swoją kompletną pogardę dla przyjętych manier towarzyskich. W tym samym środowisku obracał się również Joseph Ritson, narwany antykwariusz angielski, który zainteresował się balladami usłyszawszy, że Scott przygotowuje do druku oryginalne teksty, wprowadzając tylko takie zmiany, aby uczynić je zrozumiałymi dla szerszej publiczności. Postępował więc odwrotnie niż biskup Percy, który w swoich *Zabytkach dawnej poezji angielskiej* pozwolił sobie na wiele swobody w stosunku do tego, co Ritson nazwał „czystością słowa”. Ritson zachwycał się rewolucją francuską i potępiał jedzenie mięsa zwierząt, ale jednak, chociaż Scott wyklinał rewolucję, a rozkoszował się mięsem i spożywał je w ogromnych ilościach, ta dziwna przyjaźń trwała aż do chwili gdy Ritson zmarł w zakładzie dla obłąkanych.

Do gości edynburskiego domu Scottów i chatki w Lassewade zaliczał się również człowiek odmiennego rodzaju od Leydena i Ritsona. George Ellis był Anglikiem wysokiego urodzenia; miłośnik

literatury, zabawiał się naukami ścisłymi, dyplomacją i polityką, był przyjacielem ministrów, którzy nieraz korzystali z jego rad, i lwem salonów londyńskich. Gdy Scottowie odwiedzili go w jego domu w pobliżu Windsor, Walter opisywał go jako mistrza ciekawej konwersacji: „jego cierpliwość i dobre wychowanie — dodawał — zawstydzają mnie nieraz, gdy zapaliłem się do jakiegoś ulubionego tematu”.

Ale większość nowych przyjaciół była skromniejszego pochodzenia, tak jak Leyden. William Laidlaw był młodym farmerem, rozsądnym i uczuciowym. Jego umiłowanie poezji i pięknej przyrody dorównywało jego zamiłowaniu do wiejskich sportów na świeżym powietrzu. U Laidlawa Scott poznał innego jeszcze pasterza, niejakiego Jamesa Hogga, który nauczył się pisać pracowicie kopiując zdanie po zdaniu stronicę książki, gdy pał owce. Wśród jego przodków po mieczu były podobno czarownice, a ojciec jego matki twierdził, że jest ostatnim człowiekiem, który rozmawiał z elfami. W takim otoczeniu nie mogło zabraknąć tematów do kolekcji ballad.

Hogg był przystojnym, rudowłosym mężczyzną, który tęgo pił, z zapalem oddawał się miłostkom, barwnie opowiadał, uwielbiał Burnsa — którego poezję miał później przygotować do druku — i sam był nie najgorszym poetą. W tomie *Wspomnień*, wydanym już po śmierci Scotta, pisał o Walterze, że „był to jedyny człowiek, do którego nikt, biedny czy bogaty, nie żywił nigdy niechęci”. Pewnego wieczoru w obergerzy Hogg czytał na głos jeden ze swoich poematów — osiemdziesiąt osiem stancy — a Scott w parę tygodni później potrafił powtórzyć ten utwór co do słowa od początku do końca, czego sam autor nie potrafił!

Przyszedłszy z wizytą do Scottów na samym początku ich znajomości, Hogg zastał Charlotte Skuloną na sofie, z podwiniętymi nogami. Źle się czuła. Hogg uznał, że dobre maniere wymagają, aby i on usiadł w podobnej pozycji, co też zaraz uczynił, nie dbając o to, że jego obuwie i odzież były w takim stanie, jak by poprzednio leżał w kącie podwórza. Scott pilnował go w czasie obiadu i umiejętnie zmieniał temat, ilekroć Hogg rozpoczynał niezbyt stosowną historyjkę, ale nie mógł go powstrzymać od picia. Gdy wychodził, nazywał swojego gospodarza „Wattie”, a do pani domu mówił po imieniu i był niejakie wątpliwości, czy trafi do swego mieszkania.

Przyjaciele Scotta utrudniali czasem życie rozkochanej w elegancji i wytworności Charlotcie, ale ona patrzyła na wszystko oczyma swego męża.

Walter nie na darmo narażał wrażliwość towarzyską swojej żony na szwank. W latach 1802— 1803, gdy Scott skończył trzydzieści lat, ukazały się kolejno trzy tomy Księgi minstrelów szkockiego Pogranicza (*Minstrelsy of the Scottish Border*). Pierwsze dwa wydał James Ballantyne, trzeci — wraz z drugim wydaniem pierwszych dwóch — opublikowało wydawnictwo londyńskie Longman, Hurst i Ska. „Tymi wysileniami, choćby słabymi — pisał Scott — przydam może coś nowego do historii mojej ojczyzny, której szczególne cechy, obyczaje i charakter z dnia na dzień nikną i rozpluwają się, przemieszane z obyczajem kraju siostrzanego i sprzymierzonego. I chociaż drobna to ofiara, złożona duchom przodków królestwa niegdyś dumnego i niepodległego, składam ją na ich ołtarzu z mieszaniną uczuć, których nie będę opisywać.”

Księga *minstrelów* była kamieniem milowym, który oznaczał przemianę Waltera Scotta — adwokata i zastępcy szeryfa — w Waltera Scotta poetę i przyszłego powieściopisarza. A był to również kamień węgielny w dziejach literatury szkockiej. Zawierał czterdzieści trzy utwory nie drukowane jeszcze

nigdy, z bardziej znanymi jak sławne *Riding Ballads*. Bez pracowitych, wieloletnich poszukiwań Scotta prawdopodobnie wiele z nich przepadłoby bezpowrotnie.

Matka Hogga, wojownicza niewiasta, która podyktowała synowi wiele ballad z własnej bogatej pamięci, zaatakowała publikację z charakterystyczną bezpośredniością: „Ani jedna z moich pieśni nie była wydrukowana do tej pory, dopóki ty tego nie zrobiłeś i nie zepsułeś ich zupełnie. One były stworzone do śpiewania, nie do czytania, ale ty przerwałeś czar i nigdy nie będą już śpiewane tak jak dawniej”.

Bądź co bądź opinia Ritsona o dokładności Scotta i zgodności tekstów z tradycyjnymi przekazami była bez wątpienia słuszna. Minęło całe stulecie i wbrew różnym atakom nikt nie zdołał podważyć tego niewątpliwego faktu, że Scott z całym pietyzmem potraktował ten autentyczny surowiec literacki. Jeżeli istniały drukowane już teksty, Scott sprawdzał różne wersje i oczywiście posługiwał się nimi. Ale cele jego były literackie, nie naukowe. A co do literackiego osiągnięcia, było ono bardzo istotne. W balladach Pogrnicza noc tętni kopytami pędzących jeźdźców, drzwi dygocą od gwałtownego stukania, rozbrzmiewają krzyki. Grupy śmiałków przemykają przez granicę i wkrótce przez przełęcz górskie galopuje wystraszone bydło popędzane długimi biczami. W zielonym cieniu lasów rycerze torują sobie drogę w poszukiwaniu pięknej dziewczyny albo trudnej walki, a niejedno kobiecie ucho nasłuchuje długo w noc tętentu kopyt powracających koni. Nie brak też wróżek, elfów i czarownic w tych balladach, które raz przeczytane, na zawsze zostają w pamięci i w sercu.

Angielski pisarz H. V. Morton, człowiek, który by przypadł do serca Scottowi, pisał: „Ballady Pogrnicza przychodzą do nas z wiatrem i deszczem szumiącym wśród kart książki; z cichym, przyjaznym blaskiem ognia na kominku i z dalekim echem harfy między wierszami. Nie możemy nie rozpoznać w nich autentycznej bramy do innego świata. Są tak obnażone, tak niezawstyżone, tak szczere, rzeczywiste, jak szabla odkopana na polu bitwy”.

Za Księgi *minstrelów* Walter Scott dostał 600 funtów — niezbyt wielkie wynagrodzenie za tyle trudu. Ale w trakcie zbierania materiału i opracowywania go kompilator sam stał się poetą, zdolnym syntetyzować życie, obyczaje i dzieje Pogrnicza. Prócz tego dziesięć lat przygotowywania tej publikacji uczyniło go sławnym, zwłaszcza na Pogrniczu. Poeta William Wordsworth odwiedził Scotta w Lassewade i następnie udał się na południe. Gdy przybył na Pogrnicze, przekonał się, że sama tylko wzmianka o przyjaźni ze zbieraczem legend i ballad wystarczała, by zapewnić mu najserdeczniejsze przyjęcie, gdzie tylko się pojawił. Oprócz jednego wyjątku. Scott miał się spotkać z Wordsworthem w miejscowości zwanej Clovenford, aby mu pokazać stare ruiny i opowiedzieć o nich ciekawe legendy. Gdy Wordsworth tam przybył, okazało się, że gospodyni oberży miała tylko jeden wolny pokój o dwóch łózkach do dyspozycji.

— Ten pokój — powiedział Wordsworth — będzie dla mnie i dla pana zastępcy szeryfa.

— O tym postanowimy, kiedy pan Scott tu przyjedzie — odpowiedziała stanowcze rezolutna oberżystka. — Może on będzie miał co do tego zastrzeżenia i nie zechce spać w jednym pokoju z panem. A jeśli tak, to pan będzie musiał poszukać sobie innego noclegu.

Różnego rodzaju zmiany miały teraz nastąpić w domu Scotta. Lord Porucznik Selkirku zażądał, aby Scott zastosował się do przepisu, według którego zastępca szeryfa musiał mieszkać przynajmniej przez cztery miesiące na rok w swoim hrabstwie. Trzeba więc było wyrzec się chatki w Lassewade

i szukać domu dalej na południe. Trzecie dziecko, Anna, przyszło na świat właśnie wtedy, gdy rodzice rozważali sprawę wyboru nowej rezydencji wiejskiej. Kapitan Robert Scott, stryj, z którym Walter był tak serdecznie zaprzyjaźniony, zmarł i zostawił bratankowi swój dom, Rose Bank, w Kelso oraz blisko tysiąc funtów szterlingów. Lord Porucznik mógłby może uznać, że Kelso znajduje się dość blisko Selkirku, aby zastępca szeryfa mógł tam zamieszkać. Ale Scott zdecydował, że Rose Bank nie ma charakteru dostatecznie wiejskiego, a co więcej, że żyjąc tutaj miałby zbyt wielu szkockich arystokratów wokoło, „co nie jest dobre dla prostych ludzi”.

Sprzedano więc Rose Bank za 5 000 funtów, co było dalszym bardzo przydatnym dopełnieniem funduszy. Pewien kuzyn Waltera oddawał w dzierżawę posiadłość zwaną Ashestiel — na wpół dwór, na wpół gospodarstwo — o pięć mil lotem ptaka od Galashiels, a siedem mil od Selkirku. Były tu dobre pastwiska, staroświecki ogród z zielonymi tarasami i wysokie żywopłoty ostrokrzewu. Dwór wybudowano nad rzeką Tweed, dość daleko od kościoła i targu, aby zadowolić upodobania Scotta do wiejskości. Dojeżdżało się do niego przekraczając bród. Okolice była dość dzika i górzysta, ale pomimo to uprawna.

Wprawdzie Walter wolałby kupić coś na własność, jednakże Ashestiel podobał mu się. Charlottcie również — i umowę podpisano. W trakcie przygotowań do przeprowadzki i likwidowania posiadłości kapitana Scotta, Walter musiał pojechać na pomoc młodszemu bratu, Danielowi, który uwikłał się w aferę z jakąś intrygantką i został ojcem nieślubnego dziecka. Walter wysłał młodzieńca do Indii Zachodnich. Co do jego pozostałych braci, to marynarz znalazł śmierć na morzu w roku 1737, John, który z pomocą pieniędzy ojcowskich został majorem w wojsku, więcej czasu spędzał na grze w wista niż na pełnieniu swoich obowiązków militarnych, Tom, drugi młodszy brat, dla którego Walter zachował dużo przywiązania, prowadził dalej praktykę prawniczą ojca i miał również w najbliższych latach przyczynić niemało kłopotów.

Ale wśród tych wszystkich przeszkód przeprowadzka do Ashestiel odbyła się sprawnie. Nieraz wierzchowiec zrzucił Scotta, który jeździł dobrze, ale z lekkomyślną brawurą. Miał zwyczaj forsować konno wysokie skarpy, co znaczyło, że za najłżejszym pośliznięciem koń i człowiek staczali się razem na samo dno. Ustawiczne a niezamierzone kąpiele w rzece Tweed były wynikiem zamiłowania Scotta do łowienia łososi oszczepem przy blasku pochodni, kiedy to jego porywcze i źle wyliczone rzuty często sprawiały, że tracił równowagę. Wynurzał się z wody parskając i plując. Jego towarzysze byli nieraz przestraszeni tymi wypadkami, ale Scott wyłaził na brzeg zanosząc się od śmiechu.

Do występowania w sądach, załatwiania obowiązków zastępcy szeryfa, zbierania starych legend i podań, pisania poezji przybyło teraz nowe zajęcie — gospodarowanie. Z dziecinnych lat spędzonych w Sandyknowe i z młodzieńczych wizyt w Rose Bani Walter zapamiętał coś nie coś z rolnictwa i hodowli. Ale nie było tego dosyć. Wyznał przyjacielowi: „Bardzo mało wiem o tych sprawach, ale uznałem za wygodne pozwolić ludziom przypuszczać, że znam się na tym doskonale i bardzo się tym interesuję, chociaż nieraz wiele mnie trudu kosztuje utrzymanie tych pozorów”.

Wtedy to odbyło się spotkanie z człowiekiem który miał go nauczyć gospodarowania i do którego Scott przywiązał się z czasem głęboko. Jako zastępca szeryfa Scott sądził drobniejsze przestępstwa. Wkrótce po przeprowadzce do Ashestiel przyprowadzono przed sąd muskularnego mężczyznę o twarzy sprytniej i pełnej humoru. Był on z zawodu pasterzem, ale z zamiłowania kłusownikiem: polował na pardwy, w które wrzosowiska szkockie obfitują. Oskarżony o kłusownictwo na prywatnych gruntach, może pogratulował sobie w duchu, że dostał się do sędziego o jasnych włosach

i wesołych oczach, o którym mówiono, że łatwo go wzruszyć opowieścią o nędzy i nieszczęściu. Oskarżony, nazwiskiem Tom Purdie, człowiek o ciemnych włosach, okrągłej twarzy, bystrych niebieskich oczach, rzymskim nosie i upartych ustach — przyznał się do winy. Scott zapytał go, dlaczego zajmuje się kłusownictwem. Purdie wyjechał z długą i wzruszającą historią o głodnej żonie i drobnych dziatkach. Scott miał miękkie serce i lubił słuchać dobrze opowiadanych historii. Ale znał swoje obowiązki. Zapytał więc z kolei, dlaczego zamiast zapracować na utrzymanie rodziny, Tom wolał raczej popełnić przestępstwo.

— Pracy jest mało, wielmożny panie, a pardw pod dostatkiem — brzmiała odpowiedź.

Zastępca szeryfa powstrzymał uśmiech. Udzielił oskarżonemu upomnienia, wygłosił wzniosłe kazanie o cnocie i uczciwości i zakończył:

— Musisz się zobowiązać do niełamania przepisów. I masz czekać na mnie przed sądem.

Kodycył tego wyroku nie bardzo był formalny. Ale raczej ludzkość niż prawna skrupulatność cechowała zawsze urzędowe wyroki Scotta.

Purdie czekał przed sądem i w rezultacie został zaangażowany do Ashestiel w charakterze pasterza. Okazał się doskonałym znawcą hodowli i rolnictwa. Jego niepodległa natura i bezpośredniość jego wypowiedzi zjednały mu sympatię Scotta, który stopniowo powierzał mu wszelkie obowiązki, jakim ten człowiek mógł sprostać. Z pasterza został gajowym. Następnie, na zasadzie, że kłusownicy najlepiej wiedzą, jak schwytać kłusownika, został leśniczym z obowiązkiem pilnowania zwierzyny. W ciągu dalszych lat Scott nauczył go nawet obowiązków bibliotekarza. Jednego tylko zajęcia nigdy mu nie powierzono: a to piwnicznego; zbyt wielką miał skłonność do trunków.

Zdarzały się nieporozumienia między panem a jego pracownikiem na temat załatwiania takich czy innych spraw gospodarczych. Często, zwłaszcza na początku, Scott ustępował. Później nabrał zaufania do własnej wiedzy gospodarskiej. Upierał się wówczas i nakazywał wykonanie czegoś własnym sposobem. Purdie obrażał się, odchodził pod pozorem, że ma pilną robotę, i w pół godziny później wracał mówiąc, że starannie rozważywszy kwestię — w umyśle Scotta już nie było żadnej kwestii — uznał, że propozycja pana jest słuszna.

Charlotte miała powóz, którym Walter często powoził w taki sposób, że jego żona coraz rzadziej jeździła z nim skarżąc się, że jej nerwy nie zniosą dłużej tej szalonej jazdy, tego pędu po zakrętach i górach, nie mówiąc już o brodzie u stóp wzgórz prowadzących do Ashestiel. Prosiła go, by zaangażował spokojnego i pewnego stangreta. Długo opierał się tym sugestiom. Ale Tom Purdie przyglądał się, jak jego pan powozi. Może w swój spokojny sposób naradził się z panią domu. Bądź co bądź nadszedł dzień, gdy pasterz dostrzegł powóz, który pędził na złamanie karku do domu, podskakując i przechylając się po nierównej drodze. Otworzył drzwiczki i troskliwie zapytał panią domu, czy nic się jej nie stało, czy nie jest za bardzo potłuczona. Po czym, zabierając lejce z rąk swego pana rzekł znacznie surowszym tonem, niż zastępca szeryfa w sądzie odezwał się do niego:

— Szatan w panu siedzi, wielmożny panie. Nie powstrzyma się pan, dopóki nie przyniosą tu pana nogami naprzód. Otóż, jeśli mi wolno doradzić, wielmożny panie, ja mam szwagra, nazywa się Peter Mathieson. Pierwszorządny stangret. Nie polecałbym nikogo, kto..

Połączony atak ze strony Charlotty i Toma zwyciężył nawet Waltera Scotta. Zaangażowano Mathiesona, który odtąd powoził.

Scott próbował hodowli owiec, chociaż bez wielkiej satysfakcji, zajmował się też rolnictwem, ale bez wielkiego powodzenia. Nie wkładał serca w te zajęcia. „Nie cierpię gospodarki — powiedział przyjacielowi — cóż mnie może obchodzić tuczenie zwierząt po to tylko, by je zabić, albo zasiewanie zbóż po to, by je ścinać?” Ale już w Ashestiel, które do niego nie należało, zaczął oddawać się namiętności, która nim później oświała — sadzeniu drzew. Wyjaśniał temu samemu przyjacielowi: „Nie znasz cudownych rozkoszy plantatora; jest on jak malarz, który kładzie farby na płótno i ogląda rezultaty swojej pracy. Nie ma sztuki ani zajęcia, które by się mogło z tym porównać... Czujesz się w takich chwilach panem przyrody, zmieniasz jej oblicze według własnych życzeń, zmuszasz ją, by stała się tym, czym ty ją chcesz widzieć.”

Dzień w Ashestiel zaczynał się dla Scotta o piątej rano. Zimą palił w kominku w swoim pokoju, golił się i ubierał z wielką starannością, po czym osobiście karmił konie. O godzinie szóstej zasiadał do biurka gotów do pracy literackiej, której poświęcał czas do dziewiątej albo do dziesiątej, kiedy Charlotta schodziła na śniadanie. Na każdy list odpisywał tego samego dnia, kiedy go dostał. Książki i papiery utrzymywał zawsze w idealnym porządku, ponieważ, jak mówił, zaoszczędzało mu to czasu. Pracował znowu do południa, a następnie wypuszczał się na pola i lasy, konno i z psami. Psów w jego domu nigdy nie brakowało. Douglas i Percy, charty, wyskakiwały i wskakiwały przez otwarte okno do jego gabinetu, a do bulteriera Campa odnoszono się z szacunkiem należnym poważnemu wiekowi i doświadczeniu.

Pisząc i gospodarząc, Scott nie zaniedbywał jednak edukacji swoich dzieci. Nie lubił internatów, zaangażował więc guwernantkę do dziewczynek, a synów (drugi, Karol, urodził się w roku 1805) sam uczył łaciny. Można przypuszczać, że z większym zapałem uczył ich starych pieśni i legend. Jednego przedmiotu tej edukacji chłopcy i dziewczynki uczyli się wspólnie — konnej jazdy. Ledwie Zofia, najstarsza, mogła się utrzymać na kucyku, już Scott uczynił ją towarzyszką swych codziennych przejażdżek, uczył ją śmiać się z upadków i śmiało prowadzić wierzchowca przez strumienie i brody. „Bez odwagi — uczył dzieci — nie może być prawdomówności, a bez prawdomówności żadnych innych cnót.”

Można by powiedzieć, że tych różnorodnych zajęć starczyłoby, by wypełnić życie człowieka. Ale w swej energii i intelektualnej płodności Walter Scott z pewnością wznosił się ponad poziom przeciętnego człowieka. Pisywał regularnie artykuły dla najważniejszego periodyka literackiego Szkocji «Edinburgh Review». I zaczął próbować nowej dla siebie formy literackiej — powieści. W roku 1805 napisał kilka; pierwszych rozdziałów *Waverley*. Pokazał je wrażliwemu i inteligentnemu Williamowi Erskine'owi. Ten surowy krytyk orzekł, że akcja jest tu zbyt powolna i senna, by mogła przypaść do gustu czytającej publiczności. Toteż, jak tyle początków innych arcydzieł albo prawie arcydzieł, i te początki, około pięćdziesięciu kart powieści, która miała położyć fundamenty sławy literackiej Waltera Scotta, rzucono do szuflady, gdzie leżały przez dłuższy czas.

PIERWSZY KROK KU KATASTROFIE

Gdy powieść *Waverley* leżała w zapomnieniu, inny utwór Scotta zasłynął od północnych krańców Szkocji aż po kanał La Manche. Odszukiwanie, redagowanie i przygotowywanie do druku ballad Pogranicza natchnęło pisarza do odtworzenia dawnych legend w formie wierszowanej. Usłyszał podanie o chochliku czy skrzacie imieniem Gilpin Homer i wokół niego osnuł poemat, który pozwolił mu odmalować to wszystko, nad czym jego płodna imaginacja pracowała od czasu, gdy przetłumaczył Goethego *Goetz von Berlichingen*.

The Lay of the Last Minstrel (Pieśń ostatniego minstrela) została wydana w roku 1805 przez Longmana, Hursta i Skę, a wydrukowana przez Jamesa Ballantyne'a. Był to pierwszy bestseller poetycki wydany w języku angielskim — sprzedano czterdzieści tysięcy egzemplarzy tego utworu, zanim został włączony do Dzieł Wszystkich. Dziś czytają go tylko studenci literatury, ale jeszcze przed czterdziestu laty cieszył się powodzeniem u czytelników różnego wieku, czytany z zapałem przez głowę rodziny rozentuzjasmowanym słuchaczom. Jego rytm i forma poetycka — nieregularne strofy złożone z wierszy, z których każdy zawiera po cztery akcenty i siedem do dwunastu zgłosek — nie są już od dawna modne. Styl ballady i jej romantyczna atmosfera były celowo wybrane przez autora, który znał ówczesne gusta czytelników.

Historię tę opowiada stary minstrel, ostatni z tego zawodu — opowiada, jak Lord Cranstoun zakochał się w córce Lady Buccleugh, Małgorzacie, wbrew waśni dzielącej te dwa arystokratyczne rody. Rzecz dzieje się w XVI wieku. Cranstoun ma sposobność oddać domowi Buccleugh usługę, która zbliżnia dawną waśń i pozwala mu pojąć za żonę Małgorzatę. Ale oczywiście, to nie fabuła, lecz forma tego epickiego poematu ma tu największe znaczenie, technika tkania jak gdyby wzorzystego haftu z krajobrazów, charakterów i akcji, malowniczość i dramatyczność: wybór wiersza najstosowniejszego do tematu i umiejętność utrzymywania czytelnika w napięciu samym impetem środków ekspresji.

Scott powiedział do Williama Wordswortha, że utwór ma „tę zaletę, iż był pisany sercem i dobrą wolą, a nie miałem w tym żadnego innego celu, jak tylko uwolnienie mego umysłu od idei i marzeń, które go oblegały od dzieciństwa”. Poemat jest bez wątpienia przesycony szlachetnymi uczuciami. Jeden z najczęściej cytowanych ustępów — o powrocie do rodzinnego kraju po długiej nieobecności — odtwarza uczucia, których Scott sam nigdy nie zaznał; w innym ustępie autor dowodzi, że ruiny opactwa z XII wieku w Melrose na Pogranczu wydają się najpiękniejsze o północy — a Scott nigdy w życiu nie był tam o północy, choć za dnia zdeptał każdy kamień tej ruiny, po wielokroć niszczonej i odbudowywanej. Premier Anglii William Pitt powiedział, że niektóre obrazy odtworzone w *Pieśni* mają walory obrazów malowanych na płótnie.

Wady poematu dostrzec może nawet mało wyrobiony czytelnik: naiwna fabuła, pośpieszny i niedoskonały warsztat, częste ześliżnięcia się w stronę cukierkowej słodyczy. Scott nigdy nie był sumiennym artystą, opracowującym po wielokroć obfity materiał, wygładzającym prymitywny diament w bezbłędnie oszlifowany brylant. Jego talent płynął bujną, niepowstrzymaną falą, pod której wpływem poeta spieszenie przelewał na papier nadmiar tłoczących się myśli i oddawał karty drukarzowi, a sam nie poświęcał im więcej troski w natłoku nowych pomysłów i różnych zajęć. A przecież ten jego pierwszy ogłoszony drukiem dłuższy poemat należał bezprzecnie do najważniejszych utworów, jakie ukazały się wtedy w języku angielskim.

Wobec tego, że Scott sprzedał prawa autorskie, co oznaczało, iż nie miał udziału w dochodach ze sprzedaży dalszych egzemplarzy ponad dziesięć tysięcy, otrzymał w sumie za *Pieśń ostatniego minstrela* niecałe 800 funtów. Ale ten poemat wyrobił mu nazwisko. Większość krytyków odniosła się do utworu przychylnie, chociaż kilku swą złośliwą oceną zasłużyło na ripostę poety: „Wielu z tych panów przypomina mi blacharzy, którzy nie umiając robić garnków zabierają się do ich naprawiania i — Bóg wie! — często robią dwie dziury łatając jedną”.

W rok po zdobyciu sławy, którą mu przyniósł poemat, Scott udał się do Londynu i dopiero w czasie tego krótkiego pobytu w stolicy zrozumiał, co to znaczy zostać w ciągu jednej nocy literackim lwem salonowym. Pochlebiano mu, zachwycano się nim, gdziekolwiek się udał. Jak tylu innych, Scott wpędce się znużył tymi zachwytaami, które początkowo schlebiali jego próżności. Ale dumny był niesłuchanie z zaproszenia do domu porzuconej małżonki następcy tronu, księżny Karoliny — którą później opisywał wierszem jako „piękność w smutku” — gdzie miał recytować swoje poezje. Z typowym dla niego brakiem egoizmu wtrącił również kilka utworów Jamesa Hogga i opuścił rezydencję z obietnicą królewskiej pani przyłączenia się do subskrypcji na wydanie poematów pasterza-poety.

Wszystko więc układało się pomyślnie. W dziedzinie twórczości literackiej Scott czuł się na pewnym gruncie, Ale teraz wyobraził sobie, że może również grać rolę człowieka interesu. *Pieśń* przyniosła sławę nie tylko autorowi, ale i drukarzowi, Jamesowi Ballantyne. Zamówienia drukarskie płynęły zewsząd. Aby sprostać tym zamówieniom i rozwinąć przedsiębiorstwo, potrzeba było kapitału. Ballantyne, uniósłszy swoim zwyczajem w górę jedną brew w dziwnym grymasie, poprosił o pomoc tego samego dobroczyńcę, dzięki któremu mógł się przenieść z Kelso do Edynburga. Scott dał nurka w na pozór spokojne wody handlu i finansów, nie zastanowiwszy się wcale nad możliwością skał czy mielizn ukrytych pod błękitną powierzchnią.

Ballantyne dowodził, że jako drukarz zna się doskonale na swojej specjalności i że już sobie wyrobił nazwisko i pozycję. To było prawdą. Scott bezkrytycznie przyjął jego propozycję i zapewnił, że będzie stale dostarczał drukarni materiału pod postacią płodów swego pióra i pióra znajomych pisarzy Ballantyne mówił przekonywająco, choć bez dowodów; zapewniał, że zyski będą ogromne, ryzyka żadnego. Kusząc tam i z powrotem po gabinecie w Ashestiel — Camp szedł za nim krok w krok, jak by chodzili razem po gospodarstwie — Scott głośno rozprawiał na temat wielkiej fortuny, jaką muszą zrobić zarówno drukarz, jak i autor. Wobec czego Ballantyne zwrócił rozmowę na tematy konkretne i oznajmił, że w obecnej chwili potrzeba mu 5 000 funtów. Scott odrzekł, że tyle właśnie dostał w spadku po stryju Robercie. Za tę sumę Ballantyne ofiarował jedną trzecią udziału w swoim przedsiębiorstwie. Scott uściśnął jego pulchną dłoń i oświadczył, że są współnikami.

Rzadko chyba się zdarza, aby dwaj ludzie tak kompletnie niezdolni do prowadzenia interesów handlowych zabrali się wspólnie do pracy, która wymagała zimnej krwi, rutyny handlowej i kamiennych serc. Poeta głosił wzniosłe i niepraktyczne pomysły w rodzaju zbiorowego wydania wszystkich dzieł Samuela Richardsons, Henryka Fieldinga, Tobiasza Smolletta, Laurence Sterne'a, Johna Drydena, Jonathana Swifta i wielu jeszcze innych. Dla uzupełnienia miały się ukazywać liczne utwory najrozmaitszych pisarzy współczesnych, którzy przeważnie wcale na to nie zasługiwali, z czego Scott w swej szlachetnej wspaniałomyślności nie zdawał sobie sprawy. Przypisy i biografie miał sporządzać Scott oraz paru wybranych przez niego edynburskich filologów. Byłoby to wszystko teoretycznie możliwe, gdyby firma stała już naprawdę na mocnych nogach. Ale lekkomyślny,

pompatyczny i prawdopodobnie uczciwy Ballantyne również był entuzjastą, człowiekiem niepraktycznym, niezdolnym do regularnego prowadzenia dokładnej rachunkowości, a tym mniej do przedstawienia finansowego stanu w sposób jasny i ścisły. Każdy z tych współników z osobna zupełnie się nie nadawał do prowadzenia przedsiębiorstwa, a kłopoty ich co najmniej wzrosły w dwójnasób, gdy postanowili działać razem.

Założenie spółki było pierwszym aktem tragedii. Z tego źródła wypłynęły późniejsze klęski, które spotkały Scotta. Bez spółki wydawniczej i wynikłej z tego katastrofy może nie powstałoby wiele powieści tego autora.

*

*

*

Scott przez długi czas utrzymywał, że pisarz nie powinien być uzależniony finansowo od dochodów ze swej twórczości, gdyż taka sytuacja zmusza go do słuchania raczej brzęku monet w kieszeni wydawcy aniżeli głosu natchnienia, a także do zbytnej wrażliwości na pochwały lub nagany krytyków. Tak więc — właśnie w chwili gdy powodzenie jego pierwszego większego poematu mogłoby, gdyby zechciał, ustalić jego reputację jako zawodowego literata — Scott wolał starać się o nominację, którą uzyskał. Został pisarzem sądowym w Edynburgu. Stanowisko to zobowiązywało go do paru godzin pracy dziennie w sądzie w ciągu sześciu miesięcy na rok. Pensja była dobra wynosiła 1 300 funtów rocznie. Gdy Scott objął swoje obowiązki, jego poprzednik na tym stanowisku jeszcze żył, choć był tak stary, że już nie mógł pracować — nowo mianowany pisarz miał od razu objąć urzędowanie. Pensję jednak mógł dostać dopiero po śmierci poprzednika — która, jak się spodziewano, musiała niebawem nastąpić.

W trzy lata później Scott pisał ze zrozumiałym niezadowoleniem, chociaż i z humorem: „mój przyjaciel odzyskał siły i o ile nie wynajmę jakiegoś rozbójnika z Pogranicza, by mu podciął gardło, gotów żyć równie długo, jak i ja — takim oszustwem „bywają te choroby!” Czekał jeszcze drugie trzy lata, nim wreszcie zaczął pobierać swoją pensję. Był jednak rad czując, że ma przyszłość zapewnioną — taka nominacja była zawsze dożywotnia. Lubił też kontakty z sądami, tym najbogatszym może źródłem surowca literackiego, i chętnie widział się związanym ze stolicą, jakby w obawie, że zaśniejdzie na wsi, wśród rozkoszy łowienia łososi i sadzenia drzew.

Co prawda, nie było żadnych obaw, aby Scott zaśniedzał w jakiejś jednej specjalności. Zaczął między innymi zbierać materiały do Dzieł Wszystkich poety z XVII wieku, Johna Drydena, które miała wydać drukarnia Ballantyne Press, i wybrał się na Południe, do Londynu, by przeszukać zbiory British Museum. Po przybyciu do stolicy zasypano go zaproszeniami „od sekretarzy stanu i ministrów”. Znajdował przyjemność w wirze towarzyskiego życia, ale z niejaką złośliwością pisywał o tym w listach do Charlotty. Na jednym z przyjęć „zebrała się kompania najbrzydszych starych wiedźm, jakie widziałem kiedykolwiek w życiu. Był też jakiś niemożliwie nudny polityk angielski z piekielną pamięcią do dat i nazwisk, którymi nas zalewał bez żadnej litości”.

Ale nie wszystkie jego znajome panie były starymi wiedźmami. Na innym przyjęciu spotkał sławną kurtyzanę, Henriettę Wilson. Opisał ją — nie bez uznania — jako „zgrabną, śmiałą dziewczynę o pięknych oczach, ciemnych włosach i manierach rozhukanego uczniaka”. Miał niebawem nadejść czas, kiedy Scott — otoczony jeszcze większą sławą — trochę niepokoił się tym, iż znał Henriettę

Wilson. Z upływem lat pięknej kurtyzanie coraz trudniej było znaleźć nowych protektorów, zabrała się więc do szantażowania dawniejszych. Zamierzała wydać pamiętniki o swoich byłych kochankach i wyłączała z tej planowanej książki tylko tych, którzy jej za milczenie zapłacili. Na szczęście znajomość ze Scottem wymknęła się widocznie z jej pamięci. Ku jego niewypowiedzianemu zadowoleniu i uldze, kurtyzana ani go nie opisała, ani nie szantażowała. Gdyby spróbowała szantażu, wydaje się więcej niż prawdopodobne, że Walter Scott byłby poszedł za przykładem Wellingtona, późniejszego zwycięzcy spod Waterloo, który, gdy Henrietta zagroziła mu opublikowaniem szczegółów ich stosunku, odpowiedział: „Publikuj i niech cię diabli wezmą!”

W czasie tego właśnie pobytu w Londynie w roku 1807 Scott nawiązał trwałą przyjaźń z Joanną Baillie, zajmującą się filantropią szwaczką, która sprawiła niespodziankę swoim znajomym, opublikowawszy w roku 1798 psychologiczne dramaty pt. *Plays on the Passions* (*Sztuki o namiętnościach*). Cieszyły się one wielkim powodzeniem w kołach literackich, chociaż następne pokolenia pominęły je milczeniem. Scott entuzjazmował się jej twórczością — zawsze zachwycał się utworami współczesnych mu pisarzy, nawet bezkrytycznie — ale prawdopodobnie istotną przyczynę zainteresowania się Joanną Baillie Scott wyraził w następującym opisie swej przyjaciółki: „Panna Baillie jest jedyną z piszących dam, której manierami w towarzystwie byłem prawdziwie zachwycony. Jest ona wcieloną prostotą, a te inne, które poznałem, są wcieleniem afektacji”.

Jedną z tych afektowanych była sześćdziesięcioletnia Anna Seward, poetka i powieściopisarka, nie tyle co prawda znana z powodu swej twórczości literackiej, ile dlatego, że jej piękny dom — zbudowany w XVII wieku — stał się ośrodkiem życia kulturalnego całej środkowej Anglii. Scott przyjął zaproszenie spędzenia paru dni u niej w powrotnej drodze do Szkocji, ostrzegłszy ją z góry, iż nie jest „gentlemanem-autorem”, lecz „narwanym pół-prawnikiem, pół-myśliwym, w którego głowie szumi i tętni, jak by regiment konnicy po niej harcował od chwili, kiedy miał pięć lat; na wpół wykształconym, a na wpół zwariowanym, jak mu czasem mówią przyjaciele”. Scott z przyjemnością zabawiał się konwersacją z tą damą, ale jej poezje uznał za bezwartościowe. Dobroć serca kazała mu jednak przyrzec jej, że zajmie się przygotowaniem do druku i wydaniem tych poezji po jej śmierci. Gdy w roku 1809 umarła, Scott dotrzymał słowa, a rezultatem były trzy tomy „cegieł”, wydanych kosztem Ballantyne Press.

W tym okresie Scott otrzymał dwie wiadomości: jedna była zasmucająca, aczkolwiek odległa, druga przykra i aż nazbyt bliska doprowadziła w rezultacie do wielu kłopotów. Jego przyjaciel i współpracownik przy przygotowywaniu *Minstrelsy of the Border*, John Leyden, pastuch i poeta, chciał studiować języki orientalne. Jego jedyną szansą dostania się do Indii było dopłynięcie tam w charakterze pomocnika chirurga okrętowego. Zabrał się więc do nauki i w sześć miesięcy przerobiwszy materiał, na który przeznaczano normalnie trzy lata, zdał wszystkie egzaminy. W Indiach opanował więcej języków orientalnych od jakiegokolwiek innego człowieka swoich czasów — i nadeszła wieść, że zapadł na jakąś ciężką tropikalną chorobę.

Druga wiadomość dotyczyła Toma, ulubionego młodszego brata pisarza. Tryb życia młodzieńca przekraczał jego możliwości finansowe, czego rezultatem było sprzeniewierzenie pieniędzy klientów. Przyjaciele pomogli Walterowi zatuszować skandal, ale on sam musiał znaleźć gotówkę na pokrycie należności. Toma z żoną i dziećmi wysłano na wyspę Man i zaopatrzone w pensję pochodzącą z synekury, którą wyrobił mu brat z racji swego stanowiska pisarza sądowego. Wyrobienie tej synekury trąciło nepotyzmem i niektóre wysoko postawione osoby takiego właśnie były zdania.

Zanim sprawa ucichła, w angielskiej Izbie Lordów odezwały się głosy krytykujące postępowanie Waltera Scotta. Bardzo wrażliwy na punkcie swego honoru i dobrego imienia rodziny — aczkolwiek pomagając Tomowi bez wątpienia przekroczył granice właściwego postępowania — Scott odmówił wypicia wina z lordem Hollandem, jednym z oskarżycieli, gdy go spotkał następnym razem. Było to przy okazji wieczornego bankietu w Edynburgu. Kuśtykając Scott opuścił salę. Lord Holland, ubawiony, wyjaśnił zebranemu towarzystwu, że jeśli sprawę nominacji Toma Scotta potraktować jako nagrodę za zasługi nominata, w takim razie obowiązek został poświęcony na rzecz prywatnej korzyści; ale jeśli miałoby to być pośrednią nagrodą dla Waltera Scotta, to „moim jedynym zastrzeżeniem byłoby tylko, że nagroda jest zbyt mała”.

Nominację Toma wkrótce zniesiono wraz z innymi podobnymi synekurami. Ale jednak bracia mieli ostatnie słowo, gdyż tym, którzy mieli synekury, przyznano dożywotnie renty. Może więc dlatego Scott przebaczył urazy i nawiązał później stosunki z lordem Hollandem, podchodząc do niego ze słowami: „Życie jest zbyt krótkie, by długo chować w sercu nieprzyjaźń”.

Nagła potrzeba pieniędzy w związku z płaceniem zobowiązań brata przyspieszyła ukazanie się nowego poematu Scotta, zatytułowanego *Marmion*. Podczas konnych przejażdżek po wzgórzach i wrzosowiskach wokół Ashestiel płodny umysł Scotta komponował strofę za strofą. A pod rozłożystym dębem na zachód od domu lub na dalekim wzgórzu zarośniętym wysokimi jesionami przelewał pieśń za pieśnią na karty manuskryptu.

Marmion opublikowano w lutym 1808 roku. Poemat ten opisywał w czteroakcentowych rymowanych wierszach dzieje zdrad Anglika, lorda Marmiona, który niegdyś uwiódł zakonnicę, a teraz stara się o bogatą dziedziczkę lady Clare, zaręczoną z sir Ralphem De Wilton. Marmion zwycięża Wiltona w turnieju i przypuszcza, że go zabił. De Wilton jednakże zdołał wyleczyć się z ran i mści się na Marmionie, faworycie króla Henryka VIII, zabijając go w znanej z historii, a tu przepięknie opisanej bitwie pod Plodden (1513), w której Szkoci ponieśli druzgocącą klęskę, wśród dziesięciu tysięcy poległych na polu bitwy zostawiając również króla Jakuba IV. W zakończeniu de Wilton i lady Clare są oczywiście szczęśliwie poślubieni.

Śpiewny rytm tego romantycznego poematu łatwo wpadał w ucho, toteż utwór natychmiast zyskał ogromną popularność. W domach wiejskich, w biurach Londynu, na ulicach Edynburga zakładano się o to, kto potrafi wyrecytować na pamięć najdłuższy ustęp. Opowiadano, że pewnej ciemnej nocy w Londynie dwaj mieszkańcy tego miasta, zupełnie sobie obcy, mijali się na ulicy, a jeden z nich deklamował sobie półgłosem opis śmierci Marmiona. Niespodziewanie w ciemności odezwał się nieznajomy głos, który podjął dalszy ciąg wiersza. Dwaj mężczyźni dokończyli wspólnie, stojąc twarzą w twarz, historię śmierci Marmiona, po czym uchylili kapeluszy i rozstali się ze śmiechem.

Krytycy w przeważnej większości wyrażali się z gorącym entuzjazmem o poemacie, chociaż Francis Jeffrey, sławny redaktor «*Edinburgh Review*», zaatakował autora za — jak się wyraził — zlekceważenie narodowych uczuć Szkotów i ich narodowego charakteru. Scott poczuł się tym dotknięty do tego stopnia, że odmówił dalszego pisania artykułów do czasopisma, ale zaprosił krytyka na obiad oznajmivszy, że „redaktor raczej chciał zabawić publiczność strzelaniem z bicia swego dowcipu, aniżeli osiągnąć winowajcę bolesnym uderzeniem”. Charlotta nie była tak pobłażliwa. Podtrzymywała formę grzeczności w ciągu obiadu aż do chwili, gdy Jeffrey już się żegnał. Wówczas zadała cios. „Dobranoc panie Jeffrey. Powiedziano mi, że pan oczernił Scotta w «*Review*» — mam nadzieję, że pan Constable dobrze panu za napisanie tego zapłacił!”

Archibald Constable, dawny księgarz, który zajął się działalnością wydawniczą, był właścicielem «Edinburgh Review». Przystojny, tęgi mężczyzna, o arystokratycznym wyglądzie i gładkich manierach, Constable był ambitny, przedsiębiorczy, chętny i despotyczny. Mimo to dawał się lubić. W talencie Scotta rozpoznał od razu możliwości dochodowe i starał się związać go ze swoimi wydawnictwami. Ofiarował mu tysiąc gwinei za prawa wydawnicze *Marmiona*. Scott przyjął. Constable nie miał takiej sumy w gotówce, zaproponował więc spółkę wydawcy londyńskiemu nazwiskiem John Murray. Ten nie wahał się ani chwili. Następnie Constable ofiarował Scottowi 1 500 funtów za biografię i przygotowanie do druku wszystkich dzieł Jonathana Swifta. Tak więc nareszcie literatura stała się poważnym dodatkiem do zarobków Scotta. Praca nad wydaniem Swifta — pisał Scott — „zajmie mi dorywczo dwa lata, ale będzie to dla mnie prawdziwą przyjemnością, a zysk jest nie do pogardzenia”. Wydanie dzieł Johna Drydena przygotował do druku w roku 1808. Biografia była trzeźwa i rozsądna, przypisy staranne, dokładne i trafne. Mniej mu się powiodło ze Swiftem: pracował nad nim sześć lat, nie dwa. Dziekan dublińskiej katedry św. Patryka był zapewne zbyt skomplikowanym i subtelnym charakterem, aby mógł go pojąć człowiek tak dobronudszny i otwarty jak Walter Scott.

Zainteresowawszy się twórczością Scotta, John Murray wciąż usiłował różnymi sposobami odciągnąć modnego poetę od Constable'a. Na początek zaproponował wydawanie nowego konserwatywnego kwartalnika «The Quarterly Review». Scott, zadowolony ze sposobności i pogębienia Jeffreya, chętnie przyrzekł współpracę, ale nie przyjął stanowiska redaktora. Od tej pory artykuły jego pióra, dawniej ukazujące się na łamach «Edinburgh Review», teraz pojawiały się regularnie w nowym czasopiśmie, do którego kierował również innych pisarzy, nie szczędząc rad i uwag krytycznych.

Widząc, że wydawcy tak dobijają się o jego utwory, i zdecydowawszy, że mógłby równie dobrze zgarniać dla siebie zyski, które im zapewniały płody jego pióra, Scott postąpił o krok dalej na drodze ku owej katastrofie, która miała go później przytłoczyć druzgocącym ciężarem. Zaproponował Jamesowi Ballantynie, aby do przedsiębiorstwa drukarskiego dołączyć działalność wydawniczą.

Ballantyne ze zwykłą sobie pompatyczną teatralnością oznajmił, że gdyby uczynili to przed pięciu laty, już by do dziś obaj zrobili wielkie fortuny. Scott powiedział, że może brat Jamesa, John, podjąłby się prowadzenia spraw wydawniczych. Ballantyne odparł, że jego brat jest jedynym człowiekiem ze wszystkich na świecie, którego chciałby widzieć pełniącego te obowiązki. Jedynym błyskiem zdrowego rozsądku, jaki nawiedził Scotta, było jego przypomnienie, że może praktyka — jedyna, jaką miał John — w ojcowskim zakładzie krawieckim nie była najlepszym przygotowaniem... Ale James uciszył tę nikłą wątpliwość, mówiąc, że przecież John uczył się księgowości w londyńskim banku. Scott zachichotał radośnie, przypominając sobie dowcipne anegdoty, które John miał zwyczaj opowiadać w oberżach i klubach skrzekliwym falsetem i z komicznymi minami przypominającymi grymasy jego brata. James dodał uroczyście, że on myśli o ważniejszych zaletach Johna. Śmiejąc się z jego pompatyczności, Scott rzekł, że człowiek tak dowcipny i wesoły, jak John, musi być przyjemnym partnerem w pracy.

W ten sposób powstała firma wydawnicza John Ballantyne i Ska. Scott włożył połowę kapitału jako wspólnik, a drugą połowę włożyli razem James i John, pożyczwszy tę sumę od... Scotta! John po takiej promocji uradował się perspektywą, że będzie miał teraz więcej czasu, by oddawać się swoim ulubionym zajęciom — polowaniu i wesołym biesiadom z kompanami. Był to niski, jeszcze niższy od brata, bardzo chudy mężczyzna o gładko wygolonej twarzy, który poruszał się dziwnymi podskokami.

Ani jednemu z tych fantastycznych wspólników nie przyszło do głowy — żaden w każdym razie tego nie wyraził — że ich połączona znajomość pracy wydawniczej mogłaby się zmieścić w skorupce od orzecha. James Ballantyne znał się na drukarstwie, które uprawiał jako sztukę. Jedynym talentem Johna okazała się umiejętność zdobywania kredytów jakimiś krętymi drogami. Żaden z nich nie znał się na prowadzeniu przedsiębiorstwa handlowego i każdy uważał tego rodzaju sprawy za niegodne ich uwagi. Scott w tym *milieu* był tylko dobrodusznym przyjacielem, który ani nie miał czasu, ani też nie widział potrzeby upierania się przy regularnym przedstawianiu porządnie prowadzonych rachunków. Dobroduszość poety dosięgła w tym wypadku rozmiarów wady i miała kosztować jego oraz jego rodzinę bardzo drogo.

Prowadzenie drukarni było stosunkowo łatwym zadaniem. Otrzymywano zamówienia — talenty drukarskie Jamesa były tu najlepszą reklamą — i po wykonaniu każdego z nich bywały tylko co najwyżej drobne opóźnienia w wyegzekwowaniu należności. Inaczej przedstawiała się sprawa z przedsiębiorstwem wydawniczym. Istniało ryzyko, że wydane książki nie zostaną rozprzedane. Podejmowano zobowiązania w stosunku do autorów, hurtowni papieru i introligatorów. Niepowodzenie oznaczało długi, powodzenie wymagało wciąż nowych wkładów kapitału, którego dostarczyć mogły tylko literackie zarobki Scotta.

Niewiele z tego rozumieli wspólnicy firmy John Ballantyne i Ska. Gdy nieunikniony krach nadszedł, upokorzony John wyznał płacziwie, iż „otrzymane znaczniejsze sumy nigdy jakoś nie wspierały przedsiębiorstwa. W istocie były one ekspensowane przez wspólników”.

Jeśli Scott miewał nieco praktyczniejsze myśli — co jest mało prawdopodobne — odsuwał je, zważywszy swoje pozorne bezpieczeństwo finansowe; miał przecież zapewniony znaczny jak na owe czasy dochód 2 000 funtów z urzędu w sądzie, z posady zastępcy szeryfa Selkirku i posagu Charlotty. Obecnie mógł liczyć, że do tego doda około tysiąca funtów szterlingów rocznie dochodów z pracy literackiej.

Jeśli sprawy handlowe i związane z nimi ryzyko nie spędzały mu snu z powiek, to pewne zdarzenie w Ashestiel zasmuciło go poważnie. Jego ukochany pies Camp od dłuższego już czasu chorował po wypadku, podczas którego skrzył sobie kręgosłup. Nie mógł więcej gonić zajęcy i królików na spacerach ze swoim panem, ale gdy Scott wracał do domu, pies, powodowany niezawodnym instynktem, wybiegał mu na spotkanie w stronę brodu lub przez góry, nie myląc się nigdy w ocenie kierunku, skąd pan miał przyjechać. Pies nadal towarzyszył całej rodzinie, gdy przenoszono się do Edynburga na okres sesji sądowych. Tam właśnie, ku wielkiemu żalowi wszystkich, rozstał się z tym światem. Scott własnoręcznie wykopał mu grób w ogrodzie domu przy ulicy Zamkowej. Po czym pan, pani i służba asystowali przy pogrzebie, wylewając łzy serdecznego żalu. Tego wieczoru Scott miał być na proszonym obiedzie. Posłał wyjaśnienie, że nie będzie mógł przybyć „z powodu śmierci drogiego, starego przyjaciela”.

„PLUJĘ PROSTO DO RZEKI TWEED”

Wysokie drzewa u skraju lasu, przez który Scott jechał konno, rzucały wydłużone cienie na ścieżkę, przed kopyta jego wierzchowca. Wyjechał na przedobiedni spacer; gdy wynurzył się spomiędzy drzew na rozległą polanę, słońce skłaniało się już za horyzont. W tej samej chwili ze zdziwieniem spostrzegł jakąś postać, która wspierając się na wysokim kiju chodziła tam i z powrotem wzdłuż polany. Scott zwrócił konia w tę stronę, ale postać znikła, nim się zbliżył. Zaintrygowany poeta zsiadł z wierzchowca i zaczął się uważnie rozglądać. Nie było tu nigdzie żadnego schronienia, gdzie by można było się ukryć; stał więc zdziwiony, pocierając wysokie czoło. Zastanowiwszy się, że nic przecież nie pił, Scott wsiadł na konia i pojechał. Gdy oddalił się o jakieś pięćdziesiąt jardów, obejrzał się. Postać znowu tam była! Ściągnął cugle, gwałtownie skręcił, wbił ostrogi w boki konia i pogalopował z powrotem — tylko po to, by znów znaleźć puste miejsce. Ze zmarszczonymi brwiami chciał zsiść, by raz jeszcze zbadać grunt i całą przestrzeń dookoła, ale koń jego miał już dosyć tych eksperymentów. Najzupełniej ignorując wolę swego pana szalonym galopem pognął do domu.

Taka jest opowieść Scotta o duchach, którą powtarzał zawsze, ilekroć znalazł się w towarzystwie rozprawiającym o nadprzyrodzonych zjawiskach. Ale w Ashestiel były jeszcze inne kłopoty oprócz domnianego pojawienia się ducha. Gdy rzeka wezbrała zimą, nie można było przekroczyć brodu. Jeżeli jeszcze śniegi i lód pokryły góry, Scottowie byli zupełnie odcięci od wsi i miasta. Bywało, że nie można było dostać paszy dla koni, krów, owiec. Jagnięta, prosiaki i drób ginęły z głodu i zimna. „W końcu i dzieci — pisał pan domu — znalazły się w niebezpieczeństwie głodowania”.

Mogło być w tym wszystkim tyle samo przesady i wyobraźni, co w opowiadaniu o duchu. Ale ze zdobywaniem paszy dla zwierząt bywały istotne kłopoty. Scott odnosił się z nie mniejszą prawie czułością do bydła, co i do domowników. Od dzieciństwa nie jadał mięsa z żadnego zwierzęcia, które za życia głaskał, pieścił i z którym rozmawiał. Nadszedł dzień, kiedy w Ashestiel piękna para wołów, Gog i Magog, które Walter szczerze podziwiał, gdy ciągnęły pług, pojawiła się w charakterze sztuki mięsa na stole. Reszta rodziny i goście — wśród których byli starzy przyjaciele Skene i Erskine — oznajmili, że to najlepsza wołowina, jaką im się zdarzyło jeść na Pograniczu, ale zastępca szeryfa nie mógł się przymusić, aby przełknąć choćby kawałek.

Innym z gości był właśnie wtedy nowy znajomy, J. B. S. Morritt, który miał zostać jednym z najbliższych przyjaciół domu. Był to człowiek nauki i zamiłowany podróżnik, założyciel Klubu Podróżników. Scott przekonał się o jego zacności i szlachetności. Jako amator archeolog, Morritt zadał sobie wiele trudu, by określić ściśle miejsce, na którym stała niegdyś Troja. Niestety, późniejsze badania dowiodły, że Troja znajdowała się właśnie w miejscu, gdzie Morritt dowiódł sumiennymi argumentami, że stać nie mogła! Ale tego rodzaju pomyłki czyniły go tym miłszym sercu Scotta przyjacielem. Cenił wysoko jego niezmiennie dobry humor i wrodzoną dobroć. Do swego domu w hrabstwie York, prawdziwej skarbnicy dzieł sztuki, Morritt zakupił za 300 funtów obraz Velasqueza, znany jako Wenus z Rokeby, który dziś wisi w londyńskiej Galerii Narodowej. Scottowi podobało się ogromnie, gdy Morritt oznajmił o tym kupnie: „Mój piękny obraz pleców Wenus, malowany przez Velasqueza, umieściłem na honorowym miejscu nad kominkiem w bibliotece.”

Życie w Ashestiel — które nie miało już trwać długo — nie obywało się bez kłopotów i trudności, ale odpowiadało człowiekowi, którego obecnie uważano powszechnie za pierwszego poetę Wielkiej

Brytanii. „Gonię zające w dzień i ciskam oszczepem w łososie nocą: z tym wszystkim nie bardzo mi się chce pracować, czy to nad prozą, czy poezją.”

A jednak pracował. W maju 1810 roku firma wydawnicza John Ballantyne i Ska wydała następny, dłuższy poemat pióra starszego współnika. Poprzedniego roku Scottowie zwiedzali wąski, wspaniale zalesiony „glen”, czyli wąwóz na podgórzu Gór Grampiańskich w Szkocji, zwany Trossachs. Wędrując stamtąd wybrzeżami jeziora Loch Lomond wysłuchali tylu opowiadań o dawnych waśniach i najazdach, iż wedle własnych słów Scotta — „w jego biednej łepetynie rozpętała się prawdziwa burza rymów”.

Oparty na tych wspomnieniach poemat *The Lady of the Lake* (*Pani jeziora*), pobił wszelkie rekordy sprzedaży utworów poetyckich. W sześciu pieśniach poemat ten opowiada o dziewczynie, do której niejeden się zalecał; o szczęściu zaślubin po pokonaniu wielu przeszkód, nie bez przelewu krwi; o rycerskich i mniej rycerskich magnatach i ich śmiertelnych zmaganiach. Wszystko rozgrywa się w siedemnastowiecznej Szkocji na tle najpiękniejszych gór i glenów. Utwór zawiera wspaniałe opisy krajobrazów, burz w górach, polowania na jelenie, bitwy, a także kilka ustępów lirycznych, którym przeznaczone było żyć w pamięci i w sercach wielu ludzi, choćby wcale nie znali całego poematu.

Jednym z dodatkowych skutków popularności poematu było to, iż natchnął on angielskich malarzy całego wieku do odtwarzania na płótnie jeleni u wodopoju, jeleni wśród drzew, jeleni na polanach, jeleni o świcie, jeleni o zachodzie słońca i jeleni przy blasku księżyca. Można by doprawdy powiedzieć, że po przeczytaniu *The Lady of the Lake* artyści angielscy dostali kompleksu jelenia.

W ciągu ośmiu miesięcy rozeszło się dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy — cyfra niebywała jak na utwór poetycki. W firmie Ballantyne'a skakano z podniecenia. Uważano, że fortuna każdego jest już zapewniona, i zamykano oczy na mniej przyjemne drobne fakty, które wynikałyby z rachunków, gdyby znizono się do tak przyziemnego zajęcia, jak prowadzenie księgowości. Napływ zwiedzających Trossachs był tak wielki, że powstała tam nowa obozowiska; okoliczni wieśniacy dorabiali się na pokazywaniu widoków i oprowadzaniu gości. Ceny za konie pocztowe wzrosły do niebywałych wyšin. Mówiono, że dla młodego człowieka podróż w Góry Grampiańskie i podziwianie górskich widoków stało się potrzebniejsze od tzw. wielkiej podróży po Europie.

Scott cieszył się dochodami, ale w głowie mu się nie zakręciło. Zdawał sobie sprawę ze swego miejsca w historii poezji. Zapytany, jak ocenia swoją twórczość w porównaniu z twórczością Burnsa, odpowiedział: „W ogóle nie można nas porównywać; nie można nawet wymawiać naszych nazwisk tego samego dnia.” Potomność wydała podobny sąd, ale wśród współczesnych Scotta wielu uważało, że Scott za skromnie siebie ocenia. A ta skromność była szczera, nie dla efektu. Kiedy James Ballantyne pytał dwunastoletnią Zofię, jak jej się podobał poemat o Pani jeziora, odrzekła: „Nie czytałam go wcale. Tatuś mówi, że w młodym wieku czytanie kiepskiej poezji jest bardzo szkodliwe.” Scott bynajmniej nie należał do ludzi, którzy pragną w oczach własnych dzieci uchodzić za bogów. Dziewięcioletni Walter na pytanie, dlaczego tylu ludzi podziwia jego ojca, odpowiedział po głębokim namyśle: „Bo to on zwykle pierwszy dostrzega siedzącego w polu zająca!”

*

*

*

Był koniec maja 1812 roku. Na wschód gościńcem od Ashestiel jechały dwadzieścia cztery ładowne wozy, zawierające zbieraninę przedmiotów, która wydałaby się każdemu, prócz właściciela, dziwaczną. Oprócz umebrowania dużego domu oraz znacznej biblioteki były tam stare łuki, dzidy, tarcze, celownice, strzelba Rob Roya i szpada, którą angielski Karol I ofiarował swemu szkockiemu popiecznikowi, markizowi of Montrose. Parobcy i dziewczęta folwarczne nieśli jeszcze wędki na łososie, pędzili po zakurzonym gościńcu konie, krowy, owce, świnie, drób, charty i spaniele. Stadko indycząt jechało w hełmie dawnego rycerza Pogranicza „i nawet krowy niosły na plecach stare chorągwie i muszkiety”.

Gdy kawalkada wyruszyła z Ashestiel, po drodze z chat i domów wybiegali mieszkańcy, by pożegnać sąsiadów, którzy — choć bogatsi od nich — zawsze jednak całym sercem dzielili radości i smutki wsi, brali udział w wiejskich zabawach, weselach, pogrzebach, pili z sąsiadami, tańczyli i plotkowali, a w potrzebie przynosili leki i żywność. Wiele było śmiechu na widok „kolekcji wszelkich śmieci w przyrodzie”, które — jak powiedział prawnik-poeta — stanowiły jego doczesny dobytek.

Scottowie przeprowadzili się do posiadłości, która, chociaż sprawiła wiele kłopotów i być może przyspieszyła śmierć Charlotty, miała być jednak dumą i radością Waltera przez resztę jego życia. Nazwa Abbotsford została nadana przez nowych właścicieli niewielkiemu majątkowi o stu akrach falistej ziemi, dawniej zwanemu Clarty Hole, położonemu nad rzeką Tweed, pomiędzy Melrose a Selkirk, w tej samej okolicy, gdzie rozegrała się ostatnia z wielkich bitew klanów Pogranicza.

Na początku nie było tam bardzo na co patrzeć — prymitywny dom, o który wspierały się jakieś szopy. Ale Scott miał wyobraźnię w takich sprawach i zobaczył Abbotsford takim, jakim mógł być. Planował przekształcenie nagich wzgórz w park pięknie zadrzewiony, a w centrum niby — średniowieczną budowlę o wielu wieżyczkach, którą zwiedzają dzisiejsi turyści. „Chciałem kupić Abbotsford i osiedlić się tutaj, skąd mogę pluć prosto do rzeki Tweed” — powiedział obrazowo Scott do przyjaciela.

Zdobycie pieniędzy nie było prostą sprawą. Potrzeba było 4 000 funtów. Połowę tej sumy Scott pożyczył od swego najstarszego brata, Johna, majora na emeryturze, zamiłowanego karciarza, a połowę od firmy Ballantyne'a jako zaliczkę na poemat, który miał się nazywać *Rokeby*, a którego jeszcze ani jeden wiersz na razie nie istniał. Tak po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni, Scott odrzucił względy rozsądnej ekonomii w sprawach finansowych, traktując zdolności literackie jako kapitał, na rzecz którego mógł zaciągać pożyczki i brać zadatki.

Gdy wozy z ich dziwnymi ciężarami i eskortą żywego inwentarza przybyły do Abbotsfordu, nowy dom nie był jeszcze w stanie powitać ich należycie. Scott zamknął się w swojej bibliotece, przygotowanej już z grubsza. Uważał, że służba folwarczna i domowa lepiej sobie poradzi bez niego z rozmieszczaniem żywego inwentarza i mebli. Ale martwe przedmioty i żywe stworzenia zdawały się mieć szczególne talenty do przeszkadzania we wszystkim.

Pompa przy studni w podwórzu zepsuła się; kury popędziły z powrotem drogą, po której przyszły; krowy i owce łamały ogrodzenia i skakały przez nie, gdy tylko umieszczono je na łące; konie płoszyły się i nie chciały wejść do nieznanej stajni. Do tego pandemonium dołączyły się krzyki i przekleństwa parobków. Tom Purdie celebrował przeprowadzkę z butelką whisky i tylko rozbrzmiewał jego pijacki

śmiej w ogólnym rozgardiaszu. Wewnątrz domu panowały nie mniejsze trudności. Pod kuchnią ogień nie chciał się rozpaścić, a gdy zapłonął, piekarnik pozostał zimny; wszelka robota stanęła wobec braku wody, której nie zastąpiły łyżki obficie wylewane przez dziewczyny z powodu potajówek zirytowanej Charlotty.

Jeden po drugim, ktoś wpadał do gabinetu Scotta, aby zrzucić winę za wszystko złe na kogoś innego. Poeta łagodził gniewy i kłótnie, aż wreszcie z instynktownym wyczuciem urodzonego dowódcy uznał, że nadszedł czas, aby stracić cierpliwość. Pognął do kuchni i wrzeszczał straszliwie, gestykulując. Potem popędził na podwórze i naklął, co się zowie, wymachując swoją laską. Na obu polach bitew zapanowała zdumiewająca cisza. Była to zaiste rzecz dziwna ujrzeć pana w takim gniewie. Scott zostawił ich w osłupieniu i wrócił do swojej biblioteki. W pół godziny później wszędzie już zaczynał się ład. Nawet krowy i owce rozumiały wreszcie, że są w Abbotsfordzie i w Abbotsfordzie, chcąc nie chcąc, muszą pozostać.

Wkrótce wszystko szło o tyle cicho i gładko, o ile tylko pozwalała hałaśliwa obecność murarzy i malarzy. Bo Scottowie zaczęli już realizować marzenia o zamku z wieżyczkami. W cztery miesiące później w Abbotsfordzie świętowano zwycięstwo odniesione w Hiszpanii przez księcia Wellingtona nad marszałkiem napoleońskim Marmontem — świętowano uroczystość, przy dźwiękach kobz i skrzypiec. Rodzina, służba i murarze tańczyli całą noc wokół wielkiego ogniska, dodając sobie humoru hojnymi porcjami whisky.

Scott zajął się pisaniem poematu *Rokeby*, a po południu i wieczorami doglądał kopania, zrównywania i drenowania — prac przygotowawczych do sadzenia drzew, które nadjeżdżały teraz statkami i wozami w odpowiedzi na jego wezwanie do przyjaciół, by mu pomogli w zalesianiu posiadłości. Był zbyt zajęty i nie mógł uczyć najstarszego syna. Z tego powodu wszedł w jego życie jeszcze jeden przyjaciel, dla którego Scott miał być dobroczynnym protektorem. George Thomson był młodym pastorem, który, chociaż stracił jedną nogę, potrafił codziennie maszerować do Abbotsfordu — gdzie jeszcze nie było dla niego pokoju — z odległego o trzy mile miasteczka Melrose, by pełnić swe obowiązki nauczyciela. Wysoki, silnie zbudowany, Thomson był człowiekiem głęboko wykształconym i miłym w obecnym, a przyjaźń Scotta zyskał dzięki hartowi ducha, z jakim pokonywał trudności swego kalectwa. Zdołał przezwyciężyć nieszczęsną ułomność do tego stopnia, iż śmiało i doskonale jeździł konno.

Wszystko rozwijałoby się pomyślnie w Abbotsfordzie i w domu Scottów w Edynburgu, gdyby ów kolos na glinianych nogach, firma John Ballantyne i Ska, nie zaczął się chwiać i pękać. Kilkakrotnie już wzywano Scotta prosząc o znaczne sumy, by popychać dalej tę wiecznie potrzebującą pieniędzy a pozbawioną kapitału firmę. Płacił, gdy tylko miał trochę gotowego grosza. Pytał od czasu do czasu Johna Ballantyne'a o szczegóły finansowej sytuacji firmy, ale otrzymywał chyba wymijające odpowiedzi, skoro wreszcie napisał z pewnym zniecierpliwieniem: „Chodzi mi o to, że nie piszesz wyraźnie i ściśle.” A nieco później znowu: „Na litość boską, traktuj mnie jak człowieka, a nie jak dojną krowę!”

John rzeczywiście nigdy nie prowadził prawidłowej księgowości. Od czasu do czasu sporządzał pośpiesznie jakieś zestawienia z pamięci, które zawsze wykazywały błąd nadmiernego optymizmu — może dlatego, iż bał się obnażenia prawdziwego stanu rzeczy i własnej niekompetencji, co mogłoby się skończyć utratą posady. Ale nie tylko John ponosił winę. Nadmiernym wydatkom Johna na trunki z pieniędzy firmowych dorównywały wydatki Jamesa na biesiady i przyjęcia, a obu przewyższał pod względem wydatków starszy wspólnik, budując swój zamek na lodzie. Prócz tego Scott, jako główny

doradca literacki, ponosił winę za polecenia wydawania utworów, które nie zyskiwały niczyjego uznania prócz jego własnego i które stawały się tym, co dzisiejsi wydawcy nazywają „ceglami”.

Gdy Scott nie mógł dostarczyć potrzebnego zastrzyku gotówki, John umiał bardzo sprytnie wynaleźć źródła kredytu, wystawiał weksle i rewersy. Ale musiał nadejść dzień, kiedy długi trzeba było spłacić i weksle wycofać. I Walter Scott zaczął spędzać bezsenne noce.

Rokeby wydała firma Ballantyne'a w roku 1813. „Co do mego domu i mego poematu — pisał Scott w czasie, kiedy tworzył *Rokeby* — w tej chwili pracuje tu i hałasuje dwunastu murarzy, a moja biedna głowa męczy się nad poezją.” Poemat przedstawiał romantyczne dzieje pewnego Kawalera, czyli zwolennika króla Karola I, i Okrągłej Głowy, czyli zwolennika parlamentu, i Olivera Cromwella. Akcja rozgrywała się w Anglii. Bohaterka, Matylda, wzorowana była na dawnej, młodzieńczej miłości Waltera — Wilhelminie. Chociaż zawierał piękne strofy liryczne, *Rokeby* nie zdobył sobie szczególnej popularności wśród czytelników Scotta i jest dzisiaj jednym z jego mniej znanych utworów. Rozsprzedano dziesięć tysięcy egzemplarzy, co uradowałoby niejednego poetę, ale nie wystarczyło, by postawić na nogi firmę Ballantyne. Inna, bardziej błyszcząca gwiazda wschodziła już na firmamencie poezji i miała zaćmić blask Waltera Scotta — w poprzednim roku lord George Byron rozpoczął publikowanie pieśni *Childe Harolda*.

Trzeba było szukać innego wyjścia z trudnego położenia firmy Ballantyne. Proszono o pomoc Archibalda Constable'a, edynburskiego księgarza, który przekształcił się w wytwornego despotę świata wydawniczego. Jego ambitne pomysły przewyższały w rozrzutności wszystko, o czym mogli zamarzyć Ballantyne i Ska, a mniej miał na swoje usprawiedliwienie, bo przecież był fachowcem w dziedzinie księgarstwa i pracy wydawniczej. Constable był ambitny i szalony, ale nie brakło mu przezorności, gdy chodziło o przejmowanie cudzych długów. Zbadał sytuację bardzo dokładnie. Zabrał z rąk Ballantyne'a znaczną ilość nierozsprzedanych książek i zapłacił 2 000 funtów za czwartą część udziału w wydaniu książkowym *Rokeby* — co było miarą wzrastającego prestiżu Scotta jako poety, jeśli uwzględnić, że za pełne prawa wydawnicze poematu *Marmion* tenże sam Constable zapłacił tylko 1 000 funtów.

Takie załatwienie sprawy pozwoliło Scottowi tylko na krótko odetchnąć od finansowych kłopotów. Wydawnictwo John Ballantyne i Ska zostało zlikwidowane, a John dostał posadę licytatora. Ale drukarnia była powiązana z wydawnictwem i prawie natychmiast James zaczął znowu żądać pieniędzy od Scotta. Wszystkie te finansowe transakcje wikały się przerażająco. Nic dziwnego, że gdy później przyszedł ostateczny krach, w ogólnym bałaganie niektóre długi spłacono dwukrotnie. Czasami Scott wyciągał z przedsiębiorstwa sumy, których jeszcze nie zarobił, aby płacić za budowę zamczyska w Abbotsfordzie albo dokupić nowy kawał ziemi. Kiedy indziej zdobywał z trudem pieniądze w innych miejscach, by podeprzeć Jamesa Ballantyne'a. Nie ulega wątpliwości, że rynek finansowy był zbyt głębokim jeziorem, zbyt bagnistym i zarośniętym sitowiem, by człowiek o tak wielkiej prostocie serca jak Scott potrafił wydobyć się stamtąd bezpiecznie. W jakim stopniu padł ofiarą oszustw, trudno określić, ale wydaje się niewątpliwie, iż niejednen osobnik skorzystał na manii wielkości Ballantyne'a i finansowej naiwności Scotta.

Po transakcji z Constablem, napisawszy: „Po raz pierwszy od wielu tygodni położę spokojnie głowę na poduszce”, Walter prawie natychmiast pożyczał od swego przyjaciela Morritta i prosił księcia Buccleuch, by podpisał gwarancję pożyczki z banku w sumie 4 000 funtów. Był w rozpaczliwym położeniu i niesłuchanie przygnębiony, mówił, że nie sposób mu pisać, i wspominał nawet

o opuszczeniu kraju. „Szkocja — pisał — nie jest jedynym miejscem na świecie, chociaż dla mnie najdroższym.”

Depresja jednak trwała krótko. Książę dał żadaną gwarancję, a w dwa miesiące po zwinięciu firmy wydawniczej Johna Ballantyne'a Walter zabrał się do nowego przedsięwzięcia, które miało się znacznie przyczynić do późniejszej ruiny finansowej — do kupowania ziemi wokół Abbotsfordu. Jego żywiołowy temperament wyraził się w zamówieniu przesłanym znajomemu aktorowi w Londynie, Danielowi Terry. Prosił o zakupienie kilku kompletnych starych zbroi, za pomocą których chciał stworzyć w Abbotsfordzie średniowieczną atmosferę. I zaczął pisać nowy poemat.

Wprawdzie Byron zaćmił gwiazdę Scotta, jednakże Scottowi właśnie ofiarowano w roku 1813 honorowy tytuł Poety Laureata. W pewnym sensie była to nominacja dość odpowiednia dla barda Pogranicza. Ale nie związane z tym tytułem większych prerogatyw finansowych, a od czasów Drydena pod koniec XVII wieku tytułem tym obdarzano bardzo miernych poetów. Zobowiązywał on do produkowania odpowiednich wierszy na królewskie urodziny, wesela i inne okazje państwowe. Scott uchylił się od tego zaszczytu z uprzejmym usprawiedliwieniem, że piastuje już — jako prawnik, nie poeta — dwa urzędy publiczne. Ale prawdziwym powodem odmowy była dezaprobata księcia Buccleuch, głowy klanu Scottów, który napisał do niego: „Twoja muza była do tej pory niepodległa — nie nakładaj jej uprzęży. Wiemy, jak lekkim krokiem biegnie, gdy swobodna; ale nie próbuj jej popędzać.”

Scott nie popędzał swej muzy. Pomimo nowego Poematu — *The Lord of the Isles (Pan wysp)* — w głębi serca wiedział, że jego popularność jako poety skończyła się, a nie miał wcale ochoty zostać królewskim emerytem. Zaproponował na Poetę Laureata Roberta Southeya, miernego poetę, choć doskonałego biografa, dla którego drobna pensyjka związana z tym honorowym urzędem byłaby znaczną pomocą.

Zazdrość była obca usposobieniu Scotta, który ze szczerą sympatią odnosił się do innych poetów i prawie zawsze sądził, że mają większy talent. Postanowił nigdy nie wydrukować wrogiej opinii o współczesnym sobie poecie — i postanowienia tego dotrzymał. Raził go ton wszystkowiedzący, który przybierali niektórzy jego koledzy po piórze: „Zaobserwowałem od dawna, że ludzie pióra uważają za konieczność przybieranie wymuszonej i afektowanej pozy w rozmowie, jak by sądzili, że nie należą do zebranego towarzystwa, a jedynie są obiektem podziwu.”

Pewnego razu Walter Scott był na przyjęciu w gronie literatów, gdzie Samuel Taylor Coleridge — poeta, filozof i krytyk, którego utwory były współcześnie mniej cenione niż Scotta, ale obecnie mają wyższą opinię — recytował swoje poezje i upajał się pochwałami wielbicieli. Paru z tych wielbicieli, chcąc wyraźnie okazać, że więcej cenią sobie Coleridge'a, poprosiło Scotta o zadeklowanie jakiegoś swojego utworu. Scott, dość rozsądny na to, by odmówić, rzekł, iż zamiast własnych chętnie powtórzy wiersze, które niedawno przeczytał, aby zebrana kompania mogła osądzić, czy będą im się podobały więcej od tych, których przed chwilą wysłuchali z takim zachwytem. Deklamację przyjęto wrogo — prawdopodobnie słuchacze przypuszczali, że recytator tylko posługuje się wymówką dla zamaskowania własnych utworów. Scott bronił deklamowanych przez siebie utworów aż do chwili, gdy w dyskusji jeden z najgorętszych zwolenników Coleridge'a oznajmił, że pewien wiersz jest kompletnym nonsensem. Scott rzucił pytające spojrzenie na prawdziwego autora, właśnie Coleridge'a, który warknął gniewnie: „Na litość boską, zostawcie pana Scotta w spokoju — ja napisałem ten poemat.”

Jeśli potrzeba dowodów wielkoduszności Scotta w odniesieniu do braci poetów, najlepszym przykładem mogą być jego stosunki z Byronem, człowiekiem, który właściwie wypchnął go z rynku poetyckiego. Spotkali się w Londynie, polubili się nawzajem i spotykali się codziennie, by razem popijać i rozmawiać. A wydaje się, że jedyne, co mieli wspólnego, to utykanie na nogę. Najzupełniej odmienny światopogląd wyraził się w ocenie Napoleona: Scotta obchodziło tylko, że Napoleon nie jest gentlemanem, a Byrona, że Napoleon nie jest demokratą. A ich krańcowo przeciwstawne poglądy moralne nie potrzebują podkreślania, chociaż to Scott był tym, który pośpieszył na pomoc przyjacielowi, gdy Byron musiał opuścić Anglię w niełasce.

Obaj byli, chociaż w odmienny sposób, romantykami, i zgodnie z dawnymi tradycjami wymieniali upominki: Scott ofiarował Byronowi oprawny w złoto sztylet; Byron Scottowi srebrną urnę grobową z Aten, zawierającą prochy starożytnych Greków.

Tak scementowała się przyjaźń, rozpoczęta od pewnej nieufności. W swym satyrycznym poemacie *English Bards and Scots Reviewers (Angielscy bardowie i szkoccy recenzenci)* Byron opisywał Scotta jako „przedajnego syna Apollina”, piszącego dla pieniędzy raczej niż dla sławy. Scott, tak zawsze wielkoduszny wobec innych poetów, poczuł się tym jednak dotknięty i zauważył, mając na myśli znaczny, odziedziczony majątek Byrona: „Niech Bóg chroni niedźwiedzia, któremu, gdy nie ma nic innego do jedzenia, nie pozwalają nawet własnej łapy ssać.”

Bądź co bądź, Byron pierwszy przesłał Scottowi — na długo przed osobistym spotkaniem — wiadomość o tym, że książę regent (późniejszy król Jerzy IV) chwalił autora *Marmion* ponad wszystkich poetów żyjących podówczas w Anglii. Scott był mile wzruszony, jak poprzednio był urażony. Tymczasem młody lord, wbrew własnym dowcipom na temat „barda najmity”, zapisał w swoim dzienniku pod datą 17 listopada 1813 r., iż nie jest rad, gdy jego przyjaciele porównują korzystnie jego poezję z utworami lairda z Abbotsfordu, a dnia 24 listopada napisał, usłyszawszy o finansowych kłopotach Scotta: „Jest on bez wątpienia władcą Parnasu i najbardziej angielskim z bardów.”

Gdy zaczęły się ukazywać powieści z cyklu *Waverleya*, Byron woził je ze sobą w kufrach po całej Europie, nazywając Scotta największym prozaikiem od czasów Cervantesa. Można by przypuszczać, że ta pochwała wynikała z tego, że Scott ustąpił miejsca Byronowi na polu poezji i wycofał się zupełnie z tej dziedziny. Ale na pewno autor *Childe Harolda* pisał ze szczerego serca, gdy notował w swoim dzienniku: „Cudowny człowiek! Tęsknię za tym, żeby się z nim upić.”

„WAYERLEY” i „PAN TADEUSZ

Dzień Scotta w Abbotsfordzie nie różnił się wiele od przeciętnego dnia w Ashestiel. Zanim jeszcze wstał, często rankiem z godzinkę leżał w łóżku rozmyślając o zamierzonej pracy. Pracował parę godzin przed śniadaniem, które jadł o dziewiątej lub dziesiątej. Pisał szybko, z intensywną koncentracją, i nie przeszkadzały mu wcale nieustanne wizyty domowników i psów. Jedyne, co go wyprowadzało z równowagi, to jeśli ktoś ruszał jego pióra albo poniewierał jakąś książkę.

W godzinach pracy często czytał i załatwiał korespondencję. Otrzymywał listy od początkujących autorów, którzy poszukiwali jego patronatu, od antykwariuszy, którzy przesyłali mu ciekawostki folkloru, od pasterzy, którzy przy pomocy miejscowego nauczyciela zawiadamiali „o duchach i wróżkach”. Często przychodziły listy od przyjaciół, do których należeli: ośpały William Clerk, James Skene, Morrit, Hogg, dyletant i dyplomata George Ellis i Joanna Baillie.

Podczas śniadania Scott odczytywał rodzinie urywki z listów, które właśnie nadeszły, a jednocześnie jadł płatki owsiane ze śmietanką, łyżką rogową oprawną w srebro. Następnym daniem był łosoś świeży lub wędzony. Gdy zabierał się z kolei do szynki lub baraniej głowy na zimno, do której podawano placki owsiane albo chleb z masłem, rzucał smakowite kostki i kawałki mięsa licznym psom, które tłumnie zalegały jadalnię. Były tam: charcica do polowań na jelenie, imieniem Maida; Hamlet, czarny chart; Finette, spanielka Charlotty; Ourisque, terrier szkocki; wreszcie gromadka kundli o niepewnym ojcostwie, zwanych Pieprz, Musztarda i Sos.

Scott opuszczał jadalnię, by udać się do biblioteki, zazwyczaj z kotem Hinsem na ramieniu i sforą psów u nóg, zazdrosnych, ale sterroryzowanych przez kociego faworyta.

Do końca dobiegała praca nad utworem, który miał wpłynąć na radykalną zmianę kierunku literackich wysiłków Scotta — nad powieścią *Waverley*. Poeta znalazł w swojej szufladzie kilka pierwszych rozdziałów, które Erskine niegdyś radził mu odrzucić. Odczytał je na nowo, zapalił się do ukrytych w tych kartach możliwości i zabrał się do dokończenia powieści. Pracował nad nią w Abbotsfordzie i w Edynburgu, w przerwach między sesjami sądowymi.

Z pracą nad *Waverleyem* w Edynburgu związana jest anegdota, którą przytacza zięć i pierwszy biograf Scotta, John Gibson Lockhart. Ten młody człowiek opowiada, jak pewnego czerwcowego wieczoru obiadował w grupie kompanów, w domu, z którego okien był widok na tyły posesji Scotta przy ulicy Zamkowej:

„Rozmawialiśmy już godzinę lub dłużej, gdy spostrzegłem jakby cień jakiś czy wyraz przykrości na twarzy mego przyjaciela, który siedział naprzeciw mnie. Zapytałem go, czy się może źle czuje.

— Nie, nie — odparł tamten — nic mi nie jest i zaraz będę znowu wesół, jeśli mi tylko pozwolisz zamienić się miejscami i zechcesz usiąść na moim krześle: bo stąd widzę przeklętą rękę, która już nieraz dawniej mnie denerwowała i nie dawała mi z ochotą wychylać kielichów.

Wstałem natychmiast, by się zamienić z moim przyjacielem miejscami, a on wskazał mi tę rękę, która, jak pismo na murze Baltazara, psuła mu nastrój ucztowania.

— Od kiedyśmy zasiedli — rzekł — śledziłem tę rękę bacznie: fascynuje mnie ona; nigdy się nie zatrzymuje. Kartka za kartką, ukończone odrzuca na stos manuskryptu i dalej pisze nieznużenie — i tak będzie pisała, gdy wniosą świece i dalej w późną noc. To samo dzieje się co wieczór, a ja nie mogę znieść tego widoku, jeśli nie siedzę nad moimi aktami.

— Jakiś głupi, zakuty pisarczyk zapewne — wykrzyknął któryś z wesołych kompanów, czy może ja sam.

— Nie, towarzysze — odparł mój przyjaciel. — Ja dobrze wiem, do kogo ta ręka należy. Do Waltera Scotta”.

Gdy nieznużona ręka napisała wreszcie słowo „koniec” pod ostatnim ustępem *Waverleya* — wydanego latem roku 1814 — Scott postanowił znowu zachować incognito. Nazwisko autora nie ukazało się na karcie tytułowej. Tylko Charlotta i tacy najbliżsi przyjaciele, jak Erskine, Morritt i James Ballantyne, wiedzieli, kto napisał *Waverleya*, i byli zobowiązani do zachowania absolutnej tajemnicy. Scott twierdził, że anonimowość w tym wypadku była jego kaprysem; prawdopodobnie obawiał się, że niepowodzenie powieści mogłoby zaszkodzić jego sławie jako poety; jeśliby powieść zyskała powodzenie, można się było spodziewać, że odgadywanie imienia autora tylko zwiększy popularność. Zarówno obawa, jak i rachuba okazały się zupełnie trafne: sława poetycka Scotta znikła, zaćmiona jego sławą jako powieściopisarza, a zabawa w odgadywanie nazwiska Wielkiego Anonima podwyższała cyfry rozsprzedaży do nie spotykanych dawniej wysokości.

Ballantyne, wyznaczony na agenta literackiego miał zaproponować Constable'owi wydanie powieści. Ten zaoferował 700 funtów za prawa wydawnicze. Ballantyne przekazał ofertę Scottowi, który zapytał:

— Czy Constable sądzi, że powieść zdobędzie powodzenie...?

— Wiem tylko, że oferował za nią 700 funtów — odrzekł Ballantyne.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie — rzeki Scott. — Ta suma jest za niska, jeśliby spodziewał się powodzenia, a za wysoka, jeśli oczekuje klęski.

— Więc odrzucasz ofertę? — pytał zachęcająco Ballantyne.

Zaproponuję co innego — rzekł Scott. — Niech wydaje, a zyskami podzielimy się po połowie.

Otrzymawszy tę odpowiedź, Constable zorientował się, że stracił sposobność zrobienia małej fortuny. Gdyby od razu zaoferował półtora tysiąca funtów szterlingów, prawie na pewno dostałby prawa wydawnicze Ale nie tylko w tym się zorientował. Odgadł również, kto jest autorem — może z powodu niezwyklej tajemniczości Ballantyne'a, o którym wiadomo było, że jest przyjacielem i współnikiem Scotta.

Zresztą w otoczeniu Scotta coraz mniej osób pozostawało w nieświadomości. Gdy sprawa ta była poruszana przez przyjaciół, Scott zabawiał się podsumowaniem podobieństw stylu i sposobu ujęcia powieści z różnymi współczesnymi autorami. Ale mało kto z pytających dawał się długo oszukiwać. Anegdoty, które opowiadano w związku z tajemniczym autorem *Waverleya* i późniejszych powieści, pochodziły najczęściej od samego Scotta. Do autorstwa nadal się nie przyznawał i nie chciał się zgodzić na autoryzowanie dalszych wydań. Sprawiało mu przyjemność zamieszanie, wywołane ową

tajemniczością. Może to się wydawać trochę dziecinne, ale któż z nas wolny jest od jakiejś śmieszności, która postronnym wydaje się zapewne dziecinna?

*

*

*

Złota era powieści angielskiej rozpoczęła się w XVIII wieku, wraz z twórczością Daniela Defoe, który płodom swej imaginacji nadawał wszelkie pozory rzeczywistości i przedstawiał je jako prawdę. Przyczynił się do jej rozwoju Samuel Richardson, tworząc iluzję kroniki pisanej w formie listów, a do zenitu doszła w śmiałych „romansach przygód” Henryka Fieldinga. Zdawało się, że tę złotą erę zakończył Tobiasz Smollett, nie cofający się przed drastycznością, piewca życia ulic, knajp portowych i dalekomorskich statków.

Wtedy gdy Scott pisał jeszcze romantyczne utwory wierszem, produkcję powieściową wydawców angielskich cechował przeważnie płaski sentymentalizm lub przesadna groza. Należało wyciągnąć powieść z grzęzawiska tandety i wynieść aż do magicznego koła wyżyn wielkiej literatury.

Osiągnął to Walter Scott, ów tracący popularność poeta. Wielcy pisarze złotej epoki wybierali współczesny im wiek XVIII jako tło swych powieści. Jeden przynajmniej aspekt osiągnięć Waltera Scotta zawierał się w tym, iż pokazał on, jak interesującą fabułę można wysnuć z dawnych dziejów, pogłębiając jednocześnie znajomość i zrozumienie faktów historycznych.

Zadanie, jakie sobie postawił, odpowiadało idealnie jego możliwościom. Głęboko czytany w literaturze wszystkich stuleci, posiadał również niedościgniony na owe czasy zasób tych wiadomości historycznych, które pokolenia przekazują sobie z ojca na syna. Umiał patrzeć na dawne wieki oczyma ludzi, którzy w tych wiekach żyli. Znał dobrze prawo i problemy rolnictwa. Nie był też ignorantem w dziedzinie interesów i polityki, chociaż jego własne doświadczenia na tym polu nie były szczęśliwe. Był nie tylko doświadczonym pisarzem o łatwym i wdzięcznym stylu; był również człowiekiem, którego ani kalectwo, ani przeciwności życiowe nie pozbawiły świeżego, ujmującego, chłopięcego entuzjazmu.

Nie było więc nic w tym dziwnego, że *Waverley* zdobył sobie od razu olbrzymie powodzenie pomimo niezaprzeczalnego faktu, że przez owych siedem pierwszych rozdziałów, które niegdyś William Erskine surowo skrytykował, istotnie trudno jest przebrnąć.

Tematem powieści jest nieśmiertelny kontrast między dwoma cywilizacjami i wpływ na umysłowość rzeczowego, wykształconego Anglika ducha poezji i rycerskości szkockich górali, lojalnych wobec dynastii Stuartów. Bohaterem jest młody Edward Waverley, którego umysłem szarpią przeciwstawne przywiązania, gdyż wychowaniem jego zajmował się częściowo ojciec, zwolennik domu Hanowerskiego w Anglii, a częściowo stryj, bogaty ziemianin, skłaniający się ku Stuartom, pretendentom do tronu angielskiego. Młody człowiek wstępuje do wojska, gdzie, powodowany początkowo tylko ciekawością, daje się uwikłać w jakobicki spisek. Dwie kobiety, łagodna Róża Bradwardine i namiętna stronniczka Stuartów, porywcza Flora MacIvor, znajdują miejsce w jego sercu. Skompromitowany przyjaźnią z jakobickimi spiskowcami, oskarżony o podżeganie do buntu we własnym pułku, Waverley zostaje haniebnie wyrzucony z wojska. Przyłącza się do stronników Stuartów, walczy w bitwie pod Pretonpans, gdzie Młody Pretendent, książę Karol, ponosi klęskę, ale gdzie Waverley ocala życie angielskiemu pułkownikowi. Gdy pokonany ostatecznie Pretendent ucieka

z kraju, Waverleya ratuje wstawiennictwo i wpływy tego właśnie pułkownika. W końcu bohater powieści poślubia Różę Bradwardine, a podwójnie rozczarowana Flora MacIvor wstępuje do klasztoru.

Wątek miłosny jest dość konwencjonalny, choć być może, odzywają się tu echa „trójkąta” Walter – Wilhelmina - Charlotta. Urok powieści polega na zetknięciach charakterów dziwacznych, z lekka przesadzonych, a nawet anormalnych ze zwykłą codziennością przeciętnych ludzi. „Mam — mówił Scott Morrittowi — nieszczęśliwą skłonność do wątpliwych typów Pogranicza, korsarzy i rozbójników z gościńca.” Skłonność nieszczęśliwa czy szczęśliwa, takie charaktery tworzą sensacyjną fabułę i pomimo wszelkich dłużyzn, *Waverley* jest pasjonującą, dobrze napisaną opowieścią.

Styl *Waverleya* jest zwykłym językiem rozmowy. Plami go nieco zbytnia pompatyczność, którą dziś łączymy z pojęciem tandetnego dziennikarstwa. Orzeł jest tu „wspaniałym monarchą upierzonych plemion”. Zdarzają się ustępy będące w niezgodzie z prawidłami gramatyki. Ale w dialogach Scott jest doskonały. Przemówienie niefortunnego księcia Karola wzrusza pełną godności prostotą, a poetycki rytm zachowany dla prostych wieśniaków, mówiących swoim góralskim dialektem, ma cechy autentyczności. Jednakże dialekt ten nie jest nigdy przesadnie egzotyczny; tyle tylko, by stworzyć realistyczną iluzję przeszłości.

Świat gór szkockich odmalowany jest cudownie i ze szczerą miłością, a sceny batalistyczne są prawie równe Tołstojowskim.

Charakter Edwarda *Waverleya* wypada bardzo plastycznie — wyraźny portret bohatera, który jest słaby i chwiejny po to, aby autor mógł zachować swą bezstronną pozycję między wrogimi stronnictwami. Waverleya się nie osądza, aby sprawy, w które był zamieszany, mogły być tym skuteczniej osądzone. Wahania Waverleya wynikają z jego roli, ale nie zrażają czytelnika do bohatera — raczej napełniają podziwem dla umiejętności autora.

Wpływ Scotta na twórczość Krasińskiego i Sienkiewicza, a także Mickiewicza, Słowackiego i Kraszewskiego jest w Polsce rzeczą od dawna znaną. W Anglii dopiero niedawno Donald Davie w swej krytycznej pracy *The Heyday of Sir Walter Scott (Rozkwit twórczości sir Waltera Scotta, 1961)* omawia paralele pomiędzy słabym i chwiejnym Waverleyem a bohaterami Mickiewicza, których wady i błędy poeta wprowadza: z tak pełnym dobroci humorem. Co więcej, jak Edward Waverley jest jakby pośrodku drogi między wykształconymi sferami angielskimi a feudalną Szkocją, tak Mickiewiczowski Tadeusz Soplica waha się pomiędzy Telimeną a Zosią, pomiędzy zdrowym prowincjonalizmem, a na pozór wyższą kulturalnie, ale w istocie szkodliwą grupą która spogląda ku Petersburgowi.

Paralelę można poprowadzić dalej. Zarówno w *Waverleyu*, jak i w *Panu Tadeuszu* pojawia się wątek miłosny typu Romeo i Julia: syn i córka zwaśnionych rodów zakochują się w sobie; poza tym bohaterowie obu powieści są sierotami, wychowują ich stryjowie. Można by jeszcze dodać, że Mickiewicz sam określał *Pana Tadeusza* jako utwór zbliżony do *genre'u* powieści Scotta.

W okresie gdy *Waverley* ukazał się po raz pierwszy, jego autor wraz z grupą przyjaciół, wśród których znajdował się Wiliam Erskine, wybrał się w góry Szkocji, włączywszy do marszruty także wyspy Orkney i Szetlandzkie. W czasie tej podróży spotkał czarownicę, która trudniła się sprzedawaniem przychylnych wiatrów marynarzem, udającym się na morze. Zwiedzał najdziksze zakątki wybrzeży: szedł szlakiem wędrowni księcia Karola, uciekającego po klęsce w 1754 r.; wśród starożytnych grobów

dawnych królów szkockich na wyspie Iona rozmyślał nad dziwną sławą ostatniego z królów, który był tam pochowany: „Parę tygodni pracy nieznanego aktora — notował w swoim dzienniku z podróży — uczyniło więcej dla pamięci Makbeta, aniżeli wszelkie dary, bogactwa i pomniki tego cmentarzyska mogły zapewnić innym pochowanym tu królom”.

W czasie całej tej podróży Scott był w doskonałym humorze. Troski finansowe chwilowo mu nie dokuczały, czuł się pewny powodzenia *Waverleya*, Abbotsford, z gotyckimi wieżami i zadrzewionymi pagórkami, gdzie zamierzał żyć jak feudalny baron, wznosił się coraz wyżej wśród mgieł Pogranicza. Współuczestnicy podróży znajdowali szczerą przyjemność w towarzystwie człowieka, który zawsze gniewał się na samego siebie, jeśli choćby w najlżejszym stopniu dał upust złemu humorowi.

Nie tylko był przyjemnym kompanem, ale również człowiekiem zawsze pełnym względów dla cudzej wrażliwości. Erskine pewnego dnia wyraził nadzieję, że może uda im się uniknąć opowiadania osławionej z nudy kustoszki kaplicy, jeśli oświadczą, że już znają tę opowieść. Scott skarcił go łagodnie, lecz stanowczo: bał się „sprawić przykrość biedaczce”. A przy innej sposobności, gdy goście przyjeżdżali tłumnie powozami, by odwiedzić sławnego lairda Abbotsfordu, dwaj młodzieńcy wymknęli się towarzystwu pewnego starego nudziarza, uciekając na taras. Scott pokuśtykał za nimi z napomnieniem: „Chodźcie, chodźcie, młodzi panowie, więcej szacunku! Upewniam was, że trzeba niemałego talentu, aby być nudziarzem doskonałym.”

Towarzysze obecnej podróży zaobserwowali jego wielki szacunek dla osób wysoko postawionych. Ta cecha z pewnością wywodziła się z jego młodzieńczych rojeń o rycerskich przygodach, z legend o walecznych baronach Pogranicza; nie chodziło mu o same tytuły arystokracji, ale o historyczne skojarzenia; zawsze z większym poważaniem traktował ubogiego górskiego naczelnika klanu, słynnego w ojczystej legendzie i historii, aniżeli współczesnego angielskiego lorda, który zdobył sobie godność para dworactwem i podarunkami dla ministrów lub królewskich faworyt. Ta sama romantyczna wrażliwość, która przesyciła jego poematy i opowieści, kazała mu zawsze spędzać święta Bożego Narodzenia ze Scottem z Harden, naczelnikiem rodu, któremu Scott według tradycji podlegał jako wasal.

Po powrocie z podróży do gór Szkocji i północnych wysp, Scott stwierdził, że jego niknącą sławę poetycką przewyższała wielokrotnie sława powieściopisarza, którą *Waverley* już ustalił. Constable sprzedał dwa wydania, przygotowywał trzecie i upominał się o następną powieść.

Od tej chwili — miał wówczas 43 lata — aż do dnia swojej śmierci, Walter Scott, oficjalnie Wielki Anonim, gdyż dopiero na pięć lat przed śmiercią ujawnił publicznie swoje incognito, słynął jako najwybitniejszy powieściopisarz w Anglii; ceniono go również na kontynencie, gdzie utwory jego tłumaczono na wiele języków, i w Ameryce.

LAIRD ABBOTSFORDU

W biurach władz municypalnych Selkirku panowała pewnego październikowego popołudnia gorączka, biegania i podniecenie. Księżę Leopold Sasko-Koburski, wdowiec po najstarszej córce króla angielskiego, oznajmił o swoim zamiarze odwiedzenia tego małego miasteczka, centrum okręgu rolniczego i przędzalni wełny, miejscowości, gdzie każdy kamień pobrzmiwał echem dawnych wojen klanowych i zamieszek Pogranicza. Uroczyści i pompatyczni urzędnicy uznali, że najodpowiedniejszym człowiekiem do odegrania roli gospodarza wobec tego księcia krwi, który odznaczył się w bitwie pod Lipskiem w armii napoleońskiej, był ich szeryf, Walter Scott.

Następnego ranka Scott wszedł kulejąc do sypialni Charlotty, która jeszcze leżała w łóżku, i posiedział jej o nowinie, dodając:

— Jeśli pojedzie obejrzeć Opactwo Melrose, będzie przejeżdżał dzisiaj koło Abbotsfordu. Myślę, że będziemy musieli go tu zaprosić.

Rzadko się zdarzało, aby Charlotta tak gwałtownie wyrwała się z półsnu. Usiadła wyprostowana w łóżku i prawie krzyknęła do męża:

— A co my mamy w domu, żeby ugościć księcia? Na litość boską, co ja mam zrobić?

— Podaj wino i ciasta — powiedział uspokajająco Scott.

Rzuciła się z powrotem na poduszki z gestem rozpaczy.

— Ciasto! Ciasto! A skąd ja wezmę ciasta na tym pustkowiu?

Scott, zawsze pełen względów dla żony i zawsze gotów wierzyć, że jakoś w końcu wszystko się dobrze ułoży, próbował ją uspokoić mówiąc:

— Może w ogóle nie przyjedzie! Ale musisz wstać, moja droga, i przygotować się przynajmniej do tego, by go powitać w Selkirk.

Przed taką towarzyską okazją, która nie nakładała na nią odpowiedzialności, jak wyjazd do Selkirku, Charlotta się nie broniła. Na zaproszenie Scotta księżę odpowiedział, że nie ma zamiaru zwiedzać Opactwa Melrose, bo zna je już z pięknego opisu szeryfa w *Lay of the Last Minsirel*, ale z wielką przyjemnością przyjedzie do domu, w którym ten poemat i *Waverley* zostały napisane. Zazdrosne twarze obecnych pań, gdy księżę powiedział te słowa, w pełni pogodziły Charlotte z kłopotami i odpowiedzialnością przyjmowania takiego gościa. Podczas gdy oficjalne recepcje dalej się odbywały, Charlotta wyszła z domu i pobięła na poszukiwania.

Rzeźnik nie mógł jej ofiarować nic lepszego od jagnięcia i Charlotta z dość zrozumiałym zniecierpliwieniem powiedziała mu, że ładniejsze jagnięta może mieć z własnej trzody. Stangret Peter Mathieson powiózł ją z powrotem do Abbotsfordu. Mathieson powoził rozważnie i po raz pierwszy Charlotta zatęskniła za szaleńczym pędem, do jakiego umiał zmusić konie jej mąż. Wskoczywszy z powozu pobięła od razu do Toma Purdie, przyjaciela i totumfackiego.

Jak Charlotta przewidywała, książę razem ze szeryfem przyjechali tuż po godzinie pierwszej — co nie było porą odpowiednią na podanie wina i ciasta, gdyby nawet było ciasto. Jej mążnek uniósł nieco swoje krzaczaste nawisłe brwi, gdy Charlotta oznajmiła, że za pięć minut poda lunch. Jego zdumienie przekształciło się w wyraz szczerego uznania, gdy rozpoczęto podawać do stołu królewskiemu gościowi doskonały lekki posiłek, na który złożyły się: łosoś z wody, pieczone cietrzewie i przepiórki. Gdy jeszcze podlano te wspaniałe dania wybornym winem z piwnic Lairda, królewska wizyta okazała się wspaniałym sukcesem, a Scott zanotował: „Fakt, że nie rozmawialiśmy w domu o tej wizycie dłużej, jak przez tydzień, i że ten emfatyczny wyraz «książę» nie brzmiał u nas częściej, jak dziesięć razy dziennie, świadczy jednak o pewnym zdrowym rozsądku w rodzinie.”

Tyłu przyjeżdżało gości do Abbotsfordu, iż Charlotta kiedyś powiedziała, że dom ten jest hotelem we wszystkim, prócz nazwy i dochodu. Można ocenić rozmiary, jakie osiągnął ten niegdyś skromny dom, zważywszy, iż pewnego razu pomieszczono tam trzynaście panien służących, przybyłych ze swoimi paniami. Wbrew owemu popłochowi na wieść o wizycie księcia, Charlotta była wyborną gospodynią i gościnną panią domu; podejmowała swych gości serdecznie acz bez ostentacyjnego przepychu, i chętnie dawała przepisy na każdą potrawę, która spodobała się gościom.

Intelektualni przyjaciele Waltera uważali, że Charlotta nie zasługuje na takiego męża, gdyż tylko przelotnie interesowała się jego pasjami, na przykład poszukiwaniami antykwarycznymi, a stosunek jej do twórczości literackiej męża wyrażał się w takich odezvaniach: „Walterze, potrzebna mi nowa suknia — napisz powieść”.

Ale Scott, chociaż nie był zakochany do szaleństwa w swojej żonie, cenił ją głęboko jako „serce prawdziwie szczerze, lojalne i wspaniałomyślne” i okazywał jej nieodmiennie serdeczną troskliwość. Kiedyś przerwał pozowanie malarzowi do portretu, ponieważ wybuchła burza, a Charlotta bała się grzmotów, jeśli Walter nie znajdował się przy niej.

Abbotsford stawał się wyrazem romantycznych upodobań właściciela. Budując ten „Conundrum Castle” (przedziwny zamek) albo „Grand Babylon”, jak zwał swój dom żartobliwie, Scott miał do pomocy dwóch architektów — ale obu sterroryzował i zmusił do przyjęcia owego „rozwalającego się stylu” starych szkockich dworzyszczy. Zatrudniał też majstra budowlanego, a dla dekoracji wnętrz dwóch aktorów w charakterze doradców.

Wielką pasją pozostało jednakże dokupywanie ziemi, aby mógł jednoczyć się z naturą, zwiększać plony i hojnie częstować płodami rolnictwa wszystkich sąsiadów, małych i dużych. Pod koniec roku 1815 pierwotne sto akrów już się podwoiło, a Scott prowadził pertraktacje o nabycie długiego pasa wzdłuż wybrzeży jeziora Cauldshields Loch, które to jezioro było ponoć siedliskiem potwora, podobnego do hipopotama. Widziało go rzekomo wielu ludzi, ale nie ujrzał go nigdy aż do końca szeryf-poeta.

Posiadłość powiększała się ciągle. W roku 1817, mając już tysiąc akrów ziemi, Scott zapłacił 10 000 funtów za dwór i majątek, który nazwał Huntly Bum. Tam osadził Adama Fergusona, starego szkolnego przyjaciela, który powrócił z wojny w Hiszpanii, gdzie miał zwyczaj co wieczór czytywać żołnierzom *The Lady of the Lake*. Umieszczono już poprzednio Williama Laidlaw, rolnika z poetyckimi zamiłowaniami, w dworku zwanym Keaside, na ziemiach Scotta. Został on administratorem całej posiadłości i czymś w rodzaju sekretarza, pomagającego staremu

przyjacielowi. „Abbotsford pochłonał już kopalnię pieniędzy, nic mi w zamian nie wypłacając” — wyznał Walter Scott. Wierzymy mu.

Zadrzewiano posiadłość na coraz większą skalę, w miarę jak przybywało ziemi. Leszczyna, wiąz, szkockie, kasztany, ostrokrzewy, róże rdzawe, zwane wiśniówką, brzozy — wszystko to sadzono dziesiątkami tysięcy. Na samą myśl o tym przeciętny człowiek mógłby zbankrutować. Scott, który nie odziedziczył całego dochodu — całym jego dziedzictwem było te sześć tysięcy funtów szterlingów, które mu zapisał stryj Robert — polegał na własnych możliwościach zarobkowych, zarówno by zdobywać kapitały do inwestowania, jak i na bieżące wydatki. Ale sadzenia drzew nigdy nie żałował.

„Kiedy przypominam sobie — mówił później — że tutaj dawniej nie było ani jednego drzewka, tylko nagie wrzosowiska, kiedy rozglądam się i widzę tysiące rosnących w górę drzew, z których większości, mogę powiedzieć prawie każdego, osobiście doglądałem... Inaczej niż budownictwo, albo nawet malarstwo czy jakiegokolwiek inne zajęcie, zadrzewianie nigdy się nie kończy, nigdy nie przerywa, lecz postępuje z dnia na dzień i z roku na rok, coraz więcej budząc zainteresowania, coraz ciekawsze, coraz bardziej pochtaniające.”

Pracę w sądzie nazywał jedną podporą, a pracę literacką — drugą. Ale radością jego życia był Abbotsford i drzewa. „Możecie być pewni, że sadzone przeze mnie dęby przetrwają moje laury — powiedział kiedyś. — I bardziej jestem dumny z mojej kompozycji mieszanki nawozowej niż ze wszystkich innych kompozycji, do których kiedykolwiek przykładałem rękę.” Co do jego mieszanki nawozowej — za późno dziś, by ją ocenić. Dęby rosną istotnie, ale i laury pięknie się rozwijają i pozostaną zielone tak długo, jak długo ludzie będą się interesować historią literatury angielskiej.

Hojny, patriarchalny pracodawca, Scott trzymał po trzydziestu robotników rolnych przez całą zimę podczas gdy inni „lairdowie” odprawiali ich po skończonym sezonie prac polowych. Wciąż upominał Laidlaw, aby pilnował napraw chat robotników, by z braku pięciu funtów mieszkania się nie rozsypywały. Co prawda, zarobki tych ludzi były zapewne bardzo skąpe i niewystarczające. Kiedy żona Toma Purdie narzekała na tłumy wieśniaków, którzy przychodzili: do kuchennych drzwi Abbotsfordu z prośbą o wsparcie. Scott skarcił ją łagodnie mówiąc: „Nawet gdybyś już nic nie miała i nie mogła dać im jałmużny, bądź przynajmniej dla nich grzeczna, a to z tego powodu, że sama nie wiesz, co cię czeka na stare lata, chociaż dziś jesteś pod moim dachem.”

Pan na Abbotsfordzie rządził wszechwładnie — żoną, dziećmi, służbą, czeladzią, parobkami. Namarszczona brew oznaczała, jak wiadomo było powszechnie, determinację przeprowadzenia swojej woli. Nikt nie ośmielał się jej kwestionować. A jednak pobłażał słabostkom innych. Tom Purdie utrzymywał zawsze, że dobry dzień pracy powinien się zacząć od szklaneczki whisky — i Scott polecił mu ją dawać. Ale Tom pod wielu względami był na specjalnych prawach. O twórczości literackiej Scotta mówił jako o „naszych książkach” i tłumaczył, że nie wie, co by bez nich począł: sypiał źle, ale jeśli tylko przeczytał dwie strony powieści swego chlebowodawcy, usypiał od razu.

William Dalgliesh, kamerdyner w Abbotsfordzie. człowiek o długiej, posępnej twarzy, która irytowała Charlotte, a śmieszyła jej małżonka, był również faworytem. Pewnego razu Dalgliesh poprosił swoim zwykłym pogrzebowym tonem o parę dni urlopu, aby mógł odwiedzić rodzinę, której dawno nie widział.

Zadośćuczyniwszy od razu jego prośbie i wypożyczywszy mu jeszcze konika na drogę, Scott upomniał go:

— Matka nie widziała ciebie od dawna: musisz jej coś zawieźć. Masz na to pieniądze?

— Tak, proszę pana.

— I pamiętaj, że to nawet nie chodzi o rzecz wartościową: matka będzie ceniła upominek dlatego, że to od ciebie.

Gdy Dalgliesh powrócił, Scott zapytał:

— Nie zapomniałeś zawieźć upominku matce?

— Nie, proszę pana. Kupiłem jej suknię.

— Bardzo dobrze, Dalgliesh. Ile to kosztowało?

— Jednego funta i jedenaście szylingów, proszę pana.

— No to masz tu tę sumę i będę mógł powiedzieć, że to ja kupiłem upominek dla twojej matki.

— Przepraszam pana — zaprotestował Dalgliesh po chwili melancholijnego namysłu. — Ja kupiłem - suknię, ale pan zapłacił za nią, za co dziękuję.

George Thomson, jednonogi guwerner, mieszkał teraz w Abbotsfordzie — oryginał, nieprawdopodobnie roztargniony, który niejedną raz przestraszył gości, gdyż chodził po domu mrucząc lub mówiąc coś do siebie półgłosem.

Chociaż umiłował Abbotsford, Scott nie mógł jednak zupełnie uciec od miasta. Nadal pół roku spędzał w domu przy ulicy Zamkowej w Edynburgu, biorąc udział w sesjach sądu edynburskiego. Co więcej, ze wszystkich miast świata przyjeżdżali ludzie, którzy pragnęli go poznać lub odwiedzić. Dzięki temu Abbotsford był dla niego jeszcze milszy. „Samotność jest przyjemna tylko wtedy — pisał — gdy na zawołanie można znaleźć się w licznym towarzystwie. Niedobrze jest być samemu. Samotność przytępia nasze zdolność i zamraża aktywność cnót.”

A potrzebował wszystkich swych umiejętności, by poradzić sobie z niektórymi gośćmi i z ich „aktywnymi cnotami”. Gorący rzecznik nawiązania ściślejszych więzów między narodami Ameryki i Wielkiej Brytanii Scott skarżył się jednakowoż gorzko na niewstrzeżliwość amerykańskich podróżnych, którzy choć zupełnie mu obcy, nachodzili jego dom bez żadnej ceremonii, wypytawali go z otwartymi notesami o wiek jego i jego żony i wydawali się obrażeni, gdy ich nie zaproszono na obiad.

Amerykaninem, który spotkał się w Abbotsfordzie z serdecznym przyjęciem i został na kilka dni czując się jak u siebie w domu, był Washington Irving, wybitny literat. Scott ze szczerą przyjemnością oprowadzał go po pięknej okolicy „Conundrum Castle” i zaznajamiał z dzierżawcami i parobkami.

Te spotkania nasunęły Irvingowi obserwację, że „charakteru narodu nie poznaje się po towarzyskich spotkaniach na wyżynach społecznych”. A Scott mówił o swoim gościu: „Pokochałem i człowieka, i jego twórczość.”

Ale na ogół Scott mało znajdował przyjemności w odwiedzinach tych, którzy nie urodzili się w obrębie wysp brytyjskich. Były to czasy bardzo wyspiarskie, kiedy Anglicy i Szkoci ma równi Odnosili się nieufnie do cudzoziemców, a ich samych nawzajem uważano za wyniosłych i dumnych snobów. Scott często uważał za stracony czas, który pogodnie na pozór poświęcał gościom z dalekich stron. Hrabiowie, markizowie i książęta z różnych krajów europejskich przeważnie byli zdania, że ten jakiś tam pisarczyk powinien czuć się niesłychanie zaszczycony ich łaskawymi względami Scott odnosił się do nich z całą cierpliwością i grzecznością. Jego powóz zawsze był gotów do dyspozycji gości, gdy zechcieli odjeżdżać. Pewnego razu ujawniła się jego chłopięca przekora ukryta za pozorną uprzejmością, gdy pewien dobrze urodzony nudziarz wymawiał się, że nie będzie korzystał z powozu, który może być potrzebny gospodarzowi. Z ukłonem godnym paryskiego dandysa Scott odpowiedział: „Moje konie i powóz nie mogłyby być lepiej użyte, jak na odwiezienie łaskawego pana w powrotną drogę.” Nudziarz był na tyle arystokratycznym egoistą, by przyjąć to za komplement.

*

*

*

Pewnego dnia pod koniec stycznia roku 1813 Scott wszedł kulejąc do drukarni Jamesa Ballantyne'a w Edynburgu.

— No cóż, Jamesie — powiedział po zwykłych przyjacielskich powitaniach — co ten despota, czytająca publiczność, sądzi o poemacie?

James przesunął przycisk na biurku, otworzył - zamknął szufladę bez widocznej przyczyny, wreszcie wstał i przeszedł przez pokój, by zamknąć drzwi. Nie odpowiadał na pytanie.

— Mów po prostu, przyjacielu — rzekł Scott. — Ja już widzę, co się święci. Odpowiedź zawiera się w jednym wyrazie... rozczarowanie, co?

James nadal nic nie mówił, tylko głową przytaknął. Był on szczerze przywiązany do swego dobroczyńcy i przez gardło nie chciały mu przejść słowa tak okrutne: skończyła się popularność poezji Scotta.

Scott nie poddawał się żalom i rzekł tylko:

— Niech i tak będzie, drogi Jamesie; ale sam rozumiesz, że nie możemy opuszczać rąk. Jeśli ponieśliśmy klęskę w jednej dziedzinie, zabierzemy się do czegoś innego.

Ballantyne nie wiedział, że Walter Scott przyznał już w duchu wyższość Byronowi i dając temu praktyczny wyraz, zabrał się do pisania następnej powieści.

Poemat, z którego powodzenia każdy inny autor — wyjąwszy Byrona — byłby dumny, nazywał się *The Lord of the Isles (Pan wysp)*. Pomysł zrodził się jeszcze w czasie podróży Waltera i Charlotty na wyspy Hebrydy u północno - zachodnich wybrzeży Szkocji w roku 1810. Za połowę udziału w prawach do tego utworu Constable zapłacił 1 500 funtów. Poemat odtwarzał dzieje miłości Edith Lorn do niejakiego lorda Ronalda, który początkowo spogląda czule w stronę innej damy, a tłem utworu są walki toczone w XIV w. przez Roberta Bruce'a, króla Szkocji, z najazdami Anglików; zacięte zmagania, które zakończyły się w roku 1413 wielkim zwycięstwem Bruce'a w bitwie pod Bannock Burn.

Poemat ten nie był gorszy — niektórzy twierdzą, że lepszy — od poprzednich. Z pewnością świadczy on o wielkim talencie narratorskim autora. Bitwa pod Bannock Burn należy do najlepszych scen batalistycznych, opisanych wierszem. Ale ten *genre* nie był już nowością. Być może również, że żarliwy patriotyzm szkocki i głoszenie wyższości Szkotów nie przypadły do smaku drażliwym w tych sprawach Anglikom, którzy stanowili większość czytającej publiczności.

W nieco mniejszych ilościach niż poprzednie, poemat Scotta rozchodził się jednakże. Ale od chwili wydania poematu *The Lord of the Isles* Scott zaprzestał uwodzić czytelników nowymi utworami poetyckimi. Twórczość na modłę pieśni dawnych minstrelów mijała się z celem, jeżeli nie była popularna w najszerszym tego słowa znaczeniu. Scott wierzył, że poematy, które napisał, były pożyteczne dla jego ojczystego kraju i narodu, przypominając chlubne dzieje przeszłości i walkę o niepodległość w chwili, gdy odrębność historii Szkocji zatracala się i mieszała z historią innego narodu. To zadanie spełnił. Należy podkreślić, że Scott sam nie uważał wcale swoich utworów za poezję wysokiej klasy i bez urazy przyjął wyrok publiczności, oznajmiający, że nowość jego wierszowanych opowieści już się przeżyła.

Adaptując staroświecką formę ballady do ujęcia długiego opowiadania, Scott wprowadził nową formę, „powieść poetycką”, coś w rodzaju miniaturowego poematu epickiego, pisanego wierszem dobrze dostosowanym do opisywania szczegółów sensacyjnej fabuły i wspaniałych krajobrazów. Twórczość poetycka zapewniła mu miejsce w historii literatury jeszcze zanim został powieściopisarzem. Ale z jego poezji przetrwały i jeszcze trwać będą przede wszystkim krótkie liryki i pieśni, wplecione w tok dłuższych poematów, a także utworów prozą. Trzeźwa filozofia i rozsądny morał, zawarte w tych urywkach, świadczą o źródłach poetyckiego natchnienia i o umiejętności wyrażania najgłębszych uczuć.

Pomimo wspaniałomyślności, z jaką Byron ukoronował Waltera Scotta nazywając go monarchą Parnasu (jak by nigdy nie słyszał o istnieniu Szekspira), należy wątpić, czy mistrz ceremonii od takich koronacji mógłby — zważywszy uczciwie zasługi innych pretendentów — umieścić lairda z Abbotsfordu aż tak wysoko.

SZACH I MAT AUTOROWI „WAYERLEYA”

Między zachodem sławy Waltera Scotta-poety a świtem sławy Waltera Scotta-powieściopisarza nie było mrocznej nocy czekania. Zanim jeszcze wiedział czy i jak rozchodzi się nakład poematu *The Lord of the Isles*, napisał już dwie trzecie nowej powieści, która miała zostać w Wielkiej Brytanii tym, co dzisiaj nazywa się „bestsellerem”.

W pięć tygodni po wydaniu ostatniego dłuższego poematu ukazała się anonimowo powieść *Guy Mannering*, oparta na temacie bynajmniej nie nowym — zaginionego spadkobiercy. Młody Harry Bertram, syn lairda of Ellangowan, z hrabstwa Dumfries, był porwany w dzieciństwie przez przemytnika nazwiskiem Hatteraick, pozostającego w zмовie z nikczemnym prawnikiem Glossinem, który miał nadzieję po uśmierceniu prawego dziedzica zawładnąć majątkiem. Harry przeżywa różne przygody, wstępuje do armii brytyjskiej w Indiach, pojedynkuje się z własnym pułkownikiem, Guyem Manneringiem. Ten tytułowy bohater powieści podejrzewa młodego człowieka o romansowanie z jego żoną. W rzeczywistości serce Bertrama skłania się ku córce pułkownika, Julii (postać tę uważa sir ogólnie za portret Charlotty Scott). Gdy Bertram wrócił do Szkocji, stara cyganka Meg Merrilies rozpoznała w nim prawego dziedzica Ellangowan, które zagarnął kauzyperda Glossin. Przerażony Glossin organizuje po raz drugi porwanie młodzieńca przy pomocy tego samego kapitana Hatteraicka. Spisek odkrywają i udaremniają cyganka Meg Merrilies i dzielny farmer Dandy Dinmont. W kulminacyjnej scenie w jaskini, scenie na poziomie klasycznej tragedii, Hatteraick zabija cygankę Meg, a później w więzieniu zabija jeszcze Glossina i po tym podwójnym morderstwie wreszcie sam odbiera sobie życie. Bertram odzyskuje swoje nazwisko i majątek i szczęśliwie poślubia ukochaną Julię.

Tłem fabuły jest przeważnie ojczyste Pogranicze Scotta. Talent narracyjny, który cechował jego poematy, ujawnia się jeszcze wyraźniej w tej drugiej z kolei powieści, zaliczanej do jego pięciu najlepszych utworów prozą. Raz przynajmniej uniknął tych raczej nudnych opisowych rozdziałów wstępnych, które odstręczyły tylu czytelników od jego fascynujących powieści. *Guy Mannering* rozpoczyna się od razu od scen pełnych napięcia, tajemniczych i zaciekawiających. Jest to w istocie rzeczy pierwowzór współczesnej powieści sensacyjno - detektywistycznej, która do tej pory króluje na rynkach księgarskich wszystkich prawie krajów świata. Pleydell, zacny adwokat, który zwycięża podłego Glossina, jest pierwszym detektywem w prozie romantycznej, jest prototypem Dickensowskiego Bucketta z *Bleak House*, Dupina z utworów Edgara Allana Poe i Sherlocka Holmesa, którego stworzył Conan Doyle.

Guy Mannering zdradza wrodzoną Scottowi wiarę w ludzi, w dobroć, która zawsze w końcu triumfuje. Dzielny farmer Dandy Dinmont — wieśniak doskonały, jak Pleydell jest prawnikiem doskonałym — ucieleśnia triumfujący humanizm, mądrość nabytą w obcowaniu z przyrodą, niewzruszoną wierność, lojalność i honor, dobroć i odwagę człowieka, który przepędził życie na zmaganiach z żywiołami. Dinmont, łącząc w sobie realizm i poezję, jest jednym z najbardziej przekonujących i żywych pozytywnych bohaterów w całej literaturze.

Zupełnie odmienną postacią — a kontrast uwydatnia jeszcze współpraca tych dwojga — jest cyganka Meg Merrilies, na wpół obłąkana i zdziczała, która jednak zachowała w duszy cechy szlachetności. Wśród licznych postaci występujących w tej powieści mamy jeszcze Dominika Sampsona, nieco naiwnego młodego guwernera, w którym pisarz odtworzył sympatyczną postać nauczyciela własnych

dzieci, George'a Thomsona. Wiele cech charakteru pułkownika Guya Manneriraga wskazuje na to, że jest to w pewnej mierze autoportret Scotta.

Powieść nosi na sobie niewątpliwe skazy pośpiesznego pisania. Brak artystycznej jednolitości wyraźny jest w nagłej zmianie kierunku: po pierwszych paru rozdziałach, z powieści o charakterze studium psychologicznego *Guy Mannering* nagle przekształca się w powieść sensacyjną, pełną tajemnic i przygód, o akcji żywej i pełnej napięcia; postać Harry'ego Bertrama jest sztywna, jakby z drewna; epizody hinduskie cechuje rozpaczliwy prymitywizm; sceny miłosne potraktowano pobieżnie. Ale mimo tych wszystkich wad swej drugiej powieści historycznej Walter Scott dowiódł, że w tej dziedzinie talent go nie zawodzi.

Książkę tę — napisaną „przez Autora *Waverleya*” — wydała firma Longman's, zdejmując na chwilę troski finansowe z bark Scotta, gdyż wydawnictwo wypłaciło mu zaliczkę w kwocie 1 500 funtów, których potrzebował na zapłacenie pilnego długu. To samo wydawnictwo przejęło również w spadku po zlikwidowanym przedsiębiorstwie wydawniczym Ballantyne'a różne „cegiły” za 500 funtów. Powodzenie finansowe tak ucieszyło Lairda, iż zaproponował swej żonie, aby razem z najstarszą córką, Zofią, wybrali się we troje w podróż do Londynu.

W czasie tej bytności w stolicy książę regent — separowany małżonek księżniczki Charlotty, której niegdyś Scott był przedstawiony — urządził czysto męski bankiet po to, aby różni arystokratyczni panowie interesujący się poetą, który wbrew swoim protestom uważany był powszechnie za autora sławnych powieści historycznych, mogli go spotkać i poznać. Przyjęcie upływało w wesołej atmosferze, a królewski gospodarz i jego honorowy gość wkrótce zaczęli współzawodniczyć w opowiadaniu anegdot. Uznano, że zwyciężył Scott historyjką o niejakim lordzie Braxfieldzie, nazywanym Wieszającym Sędzią z racji częstego wkładania czarnej czapki, co w Anglii sędzia czyni, gdy ma wydać wyrok skazujący na śmierć. Sędzia ów był zamiłowanym szachistą i tak się zdarzyło, że musiał wydać wyrok śmierci na człowieka, który wiele razy ograł go w szachy. Sędzia więc zakończył wyrok następującymi słowami: „A teraz, mój drogi Donaldzie, wydaje mi się, że nareszcie dałem ci szacha i mata”.

Książę regent śmiał się serdecznie i zapamiętał anegdotę. Pod koniec bankietu książę wstał i patrząc na Scotta wznosił toast na cześć „autora *Waverleya*”. Scott prędko ochłonął z chwilowego zaambarasowania i wstając pospiesznie z krzesła wypił z innymi — czego by nie powinien czynić, jeśli byłby przedmiotem toastu. Następnie powiedział: „Jego książęca wysokość tak na mnie spogląda, jak gdyby uważał, że ja jestem obiektem tego toastu. Postaram się, aby ten, który jest istotnie autorem, usłyszał o wielkim i zaszczytnym komplemente, jakim go wasza książęca mość uhonorował”. Było to zgrabnie powiedziane, ale ostatnie słowo należało jednak do księcia. Stał po wypiciu toastu nadal i kazał służbie napełnić na nowo kielichy. Podnosząc swój po raz drugi, rzekł: „A więc zdrowie autora *Marmiona* — i tym razem, mój drogi Walterze, dałem ci nareszcie szacha i mata”.

Na księciu regencie wyraźnie wielkie wrażenie wywarł laird Abbotsfordu, który na wesołej biesiadzie był zawsze najwyborniejszym kompanem; Scotta również oczarował dobry humor i serdeczna przychylność tego człowieka, o którym w listach wspominał jako o „naszym grubasku”. Odbył się więc jeszcze jedno przyjęcie, w ściślejszym gronie, na którym swobodnie omawiano pretensje Stuartów do tronu i rebelie ich stronników w latach 1715 i 1745, przy czym regent mówił o Stuartcie „Pretendent”, a Scott „Książę”. Regent zwracając się do Scotta zapytał go bez ogródek, czy przyłączyłby się do Stuarta, gdyby ten żył. Otrzymał bardzo dyplomatyczne odpowiedź: „W każdym razie byłbym wolał nie mieć tego powodu przeciwko przyłączeniu się do Stuarta, jakim jest osobiste poznanie Waszej Królewskiej Wysokości”.

Księżę regent, zarówno w czasie, kiedy Scott z nim rozmawiał, jak i później, jako Jerzy IV, prowadził życie, na które składały się rozwiąłość, brak honoru i rozwagi. Ale księżę krwi to jednak księżę krwi: Scott czcił krew królewską; kimże był szeryf małego szkockiego miasteczka, aby nie przyjmować gościnności i ryzykować obrażenie ówczesnego *de facto* władcy Wielkiej Brytanii? Przed wyjazdem Scottów z Londynu księżę regent przesłał sławnemu autorowi upominek w postaci złotej tabakierki, wysadzanej klejnotami, z miniaturą ofiarodawcy na wieczku.

Wkrótce po powrocie Scottów do Abbotsfordu rozeszła się wieść, że Napoleon, który przed stu dniami uciekł z wyspy Elby, poniósł pod Waterloo klęskę w bitwie z wojskami alianckimi, dowodzonymi przez angielskiego księcia Wellingtona i pruskiego marszałka Blüchera. Patriotyczny entuzjazm pisarza, który twierdził, że od dzieciennych lat w jego głowie manewruje regiment jazdy, wzrósł do rozmiarów gorączki. Koniecznie chciał odwiedzić pole bitwy. Wybrał się więc w drogę dnia 27 lipca 1815 r. wraz z dwoma młodymi sąsiadami i przyjacielem prawnikiem.

Scott miał pisać listy do rodziny i przyjaciół, z tym że listy te będą przekazywane triumwiratowi wydawniczemu: Constable, Murray i Longman's, którzy przy pomocy drukarni Jamesa Ballantyne'a mieli je wydawać jako *Listy Pawła do rodaków*. W ten sposób zwracały mu się koszty podróży. W listach opisywał pole bitwy pokryte szczątkami i śladami wojny, a nawet wciąż jeszcze przesycone strasznym odorem.

Przy tej sposobności w Scotcie ocknął się namiętny selekcjoner. Zaczął skupywać do Abbotsfordu trofea wojny, między innymi książkę, rzekomo należącą do jakiegoś francuskiego żołnierza, splamioną krwią i zawierającą piosenki żołnierskie armii napoleońskich. Usłyszał opowiadanie o flamandzkim wieśniaku, nazwiskiem Da Costa, który miał być przewodnikiem Napoleona i pokazywał za pieniądze miejsca, gdzie cesarz znajdował się w różnych momentach bitwy. Ten Da Costa w ciągu sześciu miesięcy, które upłynęły od bitwy pod Waterloo, zarobił dość pieniędzy, aby „żyć w dostatku aż do samej śmierci z opowiadania historii, którą wymyślił siedząc przez cały czas bitwy w bezpiecznym miejscu o dziewięć mil od toczących się walk”. Opowiadanie to wykorzystał jednak Scott w *Listach Pawła*, które zresztą poza tym stanowią przykład dobrej roboty dziennikarskiej: fakty są podane dokładnie i wiernie, ogólny ton cechuje trzeźwość i zdrowy rozsądek.

Powróciwszy z tej wyprawy do Paryża, Scott i jego przyjaciele spotkali wielu oficerów z armii Wellingtona, którzy wyrażali się z najwyższym uznaniem o swoim wodzu, mówili o jego odwadze, opanowaniu w krytycznych chwilach i cnotach żołnierskich. „Bohater dnia” brytyjskiej literatury bardzo pragnął poznać osobiście „bohatera dnia” Wielkiej Brytanii i bynajmniej nie doznał rozczarowania, gdy wreszcie znalazł się przy kolacji obok „żelaznego księcia”. Wellington traktował Scotta z szacunkiem, należnym według Scotta właśnie Wellingtonowi; rozmawiał swobodnie, skromnie i rozumnie o swojej karierze wojskowej, a o kampanii pod Waterloo powiedział: „Nie ma nic strasniejszego od wygranej bitwy, prócz bitwy przegranej”. Wszystko to kompletnie oszołomiło Scotta, który później opisywał księcia jako największego żołnierza i męża stanu w historii. „Tego pokroju człowieka Europa nie widziała od czasów Juliusza Cezara; gdyby Hiszpania miała dosyć rozumu, aby uczynić go swoim królem, kraj ten byłby pierwszy na świecie jeszcze przed śmiercią Wellingtona.”

Jest w tym wszystkim oczywiście sporo przesady, co nawet zaszkodziło Wellingtonowi, który z pewnością był dobrym żołnierzem, ale nie więcej miał praw, by go wymieniać jednym tchem z Juliuszem Cezarem, niż Scott, aby go zestawiać z Robertem Burnsem. Ale ta przesada była miarą

entuzjazmu Scotta dla ludzi czynu i pogardy, jaką miał dla „tkaczy słów” — entuzjazmu i pogardy, które rodziły się z poczucia bezsilności, narzuconej mu przez jego kalectwo. W jego oczach człowiek, który poruszał swym rozkazem armie, był ważniejszy od człowieka, który wzruszał serca swymi słowami. Z drugiej strony Scott odczuwał zgrozę na widok nonsensu wojen, które według jego słów „mogą wznieść ambitne i zdolne jednostki na szczyty powodzenia, ale które pozostawiają narody w tym samym, a właściwie w jeszcze gorszym niż poprzednio położeniu”.

Nie tylko książę Wellington traktował Scotta z szacunkiem w Paryżu. Na paradach wojskowych i bankietach, gdzie roiło się od mundurów, pisarz rozmawiał i pił z monarchami i marszałkami. Car Wszechrosji powitał go z wielką uprzejmością, marszałek Blücher z bezpośrednią serdecznością. Dano mu ukraińskiego rumaka, na którym jeździł i przypatrywał się parodom wojsk rosyjskich, a Płatow, hetman kozacki, ucałował go w oba policzki z zachwytem nad jego umiejętnościami jeździeckimi. Przypadła mu do gustu kuchnia francuska: „Kręcę teraz nosem na rostbef i portwejn: fricassee i szampan są o wiele lepsze”. Ale nie mógł się powstrzymać od wyspiarskiego żartu kosztem swych gospodarzy: „Byłby to rozkoszny kraj, gdyby tylko mieszkańcy umilkli choć na chwilę, ale sądzę, że tego nigdy nie potrafią”. Wziąwszy wszystko razem, była to jedna z najszcześniejszych podróży; Scott powrócił do Charlotty w nastroju tak triumfalnym, jak by to on sam zwyciężył Napoleona.

Charlotta słuchała ciekawie, acz nie bez pewnego zniecierpliwienia, długich opowieści o jego wrażeniach. Niecierpliwość jej miała pewną określoną przyczynę. Kazała mianowicie pokryć meble w Abbotsfordzie kwiecistym materiałem, na co, w radosnym uniesieniu podróżnika, Walter nie zwrócił uwagi. Wreszcie musiała mu zwrócić uwagę na meble, z wymówką, że już się nie interesuje własnym domem. Rezultatem tego było, że przez kilka dni małżonek znowu ją niecierpliwił nieco sztucznymi wybuchami zachwytem nad jej dobrym smakiem. Prawdę rzekłszy, nie można było oskarżać Scotta o brak zainteresowania własnym domem, ale myślał raczej o otoczeniu swej siedziby, o formowaniu parku i krajobrazu niż o dekoracji wnętrz. Budowa szła znowu pełną parą. Cegły, wapno, kafle i płytki uniemożliwiały utrzymanie jakiegoś takiego ładu wokół „Conundrum Castle”. W tego rodzaju atmosferze Scott czuł się szczęśliwy i pracował doskonale. W pracy nie przeszkadzał mu nawet ból zęba, który wykrzywił jego twarz ogromnym opuchnięciem.

„Było to z początkiem pogodnego lata — pisał teraz — a pod koniec wieku XVIII. Młody człowiek o szlachetnym wyglądzie...”

Tak się zaczynała trzecia powieść Waltera Scotta...

Stary przyjaciel i kolega szkolny, Adam Ferguson, często przychodził i siadał przy piszącym. Obowiązkiem jego było otwieranie drzwi lub okien licznym psom i kotu, gdy chciały wejść lub wyjść. Szybko rosnący stos kart zaczerpiał słowa manuskryptu *Antykwariusza* (*The Antiquary*).

„Młody człowiek o szlachetnym wyglądzie”, przedstawiony czytelnikowi w pierwszym ustępie powieści, nosi nazwisko Lovel i otoczony jest atmosferą tajemniczości. Spotyka antykwariusza, Jonathana Oldbucka — postać ta stanowi próbę autoportretu — podróżuje z nim i przybywa do jego domu. Tam pojawia się romantyczny awanturnik Edie Ochiltree, Szekspirowska postać, której słowa nieraz cechuje prawdziwa poezja, płynąca z prostego serca. Z kolei poznajemy sir Arthura Wardoura — z dobrej, starej rodziny — jego córkę, wyniosłą Izabelę, w której Lovel zakochuje się początkowo bez wzajemności, i starą pannę Grizzle, komiczną figurę umieszczoną nieco na marginesie akcji...

Od czasu do czasu, gdy płynnie poruszające się pióro dobiegało końca strony, Scott podawał kartę papieru Fergusonowi z pytaniem:

— No i co myślisz o tym, Adamie?

...Obiad, kłótnia między Oldbuckiem i sir Arthurem, który w gniewie wychodzi razem z córką, by wrócić do domu pieszo po wydmach wybrzeża morskiego. Nadchodzi przyptyw, odcinając starego szlachcica i jego córkę, a także owego niebieskiego ptaka, Ochiltree, którego właśnie spotkali. Jednak Lovel ratuje życie całej trójki, w sytuacji gdy z ust bohaterki powieści i jej ojca padają puste i ciche słowa. Sir Arthur ofiarowuje fortunę Ochiltreemu, byle ten wymyślił sposób ratunku przed groźnie przybierającym morzem, na co Ochiltree mu odpowiada: „Nasze bogactwa wkrótce się zrównają, już się zrównały, bo ja nie mam żadnych ziem, a pan chcesz oddać swoje za skrawek skały, który by pozostał suchy przez dwie godziny”. Natomiast Izabela tak przemawia: „Czyż musimy ulec i oddać życie bez walki? Czyż nie ma tu ścieżki, chociażby perci najtrudniejszej do przebycia, byśmy mogli wspiąć się przynajmniej ponad poziom tych wód i doczekać ranka? Przecież odgadną nasze położenie i poruszą cały kraj, by nas wyratować...”

Na ogół wszystko się podobało Fergusonowi. Może nie był bardzo wymagający. Nie raziła go wcale sztuczność fabuły ani bezbarwna sztywność Lovela, ani banalność wątku miłosnego. Nie spostrzegł też zapewne, że w zapale twórczym autor kazał raz słońcu zachodzić na wschodzie, kiedy indziej wymyślił tydzień, który szczycił się aż dwoma wtorkami. Ale jednak wyrok współczesnych czytelników i wyrok późniejszych pokoleń także miał się zgadzać z wyrokiem Adama: te drobne usterki nie przyćmiły wspaniałej, szeroko namalowanej komedii obyczajowej z życia szkockiego, komedii bogatej w charaktery intensywne i realistyczne, przesyconej sympatią i zrozumieniem dla dzielnych prostych ludzi — chociażby nawet nie było to istotne zrozumienie losu chłopskiego, a jedynie sympatia dobrotliwego patriarchalnego ziemianina.

... Taka noc, jak ta, w ciągu której sir Arthur, Izabela i Ochiltree znaleźli się w niebezpieczeństwie i zostali ocaleni, skusiła Scotta, aby wreszcie ułożyć Lovela do snu w pokoju nawiedzanym przez duchy, gdzie za ziemską zjawą szepcze mu do ucha — i to po niemiecku! — „Zręczność zdobywa powodzenie”, co ma być zachętą do zdobycia serca Izabeli. W końcu Lovel zyskuje nie tylko serce ukochanej, ale tytuł i wielki majątek na dokładkę.

Popularna powieść o charakterze, bądź co bądź, przede wszystkim rozrywkowym, musiała się kończyć w podobny sposób. Ale u Scotta, jak i u innych najlepszych twórców tej epoki, zakończenie nie decyduje o wartości dzieła. Najważniejsze jest odmalowanie tła, kształtowanie charakterów, tworzenie atmosfery napięcia, przedstawienie życia współczesnego — cechy, które razem wzięwszy decydują, czy powieść będzie żyła, czy też umrze wraz z autorem.

Antykwarisz został ukończony i wydany w maju 1816 r., mniej więcej w cztery miesiące po rozpoczęciu przez autora pracy nad rękopisem. Powieść podpisana była znowu pseudonimem „Autor *Waverleya*”, w rozprzedaży przekroczyła cyfry osiągnięte przez jej dwie poprzedniczki i stała się książką szczególnie drogą samemu Scottowi, prawdopodobnie dlatego, iż opierał się w niej na znajomych sobie postaciach i czerpał z własnych wspomnień młodościowych. Scott był zdania, że *Antykwarisz* jest mniej romantyczny od *Waverleya*, a akcja jest powolniejsza niż w *Guy Manneringu*, i dodawał w rozmowie ze swoim przyjacielem, aktorem Danielem Terrym: „A jednak jest w tej powieści, coś, co

ją ratuje, bo gdy człowiek maluje z natury, z pewnością zabawi tych, którzy co dzień spoglądają na oryginał”. Charakterystyczna jest skromność tego pisarza o wielkim sercu.

W marcu roku 1817 Walter Scott był w Edynburgu, zajęty sprawami swego urzędu pisarza sądowego. Pewnego wieczoru wydał proszony obiad. Przeraził swych gości, gdyż nagle przy stole zgiął się w pół i zaczął ryczeć okropnym głosem. Strwożona Charlotta przy pomocy dwóch przyjaciół zaciągnęła go do łóżka, gdzie leżał jęcząc i wyjąc na przemian ze strasznego, niemożliwego do zniesienia bólu. Był to kurcz żołądka. „Zaaplikowano mi wszelkie możliwe leki — pisał wkrótce potem w jednym z listów — ale było to takie straszne cierpienie, że zapędziło w kozi róg wszystkich lekarzy. Nawet rozżarzonej soli o takiej temperaturze, iż popaliła koszulę na węgiel, nie czułem wcale, gdy mi ją przykładano do żołądka”. Oprócz przykładania gorącej soli do żołądka, puszczano mu krew i stawiano bańki. „Wracałem do zdrowia ze stanu kompletnego wyczerpania bardzo powoli. Nie mogłem się poruszać, bo mi się w głowie z osłabienia kręciło, nie mogłem czytać, bo mi przed oczyma migało, ani nawet słuchać, bo mi w uszach wciąż szumiało. Nie mogłem nawet myśli doprowadzić do porządku. Tak paskudnie czułem się blisko tydzień.”

Choroba miała trwać znacznie dłużej niż tydzień. Scott żył i pracował w tempie zbyt intensywnym, poddawał swój organizm jednocześnie różnorodnym wysiłkom — jego aktywność fizyczna doprowadziłaby do wyczerpania większość mężczyzn, a aktywności umysłowej mało kto dorównywał. Jadł obficie, pił dotrzymując kroku każdemu w kompanii, często długie godziny przebywał w przemoczonym ubraniu, usiłował zaspokoić swe przepracowane ciało i umysł pięcioma godzinami snu na dobę. Żaden organizm nie mógłby tego wytrzymać — nawet organizm czterdziestosześcioletniego Waltera Scotta. Natura zemściła się na nim chorobą kamieni żółciowych, a chociaż lekarze nigdy nie wyleczyli go z tego, jednakże prawdopodobnie uratowali mu życie przepisując ścisłą dietę, wstrzymanie się od alkoholu i gorące kąpiele.

„Mówią mi lekarze, że sam ból nie może zabić ale jestem najzupełniej pewien, że nikt na świecie nie zdołałby przeżyć przez następne jeszcze trzy miesiące takich cierpień, jakie ja przeżyłem. Wszelako postanowiłem zażywać posłusznie wszelkie leki, jakie tylko mi przepiszą, i stosować się do zaleceń lekarzy, jak długo będę mógł.”

Ataki bólu powracały przez trzy lata, łagodzone dawkami opium. Człowiek, którego nazywano Herkulesem Pogranicza, wysechł na szkielet, a jego zwykle zdrowa, opalona cera stała się szaro ziemista. Upierał się przy konnej jeździe, chociaż nie mógł siedzieć prosto na koniu; jeździł przechylony na jedną stronę.

Charlotta pielęgnowała go z całym oddaniem, nie tylko gdy leżał w łóżku, ale i później, kiedy zaczął wstawać i z uporem powracał do zwykłej rutyny pracy. William Laidlaw i Adam Ferguson również stale przychodzili z pomocną przyjaźnią. Tom Purdie, milczek, nie umiejący wyrazić swego współczucia, okazał się pielęgniarzką o macierzyńskiej czułości: pomagał swemu chlebobawcy wstawać i chodzić, wsadzał go na konia, czasem podtrzymywał podczas konnej jazdy.

Wygląd Waltera Scotta w tym okresie przerażał jego przyjaciół. Ale wielkie serce i niezmożony duch lairda Abbotsfordu pozwoliły mu lekceważyć cierpienia i uspokajać bliskich. Pracował coraz więcej.

„CZARNY KARZEŁ” I ”OLD MORTALITY”

Walter Scott wybrał się na jedną ze swoich częstych wycieczek, tym razem do hrabstwa Tweeddale, ze swym bratem Johnem i przyjacielem Adamem Fergusonem. Pytali już parokrotnie o drogę do domu niejakiego Dawida Ritchie, o którym Walter wiele słyszał. Wreszcie pracujący na polu wieśniacy wskazali im odległą chatę, położoną samotnie na wrzosowisku, pod olbrzymim dębem, pozbawionym liści, chociaż był dopiero wrzesień.

— Nie chcecie chyba tam iść? — powiedział wieśniak tonem ostrzeżenia.

— Owszem, zamierzamy tam iść — odparł Scott. — Po cóż byśmy inaczej pytali o drogę?

— Mądrzy ludzie pytają o tę chatę po to, by ją omijać — upierał się wieśniak.

Scott roześmiał się serdecznie i rzekł:

— Czyż nie uważasz, że my trzej poradzilibyśmy sobie z karłem, choćby go, jak powiadają, nawet czarne magie wspomagały?

— Ci, którzy tam idą, zwykle się śmieją — odrzekł wieśniak. — Ale to śmiech ze strachu, nic więcej. A śmieją się czy nie — wracają zawsze drżąc.

— No, to kiedy my wrócimy — powiedział Scott — Pokażę ci wyciągniętą rękę i sam osądzisz, czy drżę.

Trzej jeźdźcy pojechali dalej śmiejąc się. Nie po raz pierwszy słyszeli o atmosferze grozy, jaka otaczała Dawida Ritchie, niesamowitego karła. Scott, który lubił spotkania z rzekomymi czarownikami i z ludźmi, którzy mieli pretensje do zażyłości z elfami cieszył się jak dziecko na odwiedzinach u człowieka o tak dziwnej sławie.

Dąb przed chatą był, jak się okazało, rozdarty piorunem w czasie jakiejś strasznej burzy. Zdawał się, że niebawem runie na ziemię, druzgocąc swoim ciężarem nędzną lepiankę o jednym oknie. Na stukanie nikt początkowo nie odpowiadał. Scott ryknął wreszcie potężnym głosem:

— Dawidzie Ritchie! Czy jesteś w domu? — I raz jeszcze walnął pięścią w nieoczekiwanie solidne dębowe drzwi, w których znajdowały się dwa duże zamki:

— A kto tam? — spytano z wewnątrz szorstkim, grubym głosem.

— Walter Scott. Możesz słyszał ludzi, wymieniających moje nazwisko. Każdy mnie zna w Tweeddale.

— Może każdy, ale nie Dawid Ritchie — odparł szorstki głos. — Czego tu chcesz?

— Powiadano mi, że jesteś interesującym człowiekiem — a ja lubię poznawać interesujących ludzi.

Może karzeł czuł się pochlebiony. Zgrzytnęły rygle, odsuwano zasuwę widocznie z wysiłkiem. Nagły powiew wiatru zajęczał w spróchniałych gałęziach rażonego piorunem dębu. Dwa klucze obróciły się w zamkach z jęklwym zgrzytem. Drzwi uchyliły się o parę cali i trzej podróżnicy ujrzeli przed sobą, a raczej gdzieś niżej, głowę i ramiona garbusa. Posępna twarz o ogromnych ciemnych oczach i grubych czarnych brwiach patrzyła na nich ponuro. Od razu te ciemne oczy zatrzymały się na na wpół uschniętej, kalekiej nodze Scotta. W tej ułomności karzeł być może dopatrzył się jakiegoś

pokrewieństwa z własnymi ułomnościami fizycznymi. Bez słowa otworzył szerzej drzwi i ustąpił na bok z szorstkim, niemal niechętnym gestem zaproszenia.

Nad izbą zwisał niski pułap. Małe brudne okienko wpuszczało niewiele światła. Powietrze przesycił dziwny odór, pomieszany z dymem. Na środku podłogi siedział olbrzymi czarny kocur. John Scott odwrócił się nagle, usłyszawszy zgrzyt przekręcanych w dwóch zamkach kluczy.

Ritchie, który nie odezwał się jeszcze od chwili, gdy otworzył drzwi, podszedł powoli do swych gości, a u skórzanego pasa pobrząkiwały mu klucze. Czarny kocur skoczył na jego garbate ramiona. Karzeł podchodził coraz bliżej ze wzrokiem utkwionym w Waltera. Nagle wyciągnął rękę, podobną do ptasich szponów. Uchwycił w uścisk dłoń szeryfa i rzekł głosem tak głębokim, jakby się dobywał z grobowca:

— Tylko ci do mnie przychodzą, których interesuje potęga... moc... władza. — Trzymał jego rękę w żelaznym uchwycie i podnosił do Scotta posępną twarz, obok której lśniły własnym blaskiem, bo innego światła było niewiele, zielone oczy czarnego kocura. — A czy ty masz władzę? — zapytał karzeł.

Scott potrząsnął przecząco głową i cofnął się o krok, ale nie zdołał uwolnić się od karła, który trzymał go jeszcze mocniej, a wolną ręką uczynił dramatyczny gest w tył, w stronę kota, siedzącego na jego plecach jak jakaś niesamowita narośl na garbie.

Kocur potężnym susem skoczył o kilka stóp dalej na półkę i siadł tam wśród pajęczyn, które roztrącił, wpatrując się w przybyszów rozszerzonymi oczami i ostrząc pazury o drewno półki.

Ale niemniej rozszerzonymi oczami patrzyli John Scott i Adam Ferguson, usiadłszy na ławie pod ścianą naprzeciw niesamowitego zwierzęcia i wdychając powietrze zadymione, przesyccone woniami dziwaczными, nieznanymi. Walter próbował jeszcze lekko traktować swego gospodarza, ale przychodziło mu to coraz trudniej. Twarz karła wykrzywił triumfalny uśmiech. Wskazał palcem na kocura i warknął:

— On ma władzę. — Karzeł kreślił w powietrzu kabalistyczne znaki, a równocześnie unosił z wolna w górę lewą nogę, aż znalazła się w horyzontalnej pozycji, i uchwycił ją lewą ręką.

Milczenie, które było przedtem udziałem karła, teraz karzeł narzucił gościom. Ta groteskowa postać, ciężka atmosfera, puste wrzosowisko wokół, podwójnie zaryglowane drzwi, niesamowity kocur — wszystko to działało na wyobraźnię i zwyciężało rozsądek.

Grymas uśmiechu wykrzywił twarz karła od ucha do ucha. Nadal trzymając w uścisku rękę Waltera podniósł swoją wolną rękę — nogę zostawił zawieszoną poziomo w powietrzu — wskazał znowu na kota i powtórzył:

— On ma władzę...

Tego było już za wiele dla Adama Fergusona. Zerwał się na równe nogi.

— Powietrze za duszne tu dla mnie, panie Ritchie — rzekł. — Niech pan otworzy drzwi.

Te zwykłe, naturalne, codzienne słowa i nazwisko zwyczajnie powiedziane rozproszyło od razu mesmeryczny urok, któremu na chwilę ulegli trzej przybysze. John Scott otrząsnął się jak pies. Walter

uśmiechnął się, trochę jeszcze blado. Karzeł puścił jego rękę, spojrzał gniewnie na Fergusona i szurając nogami i pobrzękując kluczami podszedł do drzwi. Drzwi uchyliły się, wpuszczającienne światło i świeże powietrze od wrzosowisk. Trzej przyjaciele jednocześnie odetchnęli głęboko.

— Myślę, że już pójdziemy panie Ritchie — powiedział Walter Scott niezręcznie, gdyż tym razem opuściła go zwykła swoboda i opanowanie.

Gdy mijali karła, ten wykrzywił się do nich szyderczo i zacierając ręce rzekł:

— Żałuję bardzo, że nie macie władzy...

Może Walter Scott zapomniał o wieśniaku, który swym ostrzeżeniem przygotował jego wrażliwą wyobraźnię do melodramatycznej reakcji na tę niezwykłą scenę. W każdym razie w powrotnej drodze nie odszukał go, by pokazać, że ręka mu nie drży.

Zdarzyło się to w roku 1797 na wycieczce, w czasie której Scott miał pierwszy raz spotkać Charlotte. Przez dwadzieścia blisko lat pamięć o tym zdarzeniu pozostała w jego umyśle, a postać karła dopominała się o odtworzenie piórem.

W roku 1816 Walter Scott wymyślił nowy sposób zachowania anonimowości. Zaczął pisać cykl opowiadań, zatytułowanych „*Opowieści mego gospodarza*” (*..Tales of My Landlord*), które jakoby zebrał i powtórzył fikcyjny narrator, Jedediah Cleishbotham, nauczyciel i pisarz gminny. Aby odciąć się od wszelkich powiązań z autorem *Waverleya*, nie oddał tych powieści Archibaldowi Constable'owi, zwłaszcza że ten nie chciał brać na siebie więcej „cegieł” z firmy Ballantyne'a. Tak więc John Ballantyne, jako agent Scotta, powierzył opowiadanie Williamowi Blackwoodowi, edynburskiemu przedstawicielowi londyńskiej firmy wydawniczej John Murray.

Nowego wydawcę należało dopuścić do sekretu, aby mu przy tej sposobności wepchnąć za 500 funtów trochę książek ze starych magazynów Ballantyne'a. Zgodził się chętnie i zapłacił gotówką za połowę praw wydawniczych dwóch powieści, z których pierwsza miała nosić tytuł *Czarny karzeł* (*The Black Dwarf*), a druga *Old Mortality* (tytuł polski: *Purytanie*).

Bohater tytułowy pierwszej powieści, rozgrywającej się w początkach XVIII wieku, jest poczwarnie brzydki, nadludzkiej siły, a za kryjówkę służy mu chata z potężnych, ciosanych kamieni w bezludnych i dzikich okolicach południowej Szkocji. Nazywa się Elshie i rozporządza ponoć siłami nadprzyrodzonymi. Ale wpływ jego na bieg wypadków — porwania, odzyskania, przeszkody w zawarciu małżeństwa, do którego oblubienica czuje niechęć — jest zawsze dobroczynny i w końcu karzeł nie okazuje się bynajmniej złym duchem, lecz po prostu zamożnym dziwakiem, zgorzkniałym z powodu swego kalectwa i nieodwzajemnionej miłości.

Gdy Czarnego karła oddano w ręce Blackwooda. ów miał poważne zastrzeżenia i pokazał rękopis Williamowi Giffordowi, redaktorowi „*Quarterly Review*” który podtrzymał jego krytyczne zastrzeżenia. Polecono więc Johnowi Ballantyne, by uwagi Blackwooda przekazał Scottowi. Człowiek ukrywający się pod imieniem Jedediah Cleishbotham zareagował gwałtownie na krytykę, upominając Ballantyne'a, aby nie dał się używać do wybierania gorących kasztanów z ognia, jak małpa, która poparzyła sobie palce. „Ja należę do regimentu Huzarów Śmierci w literaturze i ani nie udzielam, ani nie przyjmuję uwag krytycznych. Nie widzę żadnego powodu, który by usprawiedliwiał pokazanie mego manuskryptu Giffordowi i nie zmieniałbym jednego zdania, aby się przypodobać wszystkim

krytykom Edynburga i Londynu — i tak już musi zostać. Nigdy w życiu nie słyszałem takiej bezczelności... Proszę, aby więcej nie było konszachtów z krytykami. Ci urodzeni idioci nie wiedzą wcale, ile szkody mogą narobić i sobie, i mnie. Ja wiem, na Boga.”

Szczerze respektując oryginalną twórczość — chociażby jej nie lubił — Scott zawsze wstrzymywał się od krytykowania innych pisarzy albo doradzania im i jakichkolwiek zmian w ukończonym już utworze. Skromność jego była przeciwstawieniem arogancji wielu pismaków. „Niejeden mądry młodzieniec — pisał Scott w wiele lat później w swoim dzienniku — stał się tumanem pod wpływem chłosty, a niejeden oryginalny utwór artystyczny zmienił się w banalną przeciętność po poprawieniu”.

Czarny karzeł nie był powieścią udaną, co Scott sam przyznał, ale to wcale nie wpłynęło na zmianę jego zasady. Nie było możliwe aby agent wydawniczy i byle redaktorzyna poprawili utwór tak, żeby stał się arcydziełem, gdyż główną wadą powieści była melodramatyczna fabuła, która opłótła bohaterów do tego stopnia, że nie mieli możliwości poruszać się w tej sieci.

Druga książka z cyklu „*Opowieści mego gospodarza*”, *Old Mortality*, wydana razem z *Czarnym karłem*, w roku 1816, miała takie powodzenie, iż przyćmiło ono i pozwoliło zapomnieć o porażce, zanim jeszcze ją zauważono. Powieść oparta była na legendzie — opowiedzianej w prologu — o Robercie Patersonie zwanym „Old Mortality”, który pod koniec XVIII wieku wędrował po Szkocji, oczyszczając i naprawiając groby zwolenników Kovenantu poległych w bitwach. Zwolennicy Kovenantu podpisali układ zobowiązujący ich do walki przeciw królowi angielskiemu, wtrącającemu się do spraw szkockich reform kościelnych. *Old Mortality* była niewyczerpaną kopalnią wszelkich opowieści związanych z walkami kovenantystów.

Opowieści te wplótł Scott w historię o Henryku Mortonie z Milnwood, umiarkowanym młodym prezbiterianinie, którego przychwycili angielscy dragoni pod dowództwem Johna Grahama z Claverhouse,

oskarżając go o ukrywanie starego fanatycznego kovenantysty, który niedawno zamordował pewnego biskupa. Od egzekucji ratuje młodego Mortona interwencja Edith Bellenden, pięknej córki sławnej szkockiej rojalistki. Morton zakochuje się w pięknej Edith, która odpłaca mu wzajemnym uczuciem. Po uwolnieniu Morton łączy się z grupą fanatycznych kovenantystów, chociaż nie podziela ich skrajnych poglądów religijnych. Dzięki talentom żołnierskim zostaje jednym z uznanych przywódców; pozwala to autorowi wykazać własną solidarność z dążeniami kovenantystów do swobód religijnych, a jednocześnie potępić ich fanatyzm.

Szereg sprzyjających zbiegów okoliczności, wykorzystanych przez Mortona, pozwala mu spłacić po rycersku dług wdzięczności w stosunku do swego nieprzyjaciela i rywala, lorda Evandaie, i w ten sposób zyskać miłość Edith, chociaż kochankowie znajdują się w przeciwnych obozach. Kovenantyści, po kilku pomniejszych zwycięstwach, ostatecznie ponoszą klęskę w bitwie pod Bothwell Bridge, gdzie Claverhouse dowodzi oddziałem konnicy królewskiej. Morton, wzięty do niewoli, zostaje skazany na banicję. Po latach zmiana w sytuacji politycznej pozwala mu powrócić. Następuje opis jeszcze jednej bitwy, w której ginie lord Evandale. Morton nareszcie poślubia Edith.

Różne są opinie na temat hierarchii wartości literackiej książek Waltera Scotta. Wielu umieszcza *Old Mortality* na drugim miejscu tej okazałych rozmiarów listy. Była to próba rekonstrukcji epoki, żywej jeszcze w legendzie i wyobraźni ludu, chociaż żyjące pokolenie już jej nie znało ze wspomnień

osobistych. Kowenantyści byli dla narodu szkockiego za czasów życia pisarza połączeniem bohaterów i świętych. Scott sprowadził do właściwych proporcji ową prawie nadprzyrodzoną cześć, jaką ich otaczano.

Z literackiego punktu widzenia konstrukcja *Old Mortality* należy z pewnością do najlepszych osiągnięć Scotta. Akcja jest żywa, ciągłość dobrze utrzymana. Całość stanowi ciekawy przykład przekształcenia niezbyt uzasadnionej legendy w efektywny i przekonujący realizm, a jej jedynymi słabszymi scenami — jak często zdarzało się u Scotta, który znał dobrze szczere przywiązanie, ale mało miał doświadczenia w namiętnych porywach miłości — są sceny erotyczne. Najbardziej blado zarysowanymi postaciami są właśnie kochankowie: Morton i Edith Bellenden. Doskonale są odtworzone przemiany ideologiczne Mortona, jego ciągle wahania między jedną a drugą stroną w tej wojnie domowej, ale też składa się on tylko z wahań i rozważań ideologicznych, nie pozostawia czytelnikowi wrażenia prawdziwego człowieka z krwi i kości.

W powieści tej są sceny o wielkim ładunku emocjonalnym i napięciu dramatycznym; mamy też wielu bohaterów o dominującej witalności; nie tylko John Graham z Claverhouse — postać historyczna, ale również, a może nade wszystko, wielu prostych ludzi, dzięki którym cała powieść trzyma się rzeczywistości, a bez których zdrowego rozsądku i dobrotliwego humoru mogłaby zagubić się w legendzie o rycerskich czynach i kalwińskiej nabożności. O tym aspekcie twórczości autora *Waverleya* pisał w roku 1830 Puszkina: „Urok powieści Waltera Scotta polega głównie na tym, że zawieramy znajomość z czasami minionymi bez *enflure* (napuszoneści) francuskich tragedii, bez afektacji powieści sentymentalnych, bez *dignite* (surowej powagi) historii, lecz jako współcześni, po domowemu”.

Scott osiągnął to, co niewielu pisarzom przed nim się udało: doskonałą naturalność dialogu. Pokojowa mówi jak pokojowa, gospodyni jak gospodyni, parobek jak parobek, a każdy z nich różni się od drugiego. Jest to jeden z najwcześniejszych w literaturze angielskiej przykładów doskonałej obserwacji różnic w dialektach i odzwierciedlenia w mowie umysłowości poszczególnych jednostek, oddalonych od siebie na drabinie zawodowej i społecznej choćby tylko o pół szczebla.

Stylistycznie *Old Mortality* osiągnęła wyżyny rzadko przedtem i potem spotykane w twórczości Waltera Scotta. Mamy tu sławną przemowę Claverhouse'a do Mortona, w której brzmi prawda i wstrzeźliwość wielkiej prozy:

„Ale prawdę mówiąc, panie Mortonie, czemu mamy tak bardzo troszczyć się o śmierć, która krąży nad nami i wokół nas każdej chwili? Ludzie co dzień umierają — rzadko kiedy dzwon wybija godzinę, aby to nie była godzina czyjejs śmierci: czemu wahać się przed skróceniem pełnego łuku czyjegoś życia lub troskać się nadmiernie o przedłużenie naszego własnego? To wszystko jest tylko loterią: gdy wybije północ, jeśli miałeś umrzeć — umrzesz, jeśli nie — żyjesz zdrow i cały... I nie warto myśleć o chwili oddania ducha, bo to musi zdarzyć się któregoś dnia i może zdarzyć się każdej chwili — tylko pamięć, którą żołnierz pozostawia po sobie, jak długa smuga światła, którą pozostawia za sobą zachodzące słońce — oto wszystko, o co warto dbać, bo to odróżnia śmierć nędznika od śmierci człowieka odważnego. Kiedy myślę o śmierci, panie Mortonie, jako o czymś, o czym warto myśleć, to w nadziei, że legnę pewnego dnia na jakimś pobojuwisku po ciężkiej a zwycięskiej walce i umrę z okrzykiem «zwycięstwo» w uszach — wtedy będzie warto umierać i po to warto żyć.”

A prócz górnolotnych przemówień nie brak tu również humoru, czasem odrobinę zabarwionego makabrą, jak na przykład gdy pewien prostaczek opowiada o arystokracji: „On to właśnie głowę stracił w Londynie: ludzie powiadają, że nie była to bardzo tęga głowa, ale i tak okrutna to strata dla niego, biedaka”.

Pochwały czytelników *Old Mortality* były szczere prawie jednomyślne. Nawet niektórzy krytycy przypisali swe recenzje nie tylko zwykłym octem, ale i odrobiną uznania. Pewien lord, zapytany, co sądzi o najmodniejszej powieści roku, odparł: „Co ja sądzę! Nikt z nas nie poszedł do łóżka tej nocy i nikt nie spał prócz mojej podagry”. Tak więc te same powieści lairda z Abbotsfordu, które kołysały do snu Toma Purdie, przypisywały o bezsenność innym czytelnikom. Byli tacy, którzy twierdzili, że powieści tej nie napisał Scott — była zbyt dobra i nie cechowały jej ciągłe opisy krajobrazów, które uważali za nudne.

Uszczęśliwiony i zaintrygowany autor próbował umocnić swoją anonimowość pisząc recenzje *Czarnego karla* i *Old Mortality*, krytykując jedną a wychwalając drugą: „nadzwyczajny utwór”, „pierwszorzędny humor i patos”. Ale i tak wkrótce cała Wielka Brytania знаła prawdziwe nazwisko autora ulubionej powieści.

Wtedy właśnie Scott złożył ostatni hołd u stóp Parnasu. W roku 1817 ukazał się poemat *Harold the Dauntless* (*Harold Śmiały*). Dość kiepskim wierszem opisane są w nim przygody duńskiego Wikinga, nawróconego na chrześcijaństwo za pośrednictwem duchów. Sprzedaż szła nie najgorzej, ale nie na tyle, aby pomóc w rozwikłaniu coraz trudniejszej sytuacji finansowej. Tylko najpopularniejsze powieści, których wartość autor już ocenił, mogły nadążyć długom Ballantyne’a i tej prawdziwej studni bez dna, jaką był Abbotsford.

Zagmatwanie sytuacji w firmie Ballantyne doszło do takiego stopnia, że liczni specjaliści, którzy studiowali przygody handlowe i afery finansowe wydawnictwa, a później drukami (istniała ona jeszcze w 1817 r.), nie byli w stanie oświecić niepojętych zeznań finansowych zachowanych po dziś dzień w Bibliotece Narodowej w Szkocji, ani ksiąg rachunkowych, które nigdy nie były zbilansowane. Wydaje się pewne, że obaj, Scott i Ballantyne, stale i uparcie przeceniali przewidywane dochody drukami. Nie ulega również wątpliwości, że utrzymywali i przedsiębiorstwo, i siebie tylko za pomocą skomplikowanej sieci kredytów, weksli itp. Uczciwość ich jednak trudno kwestionować.

Co może być poddane dyskusji, to uczciwość Johna Ballantyne’a, który po zlikwidowaniu wydawnictwa został urzędnikiem licytacyjnym, a także działał jako agent „autora *Waverleya*”. Wybranie Johna na agenta było jednym z najbardziej niewytłumaczalnych szaleństw Scotta. Johnowi dobrze się teraz powodziło: jeździł po Edynburgu parą koni, stroił się w błękitny surdut i białe bryczesy, często bywał na wyścigach i kupił sobie willę, którą nazwał „Harmony Hall”, gdzie wydawał wesole biesiady dla aktorek i ludzi teatru. Każdy prócz Scotta widział doskonale, że na czołe tego człowieka był wypisany spryt niebieskiego ptaszka. Ale laird z Abbotsfordu powierzył mu likwidację przedsiębiorstwa wydawniczego, z czym John się nie spieszył, gdyż chełpił się spółką z wielkim autorem i nie chciał tego związku przerwać.

Drukarnia Jamesa Ballantyne’a nadal funkcjonowała i nawet przynosiła zyski, ale obciążona była długiem w wysokości 10 000 funtów, przejętym po wydawnictwie Johna. Najróżniejszych środków się chwytano, byle tylko utrzymać na powierzchni ten przeciążony statek. Inni wydawcy, gdy podejmowali się wydania powieści Scotta, musieli przy tej okazji brać na siebie jakąś część „cegieł”

Ballantyne'a. Archibald Constable, doskonale się orientując w zyskowności książek Scotta i koniecznie starając się mieć w tych zyskach osobisty udział, gromadził wszelkie swoje środki finansowe, aby tylko sprostać nieustannym żądaniom zaliczek i pożyczek zaciąganych w imieniu pisarza przez jego agenta. Ale John we własnym rozumieniu był bardzo pomocny. Tylko, że jego własne rozumienie zawodziło. On to proponował te wciąż nowe kombinacje finansowe, w których Scott wreszcie ugrzązł nieodwołalnie.

Winą Scotta było dalsze, wbrew wielu ostrzeżeniom, zatrudnianie Johna jako agenta finansowego, no i oczywiście niebywała rozrzutność i ślepa hojność. Zaciągając poważne pożyczki od wydawców, a pośrednio i z banków, które wydawców finansowały, Scott lekkomyślnie pożyczał przyjaciółom, którzy nie mieli wielkich szans zwrócenia kiedykolwiek długów, i dawał hojne dary z tych pieniędzy, które właściwie mówiąc nie należały prawnie do niego. Był nienasycony w zakupach ozdób i urządzeń do swego „Conundrum Castle” — witraże, przedstawiające szkockich królów, stara fontanna z rynku w Edynburgu, chimery z Opactwa w Melrose, nie wspominając już o setkach tomów książek, o zbrojach i obrazach.

Powstał plan, aby jeden z folwarków Scotta przekształcić we wzorową wieś dla robotników rolnych i nazwać ją Abbotstown. Ale ten sen nie miał zostać nigdy zrealizowany. Nadchodził szybko dzień, w którym Laird miał właściwie oddać swe życie, by zapłacić za to, co posiadał.

TRIUMFY LITERACKIE I OSOBISTE

Nastrój tajemniczości, jaki zapanował w domu Jamesa Ballantyne'a dnia 30 grudnia roku 1817, niewiele ustępował owej atmosferze grozy w chacie Dawida Ritchie, która dała natchnienie do powstania *Czarnego karta*. Miało się tu odbyć przyjęcie w cieniu Wielkiego Anonima, w wilię wypuszczenia na rynek następnej jego książki, wydanej przez Archibalda Constable'a, a wydrukowanej przez Jamesa Ballantyne'a. Wśród zaproszonych gości znajdował się Walter Scott, trzech przyjaciele o imieniu William — Clerk, Erskine i Laidlaw, krewniak Scotta książę Buccleuch, John Ballantyne i paru innych.

Gdy po zupie żółtowej podano dziczyznę, a pieczeń wołową i baranią po dziczyźnie, gdy splukano to mocnym piwem i wyborną maderą, rozmowa — w której Scott brał gorący udział — potoczyła się na temat powieści pisanych przez autora *Waverleya* i "Opowieści mojego gospodarza". Solennie dyskutowano nad przypuszczeniami, kto mógłby być autorem, czasem tylko rzucając ukośne spojrzenia na Scotta, w czym zwłaszcza celowała pani Ballantyne.

Jako gospodarz, James wstał, gdy ze stołu sprzątnięto już wszystko prócz kieliszków i karafek z winem. „Panowie, piję za powszechną wesołość wszystkich przy tym stole”. Niebawem James zaintonował jedną i drugą piosenkę ciepłym, choć niewycwiczonym barytonem. Następnie wypito zdrowie króla, a później: „Panowie, wznoszę toast, którego nigdy nie pomijam w moim domu i pomijać nie będą, póki żyję — zdrowie pana Waltera Scotta.” Zważywszy, że dom i prawie wszystko w tym domu James posiadał dzięki swej współpracy z szeryfem Selkirku, toast był jak najbardziej na miejscu. Walter siedział, uśmiechając się i czerwieniąc, gdy wychylano kielichy za jego zdrowie i wznoszono trzykrotny okrzyk. Wstał z kolei, by podziękować, a mówił jako urzędnik sądów edynburskich i pan na Abbotsfordzie.

Lokaj przyniósł następnie portwejn i pani Ballantyne, jedyna kobieta obecna przy tej uczcie, wstała i odeszła. Napelniono znowu kieliszki i James wstał raz jeszcze, a patrząc gdzieś w kąt sufitu, grobowym głosem, podobnym do tego, jakim Dawid Ritchie przemawiał do swego czarnego kocura, wznosił toast: „Zdrowie autora *Waverleya*.” Wszyscy powstali, a Scott razem z nimi, i wychylono ten toast z wielkimi wiwatami i klaskaniem w ręce, do czego również Scott się przyłączył. Wobec czego James solennie zapewnił, że będzie uważał za swój obowiązek dopilnować, aby uczczony tak serdecznym toastem autor dowiedział się o tym jeszcze jednym świadectwie jego popularności.

Była to biesiada, której ton nadawał James — może i słusznie, bo ostatecznie on podejmował gości wystawną ucztą, chociaż policzywszy, jak bardzo był zadłużony u Scotta, można by się zastanawiać, kto tu właściwie był fundatorem. Wstał więc teraz, by oznajmić: „Zebraliśmy się tutaj, by uczcić jutrzejsze wielkie wydarzenie, jakim będzie wydanie nowej powieści, napisanej przez Jedediaha Cleishbothama. Tytuł powieści — *Rob Roy*!”

I znowu wiwaty, brawa, toasty, pieśni — aż do chwili, gdy Scott zaczął się żegnać. Po jego wyjściu James z miną konspiratora wydobył z kieszeni wielki pęk kluczy i uroczyście podszedłszy do biurka, wyjął plik manuskryptów. „Mam tutaj, panowie — rzeki podniosłym tonem — nowy utwór, niewątpliwe arcydzieło. Czy nie chcielibyście posłuchać?...” Chcieli, i James zasiadł do odczytywania, z wielkim patosem i aktorskimi gestami, bardziej dramatycznych wyjątków z *Rob Roya*.

Takie przyjęcia — z niewielkimi zmianami — odbywały się zawsze w wilię ukazania się nowej powieści „autora *Waverleya*”. Była to taka sama farsa, jak ta, którą odgrywał Dawid Ritchie, by nastraszyć gości „tajemną władzą” swego kocura. Bo każdy, kto wiedział cokolwiek o Scotcie — a w domu Ballantyne’a nie było innych — wiedział też doskonale, spod czyjego pióra wychodziły powieści, bijące wszelkie rekordy poczytności i roznoszące po całej Europie sławę Szkocji i jej dramatycznej historii.

Rob Roy powstawał w warunkach, które usprawiedliwiłyby każdego pisarza, gdyby zechciał rzucić pióro, a niejednego zapędziłyby do domu wariatów. Straszne ataki kurczów żołądka pojawiały się i znikwały z przerażającą regularnością, najpierw co parę tygodni, później co miesiąc. „Ta choroba gnieździ się raczej w kiszki niż w żołądka — pisał Scott do przyjaciela. — Moje kiszki czasem nie chcą wypełnić swoich obowiązków, nie reagują na leki, po czym następuje atak bólów kurczowych. Leżę w agonii przez kilka godzin, zaklinając się, że nie zażyję laudanum... Wreszcie muszę łyknąć sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt kropli tego laudanum, inaczej mógłbym doprowadzić bóle aż do stanu zapalnego, co znowu wymaga puszczenia krwi... Lek przynosi mi ulgę i następny dzień mija żałośnie, gdyż cierpię od rezultatów zażycia tego leku, który nie zgadza się z moim organizmem. Ale nadchodzi trzeci dzień i jestem znowu sobą.”

Takiego trzeciego dnia Scott siadał znowu do pisania powieści, opartej na życiu Rob Roya, wyjętego spod prawa banity i wodza klanu MacGregorów. Nieprawdopodobna wytrzymałość jego organizmu pozwalała mu w taki dzień pisać: „Ostatecznie, czy wolno narzekać człowiekowi, który przez tyle lat cieszył się tak doskonałym zdrowiem, jakie było moim udziałem? Trzeba przyjmować złe i pamiętać, że dobre także było”.

Archibald Constable był po prostu wściekły, dowiedziawszy się, że pierwsza z „Opowieści mojego gospodarza” dostała się jego londyńskiemu rywalowi, Murrayowi. John Ballantyne, wygrywając sprytnie tę zazdrość, sprzedał mu *Rob Roya* jeszcze przed jego ukończeniem za zaliczkę w sumie 1 700 funtów, opłacenie dalszego ładunku „cegieł”, które jeszcze leżały w piwnicach firmy Ballantyne, oraz piękną sumkę dla siebie tytułem prowizji — 1 200 funtów.

Scott odwiedził ponownie kraj Rob Roya w górach Szkocji, obejrzał jaskinię nad jeziorem Loch Lomond, kryjówkę banity, i spędził trochę czasu w Glasgow, mieście jednego z bohaterów powieści, Nicola Jarvie, który miał należeć do najwybitniejszych charakterów w twórczości Scotta.

Powieść jest następnym z wielkich romansów historycznych, w których najważniejsza jest charakterystyka postaci. I nie tylko charakterystyka postaci, ale i przedstawienie na tle społeczeństwa człowieka uwarunkowanego jego miejscem i zadaniem w społeczeństwie, jego stosunkami z przeszłością historyczną. Wkład Scotta w rozwój powieści polega nie tylko na tym, że pod jego piórem przeszłość ożyła. Przeszłość ożyła dlatego, że jego bohaterowie są ludźmi żywymi. Odtworzeni są od zewnątrz, ale na podstawie obserwacji tak szczegółowych, tak sumiennych, że zwykle i wewnętrzne cechy ujawniają się ze znaczną wyrazistością.

Najślabszą stroną powieści Scotta jest fabuła. Akcja *Rob Roya* rozgrywa się tuż przed powstaniem jakobitów w roku 1715. Jest to romantyczna opowieść, ilustrująca — z pewną skłonnością do koloryzowania — parę kart z dziejów Szkocji, włącznie z bitwą klanów przeciw oddziałom królewskim; wątek „prywatny” kończy się nieuniknionym małżeństwem. Scott czuje się związany konwencją osiemnastowieczną, której regułą było szczęśliwe zakończenie — szczęście równa się małżeństwu —

a którą spośród angielskich powieściopisarzy może tylko jeden Fielding postugiwał się w sposób naturalny i przekonujący. Scott zdawał sobie sprawę z tej słabej strony, ale próbował ją zlekceważyć cytując pisarza, którego pełne wydanie dzieł przygotował niegdyś do druku, Johna Drydena: „Cóż u licha znaczy fabuła, prócz tego, że służy do wprowadzania pięknych scen?” W Rob Royu autor potraktował szczęśliwe zakończenie z zupełnie lekceważącym pośpiechem, rozwiązując postawione przez siebie zagadki jakby od niechcienia. Ale zanim dotarł do tego punktu, uczynił już dość, aby zapewnić powieści miejsce w historii literatury.

Stworzył wspaniałą galerię żywych i ciekawych postaci na tle ich środowiska. Główny bohater, Frank Osbaldistone, jest tylko romantycznie pozytywny i tradycyjnie bezbarwny. Ale następnie poznajemy jego ojca, świetny typ londyńskiego kupca, wiga w polityce, dalej jego urzędnika, Franka Owena, którego życie i myśli obracają się jedynie dokoła spraw zawodowych. Podróżując na północ, do granicy, docieramy do Osbaldistone Hall, rodowej siedziby, gdzie katolicka i jakobicka rodzina stryja Franka, sir Hildebranda, żyje jak za feudalnej przeszłości. Młodzieńcy przeważnie polują, piją i śpią. Wyjątki od tej reguły przykuwają naszą uwagę — Rashleigh, jeden z sześciu synów sir Hildebranda, i jego siostrzenica, Diana Vernon. Ta młoda dziewczyna jest jedną z bardzo niewielu udanych postaci kobiecych w całej twórczości Scotta: czaruje urodą i sposobem bycia, wesoła, żywa i odważna, z rzadka tylko popada w zmanierowaną modę przemówień w stylu przełożonej pensji żeńskiej.

I wreszcie sam Rob Roy — świetne studium charakteru z pogranicza dwóch światów, wiejskiego i miejskiego — z których oba nieco straciły na tej próbie połączenia ich w jedno. No i filar tej powieści, Nicol Jarvie, przezorny człowiek interesu, którego każdy gest i słowo świadczą o jego wychowaniu i o jego stylu życia.

Wszystkie te postacie są głęboko związane z rzeczywistością życia, tradycji, pracy, profesji, rzemiosła. Są tym, czym są, dzięki otoczeniu i przeszłości. Realizm otoczenia i stylu życia jest jednocześnie realizmem charakterów. Tołstoj ukazał wszystkie nici łączące człowieka z innym człowiekiem, ze społeczeństwem, z historią; otóż Scott, twórca na pewno niższego lotu, pierwszy pisał w podobny sposób, i dzieło Tołstoja niby wspaniała kopuła wiele zawdzięcza skromnym fundamentom, które położył Scott.

Jedna z postaci w *Rob Royu* według powszechnej opinii wybija się ponad inne ciekawą charakterystyką. Andrew Fairservice, służący, dość nędzny typ Szkota, chytry, skąpy, ale on to właśnie wyraża sympatie, antypatie, przesady i idiosynkrazje samego autora. Pomyślany był jako komiczna przeciwwaga dla postaci o większej szlachetności. Ale w rezultacie powstała postać bardzo ważna dla atmosfery powieści, wiążąca ją z realistycznym tłem. Jest to postać pełna życia, i to pomimo faktu, że jest to zarazem realizacja pewnego schematu: lokaj scharakteryzowany według starej tradycji literackiej — której hołdował m. in. także Puszkina tworząc postać Sawelicza w *Córce Kapitana* — lokaj, który musi być po trosze błaznem, tchórzem, kłamcą i beczelnym samochwałem, a przy tym wszystkim — wiernym sługą swego pana.

Powieść ta uczyniła dla szkockich górali to, co Tetmajer dla górali polskich. Autor *Waverleya* zwrócił uwagę powściągliwych Anglików na namiętny patriotyzm górali, na ich głębokie umiłowanie poezji. Wskazał podzielonemu na klasy i warstwy społeczeństwu angielskiemu, że w Szkocji nie istnieje przepaść, która by oddzielała wodza klanu od najnędzniejszego członka klanu, gdy obaj noszą to samo nazwisko. Taki wódz, gościnny, szlachetny, choć często omylny, dopóki Scott nie przedstawił go w prawdziwym świetle, był uważany na południe od granicy za grubiańskiego złodzieja bydlą

i zabójcę. Scott może zanadto ozdobił go blaskiem romantyzmu, ale w każdym razie oddał mu sprawiedliwość, podkreślając jego nieco prymitywne cnoty. Klany już się przeżyły, zwyciężone angielskimi bagnetami, złamane angielskimi prawami. A więc niech żyją klany! Aktem parlamentu londyńskiego dawno już zabroniono noszenia króciutkiej kraciastej spódniczki, zwanej „kilem”, i szkockiego stroju narodowego. Ale teraz „kilt” zaczął powracać jako symbol patriotyzmu szkockiego, i to nie tylko w dalekich górach i dolinach Szkocji, ale także obnoszony dumnie przez Szkotów uczęszczających do salonów najwytworniejszego towarzystwa londyńskiego.

W dwa tygodnie od chwili ukazania się *Rob Roy* Constable sprzedał dziesięć tysięcy egzemplarzy, co w owych czasach było najwyższą cyfrą pierwszego wydania. Pieniędźmi, które za to otrzymał, Scott spłacił dług księciu Buccleuch.

Bóle i kurcze, które go nawiedzały w okresie pisania tej książki, powracały nadal, choć nieco rzadziej. Scott musiał zaprzestać polowań ze strzelbą, gdyż chodząc z psami nie mógł za nimi nadążyć. Musiał teraz zadowolić się powolnymi spacerami po swych coraz liczniejszych akrach ziemi, z laską w jednym ręku, drugą zaś ręką wspierając się na wiernym Purdie.

Coraz więcej serca wkładał w Abbotsford. „Czy nie mógłbyś znaleźć paru wolnych dni i wpaść do mnie, by rozejrzeć się tutaj? — pisał do Francisa Jeffreya, redaktora «Edinburgh Review». — Nie śmiem zapraszać pani Jeffrey aż do przyszłego roku, kiedy może wydobędę się z wapna i cementu. Do mego jedyne wolnego łóżka można było do niedawna dostać się tylko feudalną metodą włożenia po zwodzonym moście drewnianym, zrobionym z dwóch desek... Jestem panem wszystkiego w miniaturze: mała górką i mała dolina, mały staw zamiast jeziora i mała rzeczka — och, przepraszam! przypomniało mi się, że pewnego ministra tłum pobił za to, że nazwał Tweed małą rzeczką w swoim sprawozdaniu; więc proszę, przyjeźdź mnie odwiedzić!”

Jednakże wkrótce po wydaniu *Rob Roy* Scott udał się do Edynburga do tych przyjaciół i „drogich nieprzyjaciół”, którzy nie mogli przybyć do Abbotsfordu. Zabrał swe bóle i kurcze, krople laudanum i butelki z lekami do stolicy, gdzie wybrał się na ceremonię, o której marzył od dawna.

Unia Szkocji i Anglii z roku 1707 pozostawiła pewną tajemniczą zagadkę, o której rozwiązanie pokusił się Walter Scott. Zniknęły szkockie regalia koronne. Stronnicy Stuartów oskarżali Anglików o przywłaszczenie sobie koron i berła wbrew aktowi Unii. Powstało wiele pieśni, w których bez wielkiej delikatności sugerowano, co z tymi historycznymi pamiątkami robiono na dworze Św. Jakuba.

Gdy Scott spotkał księcia regenta w Londynie w roku 1815, poprosił go — być może, po zaśpiewaniu paru takich piosenek podczas wesołej biesiady — o pewną łaskę, związaną ze sprawą regaliów. Podczas swoich antykwarycznych poszukiwań dowiedział się o istnieniu w komnacie koronacyjnej zamku edynburskiego pewnej pokrytej pajęczyną i kurzem skrzyni. Jego prośba do księcia regenta polegała po prostu na tym, że chciał mieć pozwolenie otwarcia tej skrzyni, w obecności odpowiednich świadków.

Po trzech latach zwlekania i bezpłodnych rozmów upragniony moment wreszcie nadszedł. Członkowie specjalnej komisji oraz dygnitarze edynburscy wraz z żonami i rodzinami zebrali się w sali koronacyjnej Walter Scott był tam wraz ze swoją najstarszą córką Zofią. Od wielu tygodni o niczym innym się nie rozmawiało w Abbotsfordzie, tylko o tej ceremonii, do której Scott gotował się z takim nabożeństwem, jak do sakramentu. Zofia wprowadziła się w stan prawie histerycznego podniecenia.

Stała obok ojca, drżąc rękę włożywszy w jego dłoń, ubrana wykwintnie z odziedziczonym po matce Francuzce szykiem w stroju i postawie.

Pajęczyny ceremonialnie zmieciono. Kustosze zamku, nieco spóźniwszy się ze swymi staraniami, zamietli również podłogę dookoła tajemniczo wyglądającej skrzyni. Przewodniczący komisji, poważny, ale tak zdenerwowany, że trzęsła mu się ręka, wielkim ozdobnym kluczem sięgnął zamku. Klucz nie chciał się obrócić. Przewodniczący mocował się chwilę. Zawołano jednego z kustoszy, który miał podobno silniejszą rękę. Nadał klucz nie chciał drgnąć. Inny z komisarzy wziął klucz, obejrzał go, potem przyłożył oko do dziurki. Ale to jakoś niczego nie naprawiło. Klucz nadal nie chciał się obrócić. Scott szepnął parę słów do kustosza, który znikł pośpiesznie i zaraz powrócił, niosąc olej na tyżce. Umociono w nim klucz.

Tymczasem napięcie nerwowe Zofii doszło do zenitu. Zachwiała się lekko, oparła o ojca, który objął ją ramieniem. Klucz, dobrze naoliwiony, obrócił się. Zebrani wstrzymali oddech. Wieko zazgrzytało. Przewodniczący zajrzał do środka. Obrócił się i z przejęciem kiwnął głową. Spokój i opanowanie pierzchły. Każdy rzucił się naprzód, by spojrzeć na wyjmowaną koronę, a potem na berło. Następnie ukazała się szpada królewska, ofiarowana przez papieża Juliana II królowi Jakubowi IV, temu samemu, który zginął w bitwie pod Flodden, opiewanej przez Scotta w poemacie *Marmion*. I wreszcie srebrna buława skarbnika Szkocji.

Laird Abbotsfordu z takim przejęciem oglądał regalia, że nie zauważył, iż głowa córki coraz bardziej cięży mu na ramieniu. Obejmował ją, więc zapobiegł upadkowi: według najlepszej dziewiętnastowiecznej tradycji panienka zemdląca.

Gdy przyniesiono wodę i Zofia wróciła do przytomności, Scott rozejrzał się wokoło. Scena prawie bluźniercza wyrwała mu mimowolny okrzyk: „Na Boga! Nie!” Jeden z członków komisji, lekkomyślnie — Scott użyłby prawdopodobnie mocniejszego określenia — zabawiając się koroną, miał ją właśnie włożyć na głowę którejś z obecnych młodych panien. Lekkomyślny komisarz obrócił się na dźwięk tego okrzyku, trzymając koronę zawieszoną nad złocistą główką dziewczęcą. Scott wpatrywał się w niego strasznym wzrokiem.

Komisarz poczerwieniał i odłożył koronę z powrotem na stół, na którym ją początkowo złożył przewodniczący. Rozczarowana dziewczyna zrobiła grymas i spojrzała gniewnie na tego, który jej popsuł zabawę. I Walter Scott, zaambarasowany własnym mimowolnym odruchem protestu, przeprosił lekkomyślnego komisarza.

Taki przebieg miało historyczne wydarzenie w sali koronacyjnej zamku edynburskiego. Edynburg był również miejscem akcji najświeższej powieści historycznej Waltera Scotta, *The Heart of Midlothian* (tytuł polski: *Więzienie w Edynburgu*), wydanej przez Constable'a w czerwcu roku 1818. Do dziś dnia ta powieść jest uważana przez znawców i krytyków Scotta za najlepszą. Przyjęto ją w Szkocji z niebywałą radością i zachwytem. Heroina bez skazy — Szkotka prosta i cnotliwa — zdobyła z miejsca wszystkie serca na północ od granicy. I pod każdym innym względem powieść ta zaspokajała potrzeby czytelnika romantycznego: była w niej niewinność i winą, domowe zacisze i powstania, prawo i religia, komedia i tragedia.

Tytuł powieści pochodzi od nazwy starego więzienia edynburskiego. W tym to więzieniu leży nieszczęśliwa Effie Deans, oczekując procesu za zamordowanie swego nieślubnego dziecka. W tym

samym więzieniu znajduje się niejaki John Porteous, kapitan gwardii miejskiej, który ledwie wymigał się od szubienicy za to, że wydał nieuzasadniony rozkaz strzelania do tłumu, wskutek czego zginęło wiele osób. Zamaskowani mężczyźni wdzierają się do więzienia, porywają Porteousa z jego celi i wieszają go na najbliższym słupie ulicznym. Jednym z zamaskowanych mężczyzn jest George Staunton, ojciec dziecka Effie. Korzystając z okazji chce uwolnić swoją kochankę. Ona odmawia. Jej siostra, Jeanie, może ją ocalić składając przed sądem fałszywe zeznanie. Tym razem Jeanie odmawia i Effie zostaje skazana na śmierć.

Ale Jeanie, która nie popełni krzywoprzysięstwa, potrafi jednak pójść pieszo aż do Londynu, by uzyskać za pośrednictwem pewnego szkockiego arystokraty audiencję u królowej Karoliny, żony Jerzego II. Jej błagalna przemowa do królowej jest klasycznym przykładem nieuczonej, lecz wzruszającej elokwencji.

„Niestety! Nie wtedy, gdy śpimy słodko i budzimy się wesoło, myślimy o cierpieniach innych ludzi. Serca nasze są lekkie i gotowiśmy wówczas do walki z całym światem. Ale gdy na nasze ciało lub umysł spadnie godzina nieszczęścia — oby jak najrzadziej nawiedzała Waszą Królewską Mość — i gdy godzina śmierci wybiję dla ubogiego i możnego — oby jak najpóźniej wybiła dla Najjaśniejszej Pani — o, moja królewska pani, wtedy nie to, cośmy uczynili dla siebie, ale to cośmy uczynili dla drugih, jest ważne i pożądane! I myśl, żeś ocaliła, Najjaśniejsza Pani, życie tego biednego stworzenia, będzie ci słodsza, niż gdybyś jednym swoim słowem rozkazała powiesić całą bandę tego Porteousa.”

Wypuszczona na wolność Effie oczywiście wychodzi za mąż za Stauntona, a Jeanie poślubia prezbiteriańskiego pastora. Ale tym razem podwójny ślub nie jest zakończeniem powieści. Ci, którzy rodzą dzieci, zanim sakrament ich połączy, nie mogą cieszyć się błogosławieństwem pisarza-konserwatysty. Nieślubne dziecko, które było przyczyną tylu zmartwień — chłopiec — jak się okazuje, nie został wcale zabity, lecz uprowadzony i wydany bandytom przez na wpół obłąkaną Madge Wildfire, córkę Margaret Murdocksen, kobiety, która opiekowała się Effie podczas jej porodu. Staunton udaje się na poszukiwanie chłopca i ginie w potyczce z ręki własnego syna.

Jest to powieść o dobrej konstrukcji, czym nie wszystkie utwory Scotta mogą się poszczycić, skoncentrowana wokół głównej sprawy — procesu Effie, jego przyczyn i skutków. Ale proces nie jest tylko sentymentalną sceną, obliczoną na wyciskanie łez z oczu czytelników. Jest to zdarzenie ważne, zdradzające naturę życia szkockiego w owym okresie — czwartej dekadzie XVIII wieku.

Powieść zawiera kilka wielkich scen na poziomie literackim, którego Scott nigdzie nie przewyższył — na przykład zamieszki uliczne podczas wieszania kapitana Porteousa, sam proces Effie, audiencja Jeanie u królowej Karoliny, opis ostatnich chwil ojca bohaterki utworu, Davie Deansa — jeden z najkomiczniejszych a zarazem najbardziej wzruszających opisów śmierci w beletrystyce światowej.

The Heart of Midlothian obejmuje szerszy wachlarz warstw społecznych niż jakakolwiek inna powieść Waltera Scotta — od mętów Edynburga aż do królowej Karoliny. Kreśląc ich charaktery autor przejawiał raz jeszcze zrozumienie sił wpływających na wydarzenia i zmuszających jednostki do działania. Odmowa Jeanie złożenia fałszywego zeznania, a nawet jej piesza pielgrzymka do Londynu, to charakterystyczne przejawy kalwińskiej mentalności, dziedzictwo wielu pokoleń surowych purytanów. Upadek Effie był wywołany jej życiem w Edynburgu, w stolicy bogactwa i kryminalnej biedoty, prawników i przemysłowców, jej odwróceniem się od starego wiejskiego świata i od surowego ojca-purytanina.

W pewnym sensie jest to powieść tragiczna. Ale jednocześnie jest głęboko romantyczna romantyzmem człowieka, który nienawidził nowego kapitalizmu, w którego oczach Rewolucja Przemysłowa była burzycielką dawnego porządku społecznego i dawnej moralności. Jak wszystkie powieści Scotta, i ta jest w pewnym stopniu eskapistyczna i reakcyjna. Trudno oczekiwać od takiego miłośnika tradycji, jakim był Scott, aby umiał patrzeć w przyszłość, poza trudne chwile Rewolucji Przemysłowej. Patrzył więc wstecz, w przeszłość. Ale nawet czyniąc to, nie pisał z punktu widzenia klasy panującej: dostrzegał zdarzenia i przyczyny zdarzeń poprzez oczy chłopów. Był to ograniczony punkt widzenia człowieka trzeźwego i uczciwego, który — nie chcąc czy nie mogąc podjąć walki ze złem — nauczył się z nim współżyć.

Powieść ta, którą Scott napisał jako pochwałę solidnych cnót ludu szkockiego — tego ludu szkockiego, który w Londynie wciąż jeszcze uważano za rasę prymitywnych dzikusów — osiągnęła również w Anglii tak ogromne powodzenie, że zaskoczyło ono autora. W każdym domu, gdzie tylko był egzemplarz powieści, członkowie rodziny wyrwali go sobie z ręki. Korespondenci Scotta zapewniali go, że na każdym przyjęciu *The Heart of Midlothian* było głównym tematem konwersacji. Bohaterkę, Jeanie Deans, słusznie ogłoszono rzadkością w beletrystyce: ta doskonale cnotliwa bohaterka pozytywna jest zarazem postacią żywą i ciekawą.

Rok 1818, który zaczął się od trosk Scotta o królewskie insygnia, zakończył się królewską troską o Scotta. „Nasz grubasek, pragnąc uczcić literaturę w mojej niegodnej osobie — pisał Scott do swego przyjaciela Morrisa — proponuje mianować mnie baronetem. Łatwo byłoby powiedzieć całą mowę na temat pogardy dla tytułów itp.; ale chociaż nigdy bym nie zniżył się do ubiegania się albo proszenia, albo kupowania zaszczytów [...] jednakże gdy to spływa na mnie wprost ze źródła feudalnych honorów, czuję się wdzięczny. Ostatecznie [...] mój herb jest czysty od wszelkiej zmazy, prócz kradzieży na Pograniczu i zbrodni zdrady stanu, które, jak sądzę, są przestępstwami dostatecznie szlacheckimi.”

Powtarzając wciąż, że tytuł jest mu obojętny, ale że zdaje sobie sprawę z wartości jego dla syna i z przyjemności, jaką by to sprawiło Charlocie, Walter zwrócił się o radę do księcia Buccleuch i do głowy swej bliższej rodziny — Scotta z Harden. Obaj doradzili mu przystać na życzenie regenta. Zdecydował się więc przyjąć tytuł, mówiąc: „Sądzę, że byłoby więcej próżności w tym, gdybym odmówił, aniżeli gdy przyjmuję to, co mi jest ofiarowane wyraźną wolą suwerena, jako znak łaski i wyróżnienia.”

Formalności trwały dosyć długo. Zdrowie Scotta nie pozwalało mu udać się do Londynu. Dopiero wiosną 1820 r. pojechał po inwestyturę. Charlotta nie czuła się na siłach sprostać długiej podróży do stolicy Anglii, ale syn Walter, dwunastoletni wówczas, towarzyszył ojcu. Najciekawsze w tej sprawie są reakcje Scotta. Duże wrażenie wywarła na nim serdeczność i przyjaźń tego, który jako regent ofiarował mu tytuł baroneta, a teraz był już królem Jerzym IV. Pochlebstwa dworaków bawiły go. „Komizm sytuacji polegał na tym — pisał do Charlotty — że cała ta dworska czereda, która nie spodziewała się wiele sądząc po mojej powierzchowności, składała mi tysiące pokłonów, gdy powracałem w glorii łaski.” W ogóle zauważył, że od kiedy został baronetem, służba kłaniała mu się o dwa cale niżej, a drzwi otwierano przed nim o trzy cale szerzej, chociaż jego objętość wcale się nie zwiększyła.

Dostał się w wir przyjęć. Między innymi na pewnym obiedzie mógł odnowić swoją znajomość z księciem Wellingtonem. Król kazał mu pozować do portretu, który miał być zawieszony w wielkiej galerii Zamku Windsor, a rzeźbiarz, sir Francis Chantrey — który między innymi rzeźbił Washingtona

i Wellingtona — zrobił jego popiersie. Laird Abbotsfordu, przywykły do spędzania czasu na wolnym powietrzu, prędko się znużył tym wszystkim. Pisał, iż jest „serdecznie zmęczony wytworną kompanią i wytwornym życiem, wszystkim, od książąt i księżniczek aż do turbota i jaj słonki. To jest dobre na krótko, ale na dłuższą metę człowiek się czuje jak pudel, którego zmuszają do chodzenia na dwóch łapach”.

Sir Walter istotnie zawsze pogardzał zawodowymi dworakami. Ale jednak sprawiały mu przyjemność pochwały i uznanie ludzkie. Gdy nieco później w jego życiu potępiano go głośno, zdarzenie to tak utkwiło w jego umyśle, że umierając, prawie w ostatnich słowach jeszcze o tym mówił. Ale w roku 1820 jego popularność była ogromna. Powracając któregoś dnia z bankietu do swojej kwatery nie mógł się przecisnąć przez tłumy, zebrane przed gmachem parlamentu, gdzie odbywały się właśnie ważne debaty. Nad porządkiem na ulicach czuwał oddział jazdy sławnego regimentu — Szkockiego Siwego, zwanego tak od białych koni, których zawsze używał. Scott podszedł do sierżanta i poprosił go o przepuszczenie na środek ulicy, którą jeźdźcy odgradzali, by umożliwić dojazd ministrom i innym ważnym osobistościom.

— Bardzo żałuję, ale mamy ściśle rozkazy nie puszczać nikogo — odparł sierżant. — Musi pan przecisnąć się przez tłumy albo zaczekać, aż się rozproszą.

Tłumy zakołysały się i zaczęły wiwatować, gdyż właśnie przejeżdżała jakaś ważna polityczna figura. Towarzysz Scotta chwycił go za ramię, wołając:

— Proszę uważać, sir Walterze, ostrożnie. Ważna figura przejechała, a sierżant obrócił się szybko na swym wierzchowcu.

— Sir Walter? — zapytał. — Czy sir Walter Scott? Hej, wy tam! Przepuścić sir Waltera Scotta. Wolna droga dla naszego znakomitego rodaka!

Jeźdźcy rozstąpili się, rozpychając tłum, aż zrobili wolne przejście. Gdy Scott wyszedł na jezdnię, żołnierze jęli wykrzykiwać, a za nimi okrzyk pochwyliły tłumy:

Boże błogosław sir Waltera!

Scott kuśtykał wzdłuż jezdni, uchylając kapelusza w odpowiedzi na pozdrowienia tłumów, wewnętrznie rozradowany, że Anglicy, którzy tu przyszli witać lub krytykować własnych mężów stanu, tak serdecznie pozdrawiali powieściopisarza szkockiego.

LAIRD I JEGO PODDANI

Na początku roku 1819 Abbotsford rozbrzmiewał jękami i okrzykami bólu nie tylko Lairda. Za każdym razem gdy paroksyzm bólu wydierał jęki z ust Scotta, towarzyszyło im żałosne wycie jego ulubionego psa, Maily.

Nowe ataki kurczowych bólów i wymiotów chwyciły autora *Waverleya*, trwając po osiem godzin z rzędu. Ani opium, ani aplikowane w fantastycznych ilościach laudanum nie przynosiły ulgi. Sucharek i woda, a czasem łyżka gotowanego ryżu stanowiły całe jego pożywienie, a doktorzy puszczali mu krew, stawiali bańki i obniżali naturalną odporność organizmu wszystkimi sposobami, jakie zdołali wymyślić. Jeden z nich spokojnie poinformował Scotta, że jego choroby nie cechują żadne poważne symptomy, prócz bólów.

Przez trzy tygodnie Zofia i Anna na zmianę stale czuwały przy łóżku ojca, który cierpiał tak, że czasami wcale nie poznawał swoich pielęgniarek. Ale prawie co dzień, gdy kurcze ustępowały, upierał się, by go sadzano na konia i jechał na krótką przejażdżkę, pochylony, jak by chciał zjeść uszy swego wierzchowca. Z kolei przyszła żółtaczka, i tak żółkł, że — jak zapewniał — Bank Angielski chętnie by z niego wybił złote monety.

Nie brakowało „pocieszycieli Hioba” wśród dobrze mu życzących gości. Hrabia Buchan odwiedził go z myślą o uspokojeniu jego zmartwień co do pogrzebu, którym on sam, hrabia, się zajmie i będzie to sobie uważał za zaszczyt. Odwaga i humor nie opuszczały Scotta nawet w tych strasznych chwilach i śmiał się na myśl o szlachetnym lordzie, który się zamienił w przedsiębiorcę pogrzebowego. Ale najbardziej ubawił go pewien kobziarz z gór szkockich, który wybrał się do Abbotsfordu specjalnie, by dać mu receptę na jego chorobę: „Całą niedzielę spędził na wybieraniu dwunastu kamieni z dwunastu płynących na południe potoków, abym się na tych kamieniach położył spać”. Scott zawsze odnosił się z szacunkiem do cudzych przesądów, uważając je za kwintesencję ludowej kultury. Ale szacunek dla przesądów nie sięgał tak daleko, by miał je praktykować na sobie. „Kazałem kobziarzowi powiedzieć, że jego lek jest niezawodny, ale żeby poskutkował, trzeba koniecznie owinąć kamienie w halkę wdowy, która nigdy nie chciała się drugi raz wydać za mąż; kobziarz zrezygnował z dopełnienia skuteczności swego czarodziejskiego leku”.

W tym okresie zawarł przyjaźń z człowiekiem, który miał zostać jego Boswellem. Latem roku 1818 poznał na przyjęciu w Edynburgu Johna Gibsona Lockharta, niezbyt wziętego adwokata z ciągłami literackimi. Opowiedział on pisarzowi o wizycie, jaką niedawno złożył w Weimarze Goethemu. Scott znalazł jakieś literackie zajęcie dla Lockharta i zaprosił go do Abbotsfordu. Kilkakrotnie młody człowiek przyjeżdżał w czasie choroby Scotta i w ten sposób zaczęła się jedna z tych wielkich przyjaźni literackich, jak Johnson— Boswell, Byron— Shelley, Dickens— Forster, których dzieje uszlachetniają historię literatury.

Lockhart liczył wówczas dwadzieścia cztery lata, był przystojny, blady, o nieco roztarganych włosach spadających na wysokie czoło i ciemnych oczach, gorejących płomieniami entuzjazmu. Dowcipny, z lekka wyniosły w sposobie bycia, niecierpliw wobec ludzkiej głupoty, miał w powierzchowności i manierach coś z hiszpańskiego granda. Świetna kariera jako najlepszego klasyka podczas studiów w Oxfordzie skończyła się rozczarowaniem, gdy zrozumiał, że szkocki prezbiterianin nie może zostać

wykładowcą na tym starożytnym uniwersytecie. Scott umiał wydobyć najlepsze cechy charakteru młodzieńca.

Nie tylko przyjaźń, ale i praca literacka przedzierała godziny bólu. James Ballantyne — który często poprawiał pisownię i gramatykę pośpiesznie kreślonych manuskryptów — i William Laidlaw dzielili między siebie pracę sekretarza podczas pisania *The Bride of Lammermoor* (*Narzeczonej z Lammermooru*). W trakcie pracy, atak bólów chwycił czasem autora, który kurczył się w swym łóżku i napinając mięśnie dyktował dalej. „Sprawdź tylko, czy drzwi zamknięte — mówił do Laidlaw. — Wolę moje krzyki trzymać w ukryciu”. A gdy na parę godzin odczuwał ulgę od ataków, zwlekał się z łóżka i przed zdumionym sekretarzem odgrywał scenę, którą opisywał, i powtarzał dialogi, aż Laidlaw wołał: „Boże zachowaj!” — nie wiadomo czy z zachwytu nad siłą woli przyjaciela, czy też z przejęcia odgrywaną sceną.

Trudno się dziwić, że powieść pisana w takich okolicznościach była utworem o posmaku tragedii — jedynym utworem Scotta aż tak okrutnym i pełnym grozy. Kiedy powieść została wydana, a Scott w spokoju ducha i ciała przeczytał ją — gdyż mało z niej pamiętał — określił, iż jest „przerażająca, brutalna i groteskowa”.

Było to zbyt surowe potępienie. *Naręczona z Lammermooru* jest bodaj najlepszą pod względem konstrukcji powieścią Scotta i zdradza rzadki talent — może w tym wypadku ukryty w podświadomości i wydobywający się na jaw tylko wtedy, gdy opanowanie autora ustępowało pod wpływem cierpienia — tworzenia napięcia i wprowadzania nastroju, sugerującego siły nadprzyrodzone, poza pojmowaniem umysłu i serca normalnego człowieka.

Pod innym względem jest to również utwór wyjątkowy w twórczości Scotta: Ravenswood, bezradny, niepraktyczny arystokrata, jest jedynym bohaterem, który dominuje nad powieścią od początku do końca i nigdy nie popada w sztuczność.

Młody panicz na Ravenswood pragnie pomścić niełaskę, jaka spotkała jego ojca za udział w wojnie domowej. W niesamowitej scenie stare kobiety przypominające czarownice z Makbeta rozmawiają na cmentarzu, przepowiadając straszny kres życiu młodego arystokraty:

— Szczery i hojny człowiek, ten nasz panicz. I urodziwy wielce, szeroki w ramionach a wąski w biodrach; śliczny będzie z niego nieboszczyk, chciałabym go obmywać i w prześcieradła wiązać!

— Napisano na jego czole, Anno Winnie, że ani ręka kobiety, ani też mężczyzny nie będzie go grzebała — całun nie spocznie na jego zwłokach; zapamiętaj to sobie, bo ja wiem o tym z pewnego źródła.

— Czy wypadnie mu zginąć na polu bitwy, Ailsie Courlay? Czy skona od miecza albo kuli, jak tyłu jego przodków?

— Nie pytaj więcej, nie spotka go taki zaszczyt — odpowiedziała starucha.

— Wiem, żeś mądrzejsza od innych ludzi, Ailsie Courlay — ale kto ci to powiedział?

— Nie trap się o to, Anno Winnie — odpowiedziała czarownica. — Ja wiem to ze źródła całkiem pewnego!”

Ale początkowo można powątpiewać o proroczych mądrościach starej Ailsie Courlay, która „wie z pewnego źródła”. Okoliczności zbliżają młodego Ravenswooda do sir Williama Ashtona, prawnika odpowiedzialnego za niełaskę, jaka spadła na rodzinę Ravenswoodów, i młodzieniec zakochuje się w córce Ashtona, Lucy. Lady Ashton sprzeciwia się mariażowi i gdy Ravenswood wyjeżdża, stara się zmusić córkę do zawarcia małżeństwa z rozsądku. Po długim oporze Lucy się poddaje. Ale zaraz po ceremonii zaślubin Ravenswood powraca i wyzywa na pojedynek męża i brata oblubienicy. Bez wiedzy Ravenswooda Lucy zabija w nocy sztyletem jednego z jego przeciwników — swego męża. Ogarnia ją obłęd i wkrótce umiera. Ravenswood, jadąc na miejsce pojedynku, dostaje się na ruchome piaski, które go pochłaniają. Proroctwo Ailsie Courlay sprawdziło się.

Nastrój Scotta, który krzychał z bólu w czasie pisania, znajduje odzwierciedlenie w opisach przyrody — tak realistycznych i emocjonalnie przejmujących, że nabierają charakteru raczej żywych osób niż statycznego tła krajobrazowego. Rzecz rozgrywa się na wschodnich krańcach gór Lammermoor na południowy wschód od Edynburga — w krainie zielonej, otwartej, przyjaznej, o zboczach spływających łagodnie ku morzu i mieszających purpurowe wrzosi z zielenią wód Morza Północnego. Ale w opisach Scotta nie ma nic łagodnego ani wdzięcznego — panuje nastrój grozy, tajemniczych złych mocy. Nic dziwnego, że w rodzinie Brontë *Narieczona z Lammermooru* była ulubioną lekturą, stając się pośrednio natchnieniem do *Jane Eyre* i *Wichrowych wzgórz*.

Razem z *Narieczoną z Lammermooru* ukazała się *Legenda z Montrose*, również owoc godzin cierpienia, nie wywierająca jednakże tak silnego wrażenia, choćby z racji długich wstawek o historycznych szczegółach, które raczej nużą czytelnika. Na tle kampanii z roku 1644, w której klany szkockie, walcząc po stronie króla Karola I przeciw kowenantystom własnego kraju, odniosły szereg zwycięstw — odmalowano historię barbarzyńskiego morderstwa i jego rezultatów. Wątek miłosny, wpleciony w te zdarzenia, jest również tragiczny. Najważniejszą postacią jest kapitan Dugald Dalgetty, który ma zwyczaj z humorem wyklądać żołnierskie maksymy — ale ledwie unika tego, by nie być nudnym. Dalgetty służył jako żołnierz zaciężny pod komendą różnych sławnych wodzów, włącznie z Gustawem Szwedzkim i Wallensteinem, a wybierając między kowenantystami a Karolem I powiada: „W Niemczech połąkłem bez żucia bardzo niebezpieczną maksymę, której przestrzegają tamtejsi wojacy: trzeba służyć uczciwie, któremukolwiek panu przysięgło się służyć”.

W zdrowiu czy chorobie, w bólach i w spokoju, powieści nie przestawały płynąć spod pióra Scotta z taką łatwością, z jaką strumień spływa ze szkockich gór. Ledwie *Narieczona z Lammermooru* i *Legenda o Montrose* znalazły się w rękach zecerów, już powstał *Ivanhoe*. A jednak nawet wzbierający strumień dochodów nie mógł nadażyć rozrzutności Scotta. Rok po roku coraz więcej pieniędzy pochłaniał Abbotsford. Laird odgrywał rolę patriarchy, a hojność jego dobrodziejstw przewyższała płodność jego książek.

A teraz syn, Walter, miał wejść w świat — więc naturalnie należało mu stworzyć odpowiednie warunki, by mógł zabłysnąć w tym świecie. Dopóki czołgi i ciężarówki nie wyparły koni, kawaleria była na całym świecie jednym z najbardziej kosztownych zawodów, jakiemu młodzieniec mógł się poświęcić. Kapitał potrzebny na wyekwipowanie młodego człowieka wstępującego do regimentu kawalerii równał się nieomal sumie zakupu niedużego majątku ziemskiego. A gaża nigdy prawie nie wystarczała na to, aby mógł prowadzić tryb życia na równej stopie z ekstrawaganckimi kolegami, zaopatrzonymi w ogromne dziedziczne fortuny.

Tak wielka była radość Scotta, że syn jego wybrał zawód, któremu on sam pragnąłby się poświęcić, gdyby nie jego nieszczęsne kalectwo, że nawet przez chwilę nie pomyślał, czy jego stan majątkowy mu na to pozwala. Młody Walter chciał wstąpić do kawalerii, więc wstąpi. A jeśli przyszłe dochody muszą być zastawione, aby go umieścić i utrzymywać, gdzie sam utrzymać się nie mógł, no, to przyszłe dochody będą zastawione.

Tak więc w roku 1819 Scott sprzedał prawa wydawnicze na wszystkie swoje istniejące dzieła Archibaldowi Constable'owi za sumę 12 000 funtów. Wydawca nie był w stanie zapłacić całej tej sumy od razu, ale podjął się pozierać potrzebne fundusze między swymi przyjaciółmi i bankierami. Transakcja ta oznaczała, że wszystkie utwory literackie, które do tej pory Scott napisał i które zwykłym biegiem rzeczy powinny były przynosić jemu, żonie i dzieciom stały spory dochód od wznowień przez resztę życia, przestawały być jego własnością i nie miały odtąd dawać ani grosza. Na przyszłość autor musiał polegać na własnych twórczych siłach, by pokrywać bieżące, niemałe przecież wydatki.

Autor *Waverleya* był również lekkomyślnie hojny w sprawach przeróbek na scenę, które często robiono z jego powieści. Z odbitek szczotkowych jego przyjaciół, aktor Daniel Terry, stale wystawiał na deskach teatru tak zwane przez Scotta „Terroryfikacje” i miał z tego ładny dochód, z którego Scott nie chciał wziąć ani grosza. Kierownik teatru edynburskiego zarobił 3 000 funtów na przeróbce na scenę *Rob Roy* i znowu nic się nie dostało oryginalnemu twórcy.

Jedną z przyczyn, dla której Scott nie chciał ciągnąć zysków ze sceny, był fakt, że chociaż sam lubił dobrą komedię i dobrze się bawił na przedstawieniach paru przeróbek scenicznych swych własnych utworów i chociaż wydawało się, że szanował wielkich aktorów, jednakże odnosił się z wyraźną pogardą do teatru jako takiego. Gdy go poproszono, by napisał oryginalną sztukę pod własnym nazwiskiem, odpisał w kwietniu roku 1819 poecie Southeyowi: „Pisać dla nędznych, niewykształconych i zarozumiałych aktorów, którym trzeba się starać przypodobać, bo powodzenie sztuki jest na ich łasce, nie mogę. [...] Prócz tego nie sądzę, aby charakter publiczności londyńskiej pozwolił mi znajdować przyjemność w dostarczaniu jej rozrywki. Połowa z nich przychodzi do teatru chęć się swoimi bezceństwami i to tak otwarcie, że najgłębsze bagno czułoby się poniżone. Inna kompania odsypia w teatrze swoje obżarstwo, befszytk i portwejn; trzecia to krytycy z czwartej kolumny w gazecie: nie ma tam inteligencji, dowcipu, mody, literatury. [...] Jedyne, co by mogło mnie skusić, to pomoc przyjacielowi w tak poniżającym zajęciu, by mógł sobie zabrać cały zysk i cały wstyd tego”.

Jest to, oczywiście, nierozsądne stanowisko i prawdopodobnie Scott musiał wyżej cenić publiczność teatralną XVI wieku, skoro nikt mu nie ustępował w admiracji dla Szekspira. Ale zarazem jest to ciekawy przyczynek do studium charakteru Scotta, tym bardziej że te wielkopańskie fupy nie mało go kosztowały w dobie, kiedy pieniądź coraz bardziej stawał się jedynym miernikiem wartości.

Skala wartości w oczach Scotta inaczej się przedstawiała. Pieniądzy potrzebował, ale tylko dlatego, by zdobywać to, co bardziej od pieniędzy cenił. A to, co cenił bardziej, było może przestarzałe, może nigdy nie istniało w takiej formie, jaką sobie wyobrażał, a z pewnością nie było do przywrócenia. Irlandzka powieściopisarka Maria Edgeworth z wielką przenikliwością dotarła do sedna sprawy: „Dziekan Swift powiedział kiedyś, że pisał swe książki po to, by przyuczyć ludzkość do traktowania go jak wielkiego pana. Sir Walter Scott pisze swoje dlatego, aby on mógł traktować ludzi jak wielki pan”.

Abbotsford był realizacją marzeń Scotta. Ale nie tylko Abbotsford jako pseudogotyckie wieżyczki i setki okien, przede wszystkim Abbotsford jako mały skrawek Szkocji, gdzie swobodne i dobrotliwe obyczaje minionej epoki znowu się odradzają, gdzie klanowe powinowactwo znowu łączy właściciela, dzierżawcę i pracowników, a gości podejmuje się dawnym obyczajem, hojnie, acz bez ostentacji. W oczach Scotta twórczość literacka była tylko środkiem do realizowania tego marzenia. Marzenia konserwatysty zapewne — ale jednak ten konserwatysta był człowiekiem, który znajdował własne szczęście w tym, co zdawało mu się być szczęściem garstki otaczających go ludzi.

Typowe dla średniowiecznego klimatu domu Scotta było doroczne wielkie polowanie, zwane Abbotsford Hunt, które zwykle urządzano w dzień urodzin młodego Waltera, 28 października. Wszyscy wolni chłopci i szlachta z okolicy, zebrawszy się, rozpoczynali dzień od przejażdżek konnych po okolicznych wrzosowiskach i wzgórzach. Służyło to do dodania apetytu przed wielkim obiadem, przygotowanym przez Charlotte wraz z całą armią służby. John Gibson Lockhart, coraz częstszy gość w Abbotsfordzie, bo przyciągała go tu nie tylko przyjaźń z panem domu, ale i rodzące się uczucie dla Zofii, opisuje takie przyjęcie: „Pieczyste z podwójnej połędwicy u szczytu stołu, drugie pieczyste na niższym końcu stołu; podczas tego wnoszono wazy z zupą zajęczą, zupą baranią z jarzynami i kapustą i zupą z porów; do tego dodawano takie lżejsze potrawy, jak półmiski pieczonych gęsi, indyków, prosiąt, baranie głowy i obowiązkowo *haggis* (serce, płuca i wątroba owcy, ugotowane w żołądku z tłuszczem i owsianą mąką, ulubiona potrawa szkocka). Pieczone cietrzewie, pardwy i bekasy, czarny pudding, biały pudding i piramidy placków składały się na drugie danie. Ulubionym napojem było piwo, ale nie brakło porto i sherry dla tych, którym to więcej od-powiadało”.

Gdy odczytujemy menu tej biesiady, nasuwają się zarazem myśli o rozmiarach stołu i sali jadalnej, w której się to wszystko odbywało. Abbotsford nie był skromnym dworkiem.

Gdy już się solidnie najedzono, obowiązkiem Jamesa Hogga, poety-pasterza, było przyrządzenie ponczu, który pity przy wtórze chóralnych śpiewów, pomagał do „konkokcji żołądka”. Spokój ogarniał „Conundrum Castle” dopiero o późnym i bladym październikowym świcie. Wtedy to zdarzyła się przygoda Jamesa Hogga, mistrza od ponczu. Gdy mu przyprowadzono wierzchowca pod drzwi, Hogg założył się, że jest na tyle trzeźwy i zręczny, iż potrafi przeskoczyć konia. Zręczny był dostatecznie, ale jego trzeźwość pozostaje pod znakiem zapytania, gdyż dokonawszy skoku upadł i złamał sobie nos.

Nie było na całym Pograniczu uroczystości radośniej świętowanej od urodzin młodego Waltera. Wróciwszy do swej żony w odległym gospodarstwie, pewien gość miał powiedzieć: „Alie, moja droga, gotów jestem iść do łóżka — i och, kochana, chciałbym przespać całych dwanaście miesięcy, bo tylko dla jednej rzeczy warto żyć — dla polowania w Abbotsfordzie”.

Gościnność to była stylowa, średniowieczna, tak jak Abbotsford był średniowiecznym w swym stylu domostwem. Jeżeli powodzenie czyjegoś życia można mierzyć miarą spełniania marzeń — to Scott pod tym względem osiągnął pełne powodzenie.

Po ukończeniu *Ivanhoe* okazało się, że Scott wstąpił na tereny najzupełniej dla siebie nowe. Obawiając się może znużyć czytelników szkocką scenerią, wybrał tym razem na tło swej powieści Anglię XII wieku, wprowadzając nie tylko słynnego bohatera wypraw krzyżowych, Ryszarda Lwie Serce, ale na dokładkę i Robin Hooda, o którym legenda odnosi się do czasów o dwieście lat późniejszych. Scott chciał może dla krain środkowej Anglii uczynić to, co uczynił dla Pogranicza. Ale

nazbyt już dowolnie postępował sobie z faktami i postaciami historycznymi: nie czuł się pewnie na gruncie średniowiecznej Anglii, nie mógł ożywić swych bohaterów własnymi obserwacjami.

W powieści tej doliczono się stu pięćdziesięciu trzech postaci; nadzwyczajne wydarzenia tłoczą się jedno za drugim z nie mniejszą obfitością, ale akcja się gmatwa. Treść tej powieści jest chyba tak dobrze znana, że nie potrzeba jej tu powtarzać. *Ivanhoe* otworzył nowe źródła tematyczne, bogato tryskające, tylko że twórczość na nich oparta miała być pośledniejszego gatunku z punktu widzenia historycznego i dokumentarnego. Powieść okazała się nie tylko największym bestsellerem spośród wszystkich utworów Scotta; natchnęła ona bardzo wielu innych pisarzy, włącznie z Dumasem-ojcem, który pisał po przeczytaniu *Ivanhoe*: „Teraz stopniowo rozwiewają się chmury zaciemniające mój horyzont i zaczynam widzieć przed sobą dalsze perspektywy”.

Światową popularność, po dziś dzień trwającą, osiągnęła bynajmniej nie najlepsza z powieści Waltera Scotta. Nie powinno to nikogo dziwić. Czytelnicy zawsze kochają się w sensacyjnej, wartkiej akcji, w pełnym napięcia opowiadaniu. A tego w *Ivanhoe* nie brak. Ale wielka literatura wymaga czegoś więcej jeszcze; Scott dał to swoim szkockim powieściom, tworząc wielką sagę narodową. W *Ivanhoe* i innych powieściach, których akcja toczy się poza Szkocją, odwrócił się od najbogatszego źródła swego natchnienia. Zapewne w interesie coraz to większych nakładów i coraz większych sum pieniężnych, potrzebnych na utrzymywanie Abbotsfordu, zwrócił się do taniej niekiedy fikcji, przybranej tylko pozorami historii.

Pod koniec roku 1819 zdrowie Scotta zaczęło się wyraźnie poprawiać. Ataki bólów były rzadsze, wracały siły. Pacjent był zdania, że zwyciężył najgorsze zakusy doktorów, zażywając przez dłuższy czas drobne dozy kalomelu. Prawdopodobnie najlepszym lekarzem okazał się jego własny, niezwykle odporny organizm.

A potrzebował wszystkich swoich sił, aby znieść cios, który Spadł teraz na niego. Zmarła jego matka. Przed samym Bożym Narodzeniem miała atak paraliżu, a po dziesięciu dniach już nie żyła. Czy krytykowała lekkomyślną rozrzutność „swego jagniątko Wattie”, nie wiemy. Faktem natomiast pozostaje, że do końca odmawiała przyjęcia od niego jakiegokolwiek finansowej pomocy, chociaż pozostał zawsze i był jej faworytem, najulubieńszym spośród całej rodziny. Z rocznego dochodu w wysokości 300 funtów, odziedziczonego po mężu, oddawała jedną trzecią na cele dobroczynne, a z reszty przy rozsądnym gospodarowaniu mogła żyć wygodnie i podejmować gości serdecznie, choć skromnie.

Sir Walterowi przypadł melancholijny obowiązek likwidowania jej skromnego dobytku osobistego. Wspominał zapewne, że to matka pierwsza wszczepiła mu umiłowanie starych ballad i opowieści Pogranicza, umiłowanie, które stało się fundamentem jego powodzenia. Po dopełnieniu synowskich obowiązków pisał do przyjaciela: „Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak mnie wzruszyło oglądanie przygotowanych przez nią drobnych podarków na Nowy Rok — gdyż przestrzegała zawsze tego zwyczaju. I pomyśleć, że już nie bije serce, które tyle przyjemności znajdowało w tych skromnych upominkach dobroci i przywiązania”.

TWARZĄ W TWARZ Z RZECZYWISTOŚCIĄ

„Trudno sobie wyobrazić szlachetniejszy kontrast niż ten, który dzieli olbrzymie miasto, ciemne od dymu stuleci, jęczące odgłosami różnorodnej ciężkiej pracy lub próżniactwa, od wyniosłych, poszarpanych gór, milczących i samotnych jak grób; jedno jak ucieleśnienie pełnego, rwącego prądu życia, cisnącego się i pędzącego naprzód z siłą powodzi; drugie podobne do znużonego anachorety, którego życie mija tak cicho, bez niczyjej uwagi, jak nie zauważony przepływa maleńki strumyczek pod zaroślami... Miasto jest jak tłumna świątynia, gdzie czci się nowoczesne bóstwa, Comusa i Mammona, a tysiące ludzi poświęcają na ich ołtarzach własną swobodę, niezależności i nawet cnoty; ukryte wśród mgieł szczyty górskie wydają się tronem mistycznego, acz strasznego geniusza z feudalnych czasów, kiedy te same bóstwa nadawały ziemie i tytuły tym, którzy umieli przemyśleć i wykonywać śmiałe przedsięwzięcia.”

Tak we wstępie do jednej z późniejszych powieści Scott określał swoje poglądy — jako symbole wzięwszy Edynburg i górę zwaną Siedzibą Artura, dominującą nad tym miastem — na nowo powstający kapitalizm i wymarzony świat średniowiecznych romansów.

A jednak wiele nici wiązało go ze stolicą Szkocji i stale przyjeżdżał tu na sesje sądowe. Męczące obowiązki urzędnika sądowego wcale nie wpływały na zmniejszenie jego codziennej porcji pracy literackiej. Przed śniadaniem i wieczorami siadywał za wielkim stołem w swej bibliotece w domu przy ulicy Zamkowej. Okna pokoju wychodziły na północ: kiedy podnosił głowę, spoglądał poprzez srebrzystą smugę zatoki Firth of Forth na szczyty gór po jej drugiej stronie. Na biurku stał masywny kałamarz i leżały stosy kart papieru, równo poukładane i poznaczone, aby mógł łatwo odnaleźć to, czego potrzebował. Książki na półkach także ustawione były w idealnym porządku, a drewniane zakładki sterczały w miejscach, gdzie książka chwilowo była wyjęta. Nad szerokim kominkiem wisiał portret owego Claverhouse'a, którego Scott unieśmiertelnił w *Old Mortality*. Na najwyższym stopniu drewnianych schodków, z których można było sięgnąć do półki pod sufitem, siedział kot Hinse, czekając na chwilę, kiedy ulubienica pana, suka Maida, wyjdzie z pokoju; wówczas kot zeskakiwał ze swej wyniosłej pozycji strategicznej, by ulokować się na taborecie przy nogach pana.

W Edynburgu i w Abbotsfordzie Scott pracował jednakowo: nie należał do pisarzy, którzy czekają na natchnienie. Dzień po dniu zmuszał się do napisania wyznaczonej ilości stron. O chwilach, kiedy pomysły nie przychodziły łatwo, albo kiedy miał do napisania „kawał historii”, który chciał umieścić dla lepszego podmalowania tła, mówił: „Jedna tylko w takich wypadkach bywa zasada, a to, by nie pozwolić zaschnąć atramentowi na piórze, aż do chwili, kiedy zadanie jest skończone. Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo (kropla drąży skałę nie siłą, lecz ciągłym padaniem (Owidiusz); na tej zasadzie pisarz często z przyjemnym zdziwieniem konstatuje, jak dużo już przeżył trudnej i kłopotliwej drogi”.

O godzinie dziewiętej według obowiązującej w edynburskim domu rutyny siadano do śniadania. Potem na sesję sądową, a stamtąd na spacer, pieszy lub powozem. Scott rozkoszował się architekturą, klasycznymi kamienicami wokół placów, wąskimi uliczkami, ogrodami, nawet pastwiskami, które jeszcze urozmaicały w owych czasach dzielnicę „olbrzymiego miasta, ciemnego od dymu stuleci” wielkimi wiązami i graniem koników polnych gnieźdzących się w trawie. Jadąc z Charlottą lub którymś

z przyjaciół, Scott czasem wołał do Petera Mathiesona, stangreta, szwagra Toma Purdie, by zaciągał konie i wioził ich w stronę gór, które rysowały się na widnokręgu wokół Edynburga.

Przez osiem godzin od śniadania Scott nic nie jadł. O piątej siadał do obiadu i wówczas jadł obficie, a lubił potrawy proste, do których używano masła, sera, jaj, drobiu, warzyw, śmietany, dziczyzny i łososi przysyłanych stale z Abbotsfordu. Scott nie miał szczególnie wybrednego podniebienia: podobno nigdy nie robił kwestii, gdy dziczyzna zaczynała „załatywać” albo gdy wino czuć było korkiem. Ulubionym trunkiem jego był claret (ang. wino czerwone), ale miał też narodową szkocką predylekcję do whisky.

Jeśli praca pisarska mu na to pozwalała, siedł czasem z Charlottą — w białych jedwabnych pończochach i szkarłatnej kamizelce — wieczorem do teatru albo na proszone przyjęcie, gdzie jedzenie i picie odbywało się na wielką skalę. Niedzielne wieczory poświęcano zazwyczaj przyjęciom na Zamkowej: do częstych gości należeli Lockhart, James Skene oraz dwaj Williamowie: Erskine i Clerk. Kalwińskie obyczaje nie pozwalały na muzykowanie w niedzielę, ale gdy już jeden ze wspaniałych obiadów Charlotty został skonsumowany, gospodarz czytał całemu towarzystwu Szekspira i innych pisarzy elżbietańskich, Wordswortha, Burnsa, Southeya i Byrona. „Klasyczną poezję — pisał w wiele lat później Lockhart — Scott odczytywał z większą prostotą, uczuciem i głębią niż ktokolwiek, kogo słyszałem”. Nie na darmo tyle się za młodu nasłuchiwał starych bajarzy Pogranicza.

W Abbotsfordzie sir Walter był „lairdem”: pracownicy i pomniejsi ziemianie z sąsiedztwa składali mu prawie że feudalne hołdy. W Edynburgu musiał stawiać twarzą w twarz z rzeczywistością współczesnej sytuacji i decydować, jakie zająć stanowisko wobec różnych politycznych i społecznych problemów dnia. Niespokojne to były czasy w górach szkockich. Wypędzano chałupników z ich domów i ziemi, by rolę przekształcać w pastwiska albo wielkie parki dla ziemian — z których wielu przyjeżdżało tu tylko na parę tygodni w roku — gdzie urządzano polowania na jelenie i sarny. Górnicy i solarze ledwie wydobywali się z wiekowego niewolnictwa i przytaczali swoje głosy do głosów tkaczy z Glasgow i robotników z północy Anglii, żądając chleba i udziału w rządzeniu krajem. Instytucje szkockie na ogół przeżyły się i pilnie potrzebowały reformy.

Wszystko to sir Walter wiedział i widział. Ale zbyt głęboko czuł się związany z dawnym obyczajem. „Interesowała go przeszłość, nie przyszłość człowieka” — pisał współczesny mu wybitny eseista William Hazlitt. W jego oczach powstawanie kapitalizmu było tylko zagrożeniem stylu życia, który ukochał, zagrożeniem dobrotliwych stosunków między panem a poddanymi, które Rewolucja Przemysłowa zmiotła z powierzchni ziemi. Obawa przed skutkami rewolucji nie pozwoliła ludziom takim, jak pan na Abbotsfordzie, dostrzec — a może tylko przyznać przed samym sobą — że koła historii nie dadzą się zawrócić, że to, co było niegdyś, nie może powrócić. Większość ludzi wykształconych, włącznie ze Scottem, stanowiła zwartą falangę reakcji, której daremnie przeciwstawiała się garstka oświeconych liberałów, jak Francis Jeffrey i dwaj przyjaciele Scotta, George Craunston i Thomas Thomson. Wyrażanie liberalnych opinii wymagało odwagi, gdyż w środowisku, gdzie zdobywało się najlepsze posady i najlepiej zarabiano, można było za takie przekonania utracić wszelkie poparcie.

Taki jednak był osobisty urok autora *Waverleya*, że lubili go i szanowali nawet ci spośród przyjaciół, których politycznych przekonań nie podzielał. Być może, że jego oponenti nie brali na serio człowieka, który zdawał się traktować dawno minione epoki, opiewane w jego utworach, jako teraźniejszość. Tak czy inaczej, w każdym razie faktem jest, że różnice polityczne nie oddaliły od niego

nikogo z przyjaciół. „Nie wiem dlaczego tak jest — pisał — ale gdy spędzam dzień z moimi przyjaciółmi z opozycji, czas upływa mi weselej niż wtedy, gdy jestem w kompanii ludzi, których opinie podzielam. Czy dlatego, że tamci są mądrzejsi?”

W obawie, że tkacze z Glasgow we wzrastającym gniewie rewolucyjnym z powodu uporczywej nędzy i nieznośnych warunków mieszkaniowych złączą ręce z górnikami z Northumberland, Scott zabrał się do formowania Legionu Buccleuch i werbowania do tej organizacji młodych ludzi, którzy by podjęli się nie dopuścić do połączenia groźnych sił klasy robotniczej. Ani tkacze, ani górnicy nie zdecydowali się spełnić proroctw pana na Abbotsfordzie. Legion Buccleuch wędrował po kraju od Pogranicza do Glasgow, szukając zamieszek, które nigdzie nie wybuchały, sam tworząc jedyne zagrożenie, od którego ludności przydałaby się ochrona.

Nieuniknionym rezultatem traktowania współczesności w kategoriach wyidealizowanej według własnej koncepcji przeszłości stało się szukanie osobistej przystani w jednej z najpotężniejszych niegdyś sił średniowiecza — w kościele katolickim. Przed piętnastu prawie laty, w roku 1807, pisał do Roberta Southeya o emancypacji katolicyzmu: „Nie jestem bynajmniej — Bóg wie! — bigotem w sprawach religii, ani też zwolennikiem prześladowań; ale jeśli pewna określona grupa wyznaniowa jest *ipso facto* związana z polityką zagraniczną i umieszczona pod duchowym kierownictwem tego odłamu kleru, którego niezrównana zręczność i ruchliwość są jeszcze powiększone regułą, oddzielającą go od reszty świata — wówczas, moim skromnym zdaniem, można nam wybaczyć, że nie składamy w ręce tych ludzi takich stanowisk państwowych, gdzie ich wpływy mogłyby przynieść najfatalniejsze konsekwencje. Jeśli ktoś postanowił sobie, że będzie spacerował z paru funtami prochu strzelniczego w kieszeni, to gdy go zapraszam pod mój dach, mogę chyba mieć prawo nie sadzać go przy płonącym kominku”.

Takie były niegdyś poglądy Scotta na wpływy, czy też potencjalne wpływy katolicyzmu w jego własnych czasach. Ale na przeszłość patrzył zawsze przez różowe okulary. Gdy więc pisał o sprawach kościoła, wspaniałość ceremoniału wybijała się na pierwsze miejsce. Przedstawiany przez niego barwny ceremoniał, w połączeniu z brakiem pogłębienia, z nieodslanianiem istoty praktyk, przyczynił się w Anglii i do pewnego stopnia nawet w Szkocji — gdzie wszelkie ślady katolicyzmu znikły i gdzie stare budowle opactw, klasztorów uważano tylko za dekoracyjne resztki przeszłości — do wskrzeszenia zainteresowań wiarą i liturgią katolicką. W kilkanaście lat później kardynał Newman pisał z satysfakcją o tym dziwnym paradoksie: pisarz, który sam był lojalnym protestantem, mimo woli, uniesiony swym umiłowaniem wszystkiego, co jest przeszłością, stał się agitatorom na rzecz kościoła rzymskiego.

Żle się więc w tym względzie przysłużył postępowi, ale na drugą szalę należałoby położyć fakt, że malowniczy romantyzm Scotta skłonił poważnych myślicieli, jak John Ruskin i William Morris, do szukania w przeszłości klucza do życia piękniejszego niż to, które ofiarowywał przemysłowy kapitalizm XIX wieku, do życia, w którym duchowe potrzeby człowieka mogły łatwiej znaleźć swój wyraz. Gdyż tacy, jak Morris, umieli z uśmiechem pominąć romantyczne uniesienia, a zatrzymać się na realizmie Scotta.

W roku 1820 ukazała się nowa powieść Scotta, *The Monastery (Klasztor)*. Na tle słynnego Opactwa Melrose i krajobrazu, który autor mógł oglądać z okien Abbotsfordu, przedstawia Scott załamywanie się dawnego kościoła pod ciosami reformacji i upadek niegdyś potężnego klasztoru. Jest to jeden z najsłabszych utworów Scotta, zniżający się do poziomu melodramatu. Z punktu widzenia techniki

pisarskiej ma pewne wartości, ale jako dzieło sztuki nie może się liczyć — fabuła nudna, charaktery sztywne i mało oryginalne, zdarzenia mało prawdopodobne.

Powieść tę należy czytać i rozważać razem z jej drugą częścią, zatytułowaną *The Abbot (Opat)*. W obu akcja rozgrywa się za panowania Elżbiety angielskiej i Marii szkockiej. W Klasztorze opowiada autor o dziejach dwóch braci, ubiegających się o rękę tej samej młodej damy: jeden zdobywa ją chełpliwą galanterią i zawadiacką dzielnością — hołd Scotta złożony ludziom czynu — a drugi, poważniejszy, zostaje mnichem. W *Opacie* mamy ucieczkę Marii Stuart z zamku Lochleven, gdzie więził ją jej przyrodni brat, hrabia Morray, regent Szkocji, po jej przymusowej separacji z trzecim mężem, hrabią Bothwellem, i po abdykacji na rzecz jej nieletniego syna, Jakuba VI. Odtrącony wielbiciel z *Klasztoru* w drugiej powieści występuje jako opat Kennaquhair.

W pierwszej z dwóch książek Scott wprowadza nadprzyrodzoną postać ze świata duchów, Białą Damę, która dokonuje takich wyczynów, jak wskreszenie śmiertelnie ranionego na polu bitwy rycerza. Białą Damę można przyjąć w ludowej legendzie i baśni, ale w nowoczesnej powieści to tylko nierzetelny chwyt, ułatwiający autorowi wykręcenie się z niemożliwych sytuacji, w które go uwikłało nazbyt popędliwe pióro. W drugiej powieści postać Marii Stuart wypadła fatalnie. Scott żywił romantyczne przywiązanie do tej kobiety, która bez wątpienia była piękna i dowcipna, co pozwalało tylu Szkotom, wbrew ich humanizmowi i głębokiej osobistej moralności, zapominać o tym, że ta królowa była cudzołożnicą, morderczynią, niezmordowaną intrygantką i że chociaż umiała budzić żywe uczucie w mężczyznach, którzy pełnili służbę przy niej osobiście, to jednak nie potrafiła zdobyć przywiązania swojego ludu. Z pozornie dokładną bezstronnością, lecz powierzchownie, autor przedstawił argumenty za i przeciw w sporze kościoła i reformacji.

The Monastery rozczarował nawet najzagorzalszych wielbicieli talentu sir Waltera, a on sam pisał: „Zgadza się ze zdaniem publiczności, że książka ta nie jest bardzo ciekawa; ale pisałem ją z równym staraniem, jak inne: to znaczy, w ogóle bez starania”. IUwaga o braku staranności jest może rezultatem złego humoru, chociaż istotnie Scott rzadko kiedy odczytywał swoje rękopisy przed ich wydaniem, a poprawki pozostawiał Wiliamowi Laidlaw i Jamesowi Ballantyne.

Opat ma przynajmniej tę zaletę, że bohater i bohaterka — Roland Graeme i Catherine Seyton, jedna z dam dworu Marii Stuart — są świetnie zarysowanymi postaciami, a ta ostatnia jest ponoć portretem owej utraconej miłości Scotta — Wilhelminy Belsches: łączy w sobie figlarną wesołość, niepodległość charakteru, pokorę, poczucie obowiązku i kobiecą nielogiczność. Catherine Seyton jest istotą żywą, z krwi i ciała, czego nie można powiedzieć o wielu bohaterkach, które poczęły się w płodnym umyśle Wielkiego Anonima. Nasz autor odnosił się do swoich bohaterów z nazbyt wielkim szacunkiem, nazbyt wielką rycerskością, co może jest czarujące na balu, ale nie dawało dobrych rezultatów w powieści przedstawiającej obraz życia.

W tak olbrzymiej produkcji powieściowej musiały się zdarzać utwory lepsze i gorsze. Gdy ukazały się *Klasztor* i *Opat*, czytelnicy zaczęli się zastanawiać, czy naprawdę wszystko to było płodem twórczego umysłu jednego człowieka. Scott należał do tych, którzy tworzą w sposób swobodny, nieskrępowany, bez przymusu. Swoją pracę literacką traktował lekko, nawet lekceważąco, bez żadnego poczucia jej wartości. Ale uciec od niej — nie mógł. Czy siedział w sądzie edynburskim, czy zabawiał się z przyjaciółmi, czy planował zalesienie, czy jechał konno po wrzosowiskach Szkocji, jego wyobraźnia zawsze pracowała nad następną powieścią, chociażby nawet powieść ta miała być napisana za pięć lat. A kiedy zabrał się już do jej pisanja, przetwarzając ją w zupełnie nowy kształt. „Czasami mi się

wydaje, że moje palce działają niezależnie od umysłu, bo ze dwadzieścia razy zaczynałem pisać według określonego planu i nigdy w moim życiu nie trzymałem się tego planu [...] dłużej jak pół godziny.”

Pomimo rozmaitego poziomu utworów, pomimo niepowodzenia poszczególnych powieści, jego popularność stale wzrastała. A Scott celowo dążył do przypodobania się publiczności. O krytyków nie dbał: „Opinie recenzentów nazbyt są sprzeczne, aby można było na nich polegać, wszystko jedno, czy są pochlebne, czy nie — pisał — gdyż zazwyczaj ich głównym celem jest demonstrowanie umiejętności samych krytyków”.

Całe pokolenia wychowywały się na powieściach autora *Waverleya*. Ojcowie czytali je głośno wieczorami zachwyconym rodzinom. Chłopcy w szkole kładli *Ivanhoe* pod gramatykę łacińską i nie słyszeli głosu nauczyciela, walcząc o spojrzenie ciemnych oczu Rebeki. William Thackeray, który miał później zachwycać swoich rodaków powieściami innego rodzaju, zapisuje pewien incydent ze swego życia szkolnego, kiedy to cios w ucho słownikiem wyrwał go z romantycznych snów na jawie o bohaterach powieści Waltera Scotta. Takie świadectwa popularności cieszyły Scotta i wystarczały mu, nie myślał o pośmiertnej sławie. „Uznanie i zaszczyty, jakimi obdarzają mnie współcześni — mówił — to jakby biesiada, na którą autor jest zaproszony jako gość. Uznanie potomności podobne jest owym posiłkom, które starożytni rozkładali w grobowcach na pożywienie dla duchów.”

Choć zdobywał sławę i coraz wyższe stanowisko w świecie, sir Walter był zawsze jednakowo oddanym i czułym ojcem rodziny. Z początkiem roku 1820 młody Lockhart formalnie oświadczył się o rękę Zofii, która, wbrew modnym skłonnościom do mdlenia przy wzruszających okazjach, wyrosła na skromną, miłą dziewczynę, obdarzoną talentem do śpiewania ballad. Charlotta wołałaby małżeństwo z tytułem i majątkiem, ale Walter, lepiej pojmując źródła szczęścia, powiedział : „Zosia mogłaby znaleźć bogatszego konkurenta, ale nie wyobrażam sobie, by znalazła zaniejszego i rozumniejszego”. Młoda para osiedliła się w małym domku zwanym Chiefswood w obrębie posiadłość Abbotsford. W tym ustroniu często odwiedzał ich Laird, który znajdował wiele przyjemności w zakładaniu ogrodu wokół ich domu. Własną ręką sadił i hodował ozdobne pnącza na ścianach domku, wokół okien.

Na wesele przybył młody Walter w świetnym mundurze huzarskim, trochę jeszcze onieśmielony niezupełnie udaną próbą zapuszczania wąsów, co spowodowało złośliwą radę ojca, aby sobie uczernił górną wargę przypalonym korkiem. Przed wstąpieniem do wojska Walter stale towarzyszył ojcu w przejażdżkach i polowaniach. Był to młodzieniec wysoki, przystojny, atletycznie zbudowany, interesujący się bardziej matematyką i techniką aniżeli historią i poezją. Laird nie przejmował się wcale tym, że chłopiec nie wdał się w niego, przeciwnie, chwalił go za szczerość, iż nie udawał zainteresowań, których nie czuł. Wystarczało mu, gdy razem szli na polowanie lub na ryby. „Zapewniam was, że gdy Walter po raz pierwszy zabił głuszca, dumniejszy byłem z tego, niż z czegokolwiek innego od czasu, gdy sam zabiłem mego pierwszego głuszca, a było to dwadzieścia lat temu”.

Sir Walter posługiwał się bronią ironii zamiast używać bardziej konkretnych narzędzi wychowawczych, w jego epoce bardzo pospolitych. Gdy padł wierzchowiec chłopca, Scott powiedział do kamerdynera Dalgliesha: „To znaczy, że będę teraz musiał o godzinę wcześniej wstawać i o godzinę dłużej pracować, bo chłopak nie może być bez konia”. Ale syna ostrzegł, że jeśli więcej koni będzie mu padać, to niech wojuje pieszo.

W parę miesięcy później złożyło się tak, że ojciec uznał za potrzebne wyrazić naganę w znacznie ostrzejszej formie. Oficerowie z pułku Waltera skompromitowali się poważnie. Urządzili pijacką orgię, w czasie której zaprosili do kasyna panie o najstarszej na świecie profesji, a prócz tego z jaskrawym brakiem szacunku wyrażali się o królowej. Donosząc ojcu, że za karę pułk jego został wysłany do Indii, Walter usiłował przedstawić sprawę w możliwie najlepszym świetle i z irytacją pisał o władzach, które — jego zdaniem — okazały nadmierną surowość. Tego było nadto dla niedoszonego żołnierza, monarchisty, wielbiciela tradycyjnych instytucji, dla człowieka, który wierzył, że mężczyzna powinien przyznawać się do winy i przyjmować karę z wysoko podniesioną głową a sercem skruszonym. Zaaplikował młodemu huzarowi takie *pater noster*, że musiało mu chyba pozostać w pamięci na całe życie.

„Ludzie nie stają się łotrami w ciągu jednego wieczoru nadmiernego pijaństwa i ten młody człowiek, który wpadł na tak wulgarny pomysł, jak wprowadzenie ulicznej prostytutki do oficerskiego kasyna i zaproszenie jej do wspólnego stołu, chociażby nawet był wówczas pijany, nie mógł mieć, moim zdaniem, dżentelmeńskich instynktów, gdy był trzeźwy. Niewiele mogę znaleźć na obronę tych, którzy nie wyrzucili za drzwi jej i jego, jako jedynie odpowiednich dla siebie nawzajem kompanów.” Z kolei zgorszony ojciec zabrał się do omawiania sprawy braku respektu dla królowej: „Zdarza się, że pod wpływem trunków ktoś zachowuje się gwałtownie i obraźliwie, ale wino rzadko zmienia szlachcica w chama albo podnieca człowieka lojalnego do rewolty. Wino odślania namiętności, odrzuca zastrony i opanowanie, ale nie tworzy zwyczajów lub opinii, które poprzednio nie istniały w umyśle”. Następnie przeszedł do tego ustępu w liście syna, gdzie usprawiedliwiał on pijaństwo — przed ojcem, który sam nie stronił od biesiad i trunków — w sposób naruszający ojcowskie poczucie sprawiedliwości: „Przypuszczam, że jeśli szeregowiec będzie wszczynał zamieszki albo okaże nieposłuszeństwo, nie przyjmiesz jako usprawiedliwienie tego, że był pijany”. Wreszcie nagana bezpośrednio pod adresem młodego Waltera: „Muszę tu jeszcze nadmienić, że ton Twojego listu wydaje mi się zdradzać młodego zarozumialca o zupełnie błędnie pojętym «esprit de corps» (franc. poczucie sprawiedliwości), który się złości, ponieważ popełnił błąd. O wiele ważniejszą jest rzeczą, abyś się nauczył władać sobą, niż abyś osiągnął wyższą rangę we władaniu innymi. Boli mnie, gdy piszę do Ciebie w takich słowach, ale muszę wypełniać swój obowiązek, gdyż inaczej nie mógłbym oczekiwać od Ciebie, abyś wypełnił swój”.

Gdy ojciec wspominał o swoim obowiązku, miał zapewne na myśli raczej odpowiedzialność za wychowanie drugiego pana na Abbotsfordzie niż królewskiego oficera. Gdyż wykorzystał swe znajomości, by uzyskać przeniesienie młodego Waltera do innego regimentu, zanim jego własny odpłynął do Indii. Dowodził, że nie ma ochoty, by jego syn poniósł niesławną śmierć zdobywając górską fortecę jakiegoś radży, o niemożliwym do wymówienia nazwisku, albo żeby wrócił do Anglii po dwudziestu latach, bez pieniędzy, z chorą wątrobą i pożółtłą cerą — co bywało zwykle udziałem tych, którzy podejmowali się nieść tak zwany „ciężar białego człowieka”.

*Esprit de corps(franc.) -- tutaj:

MONARCHOWIE TRZECH DYNASTII

Zewnętrzne okoliczności przypominały sir Walterowi — jeśli chciał o tym zapomnieć — że nadchodzą lata starości. W roku 1821, kiedy miał lat pięćdziesiąt, urodził się jego pierwszy wnuk, syn Zofii, którego imiona, John Hugh, zostały później uwiecznione w Opowiadaniach dziadunia (bohater tej powieści nazywa się Hugh Littlejohn). Młoda kobieta natychmiast przekształciła się w najtroskliwszą, najczulszą matkę. Gdy malec zachorował, Scott, któremu nie brakowało własnych doświadczeń z lekarzami, zapewnił, że chłopiec z pewnością wyzdrowieje, choćby dlatego, że nie ma przy nim doktora. A w parę lat później pisał do Lockharta: „Uznałem za słuszne udzielić Zofii ojcowskiej rady, aby nie wciągała do domu swego ulubionego lekarza, bo to jest po ulubionym pastorze najgorszy gatunek człowieka pod słońcem. Ten każe ci wierzyć, że nie możesz być zdrowy, tamten, że bez jego pomocy nie zbawisz duszy; a przecież ludzie umierają i idą do piekła z ich pomocą czy też bez [...]”

Laird był w doskonałym nastroju, gdyż właśnie sprzedał za 4 000 funtów prawa wydawnicze na swoje cztery ostatnie powieści, napisane w ciągu roku zaledwie, które już mu przyniosły 15 000 dochodu. A teraz ukazała się jeszcze jedna powieść: *Kenilworth*. Pierwotny tytuł brzmiał *Cumnor Hall*, ale Archibald Constable zaproponował *Kenilworth*. Gdy ta propozycja została przyjęta, uszczęśliwiony Constable wykrzyknął: „Na Boga, toć ja już prawie jestem Autorem *Waverleya*”. Scott wcale nie przeczył, że Constable jest mu wielką pomocą, gdyż szukając materiałów źródłowych korzystał stale z jego głębokiej wiedzy bibliograficznej. Ale Constable, niepoprawny fanfaron, był zdania, że autor *Waverleya* nie może się obyć bez niego. Kiedy Benjamin Disraeli — powieściopisarz i przyszły premier rządu Anglii — odwiedził Abbotsford, wydawca powiedział mu, że on, Constable, wkrótce będzie dobudowywał nowe skrzydło. Prawdą jest, że finansowe zobowiązania Scotta wydawały go w ręce Constable'a w stopniu tak znacznym, iż miał tego niebawem żałować.

Na razie jednak wszystko układało się dobrze — i tylko cień padł z chwilą śmierci Johna Ballantyne'a. Pomimo wszelkich kłopotów, jakich był przyczyną, John Ballantyne cieszył się głębokim przywiązaniem Scotta. Ten niezbyt skrupulatny awanturnik zdobył sobie serce pisarza niewyczerpanym dobrym humorem, zdolnościami zabawiania całej kompanii i ciągłymi żartami. Ostatnim jego żartem było zapisanie Scottowi w testamencie sumy 2 000 funtów na wyposażenie nowej biblioteki w Abbotsfordzie. Nie tylko takiej sumy w ogóle nie było, ale jeszcze prócz tego Scott wypłacił wdowie znaczną zapomogę i później dawał jej — przez wszystkie lata swoich finansowych trudności — stałą miesięczną rentę.

Kenilworth obudził na nowo wrzawę wokół Wielkiego Anonima. Po mniej udanych powieściach *Klasztor i Opat*, ta nowa książka porwała całą Wielką Brytanię, budząc wszędzie niebywały entuzjazm. Autor mówił z wdzięcznym sercem: „Nikom do tej pory literatura nie dała tyle, co mnie, sławy i fortuny”.

Ta barwna, dobrze napisana opowieść nie powinna być jednak czytana jako rzecz historyczna, gdyż z pewnością autor obszedł się tutaj dość bezceremonialnie z historią. Tematem jest tajemnicza śmierć Amy Robsart, żony Roberta Dudleya, hrabiego Leicester, królewskiego faworyta, a może i kochanka Elżbiety I. Scott przekształca nawet znane fakty historyczne, na przykład pisze, że małżeństwo Dudleya z biedną Amy zawarte było w sekrecie, aby nie obrazić Elżbiety, która kochała Leicestera i bez wątpienia tylko ze względu na rację stanu nie poślubiła go; otóż naprawdę wesele tej pary odbyło się

bardzo hucznie i bynajmniej nie w tajemnicy przed królową: Elżbieta, zresztą wówczas jeszcze młoda księżniczka, przybyła nawet na nie osobiście. Co do samej śmierci Amy, za którą Scott wini najmitów Leicestera, pisarz był zapewne bliższy prawdy; jak było istotnie, nie dowiemy się chyba nigdy. Główną zaletą tej powieści jest wspaniały obraz barwnej i bujnej epoki oraz postać królowej Elżbiety, ostatniej z dynastii Tudorów. Thomas Hardy, angielski powieściopisarz przełomu XIX i XX wieku, pisał, iż „nigdy w żadnym dziele historycznym królowa nie była tak w pełni kobietą, jak fikcyjna Elżbieta w powieści *Kenilworth*. Sceny, w których Elżbieta bierze udział, są najbardziej dramatyczne i z pewnością jej postać, pełna życia, jest dokładniejsza i prawdziwsza niż nakreślony przez Scotta portret Marii Stuart. Na królową Anglii Scott mógł patrzeć bystrym, trzeźwym wzrokiem, którego nie przyćmiewała aureola romantyczności”.

Kenilworth jest barwną kompilacją z bogatego skarbcza legend, folkloru, ballad, kroniki i elżbietańskiego teatru — książek zgromadzonych na półkach biblioteki Abbotsfordu i w bibliograficznym umyśle Archibalda Constable’a. Ale ani fabuła, ani charakterzy nie wzbudzają emocji, chociaż talent narracyjny autora nie podlega kwestii. Tylko raz, może w obliczu mijających lat, Scott obnaża ukryty kącik własnego serca — ten kącik, w którym stale i uparcie żyje pamięć o Wilhelminie Belsches:

„Nic może nie grozi większym niebezpieczeństwem przyszłemu szczęściu ludzi poważnej myśli i samotniczego usposobienia, niż żywienie w sercu wczesnego i nie odwzajemnionego uczucia. Często zapada ono tak głęboko w umysł, że staje się marzeniem w nocy, a wizją we dnie — wsuwa się do każdego źródła zainteresowania i radości, a gdy więdną i ginie, wydaje się, jak by wszystkie arterie serca razem z nim zamierały. Cierpienie serdeczne, żal za cieniem, który utracił swe barwy, uparte trzymanie się wspomnienia o śnie, z którego nas gwałtownie obudzono — to wszystko jest słabością wspaniałomyślnego serca.”

Scott nie był może „poważnej myśli”, a z pewnością nie miał „samotniczego usposobienia”, ale serce jego istotnie było aż nazbyt wspaniałomyślne. Dziwne się tylko wydaje, że człowiek tak zawsze pełen względów dla drugich — „w życiu więcej zależy od drobnych uprzejmości i codziennej dobroci, niż wydaje się filozofom” — mógł tak nieustannie ryzykować bolesne zranienie Charlotty tym ostentacyjnym ujawnianiem faktu, że wielka a nie odwzajemniona miłość jego życia nadal trwa w jego sercu.

Za dwanaście tysięcy egzemplarzy, wydrukowanych jako pierwsze wydanie *Kenilworth*, autor otrzymał 4 500 funtów, zatrzymując dla siebie prawa wydawnicze. Scott był teraz w takim położeniu, iż mógł wywierać nacisk na Constable’a, który bał się tych dwóch ewentualności — że londyński wydawca Murray albo śmierć zabierze mu Wielkiego Anonima. Od pierwszej ewentualności zabezpieczał się, przepłacając sir Waltera, a od drugiej — opłaciwszy polisę ubezpieczeniową na życie pisarza.

I znowu książka Waltera Scotta przyniosła popularność okolicom, które opisywał — tym razem krainie angielskiej. Miejsca, gdzie się rozgrywała akcja, gdzie odbywał się każdy dialog — a wiele z tych miejscowości było wytworem czystej fantazji autora — odszukiwano, rozpoznawano, przekształcano w świątynie, jak gdyby pisarz z miarą w ręku chodził wszędzie, zanim przelał na papier płody swej imaginacji.

Zdarzyła się też historia innego, nieco farsowego rodzaju. Dość odległy, lecz dumny potomek hrabiego Leicestera napisał do chromego pisarza list z wyzwaniem na pojedynek, gdyż poczuł się obrażony

oskarżeniem jego przodka o zabójstwo Amy Robsart. Na łście tym Scott dopisał własnoręcznie dwa słowa komentarza: „Kompletnie zwariowany”.

Zakres różnorodnych, a bardzo pochłaniających czas czynności, którymi Scott był zaabsorbowany, musi budzić podziw. To prawda, że nie rozpraszał się na te pożerające czas współczesne rozrywki, jak kawiarnia i kino, ale i tak prace, które podejmował dodatkowo przy herkulesowym wysiłku pisarza i ziemianina, szeryfa i urzędnika sądowego, sprawiają, że najbardziej czynni ludzie XX wieku wydają się przy nim próżniakami.

W Edynburgu został prezesem nowej spółki akcyjnej Oil-Gas Company — i nie traktował tego stanowiska jako synekury. Założył i został przewodniczącym Klubu Bannatyne, który zajmował się wydawaniem rzadkich druków i dokumentów. Był prezesem Towarzystwa Królewskiego w Edynburgu — instytucji literackiej i naukowej. Często zapraszano go na przewodniczącego różnych publicznych mityngów, gdyż jego spokój i dobry humor pozwalały mu na prowadzenie z równowagą ducha trzygodzinnych na przykład zebrań, na które przybyły tłumy gotowe do dyskusji, a nawet do bitki. Kilka klubów londyńskich wybrało go na członka i często podróżował na południe — w czasach, kiedy nie znano wygod wagonu sypialnego albo samolotu — by uczestniczyć przynajmniej w najważniejszych zebraniach tych klubów. Mianowano go profesorem historii starożytnej Akademii Królewskiej, a uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge obdarzyły go tytułami honorowymi.

W Abbotsfordzie znajdował czas na polowania, przejażdżki konne i uganianie za zającami, kiedy to zmuszał swego wierzchowca do wspinania się na strome skarpy i przeskakiwania rowów. Kiedyś koń pośliznął się i razem z jeźdźcem stoczył się do głębokiej fosy, o której Scott pisał: „Fosa ta była wielce starożytna, byłaby więc zapewne odpowiednim miejscem wiecznego spoczynku dla starego antykwariusza”.

Należało też pozować liczny portrecistom. Wielu artystów o wybitnych nawet nazwiskach pragnęło posłużyć się sławnym pisarzem, by wystawić jeszcze jeden obraz na dorocznej wystawie w Akademii. Chodziło im nie tylko o portret samego Lairda: „W tej właśnie chwili, gdy piszę do Ciebie, pan Landseer, sportretowawszy każdego psa w domu, zabrał się tytułem eksperymentu do roboty nade mną”. Edward Landseer był wybitnym malarzem zwierząt.

Z triumfalnych szczytów *Kenilworth* następna powieść, *Pirat (The Pirate)*, wydana w roku 1821, ześliznęła się do nizin banału. Tym razem opisy krajobrazów tak są dokładne i tak przypominają przewodnik, iż jest się skłonny przypuszczać, że książka została napisana dla turystów. Pomysł tej powieści powstał jeszcze w roku 1814, kiedy w towarzystwie człowieka, który miał być dziadkiem Roberta Louisa Stevensona, Scott zwiedzał Wyspy Szetlandzkie i Orkney, na północno--zachodnich krańcach Szkocji. Usłyszał w tych stronach, gdzie folklor nasycony był heroicznymi sagami, a obyczaje cechowała prymitywna prostota, opowieść o piracie, który w początkach XVIII wieku zagrażał wyspom.

Temat ten opracował w powieści. Ale w opisach ludzi morza talent jego zawodził. Bohater tytułowy, Clement Cleveland, jest piratem dziwnie papierowym, brak ożywczej siły przekonywania w rysunku postaci Nomy, kobiety obdarzonej nadprzyrodzoną mocą, Włącznie z panowaniem nad wiatrami i losami bohaterów.

Ale nie ma potrzeby rozwodzić się dłużej nad nieudanymi pozycjami literackimi autora, który tyle ma na swoim koncie wspaniałych powieści, cieszących czytelnika po dzień dzisiejszy. W maju 1822 r. ukazała się powieść *The Fortunes of Nigel* (*Przygody Nigela*), której siedem tysięcy egzemplarzy rozprzedano do godziny wpół do jedenastej rano w dzień publikacji. O książce tej Archibald Constable — trzeba wyznać, zawsze przesadny w swoich zachwytach — napisał do Scotta, że widział ludzi czytających ją na ulicy. „Nowa powieść autora *Waverleya* przewyższa wszelkie osiągnięcia literackie”.

Scott osobiście rad był ze swojej popularności, o której pisał we wstępie do *Przygód Nigela*: „Nikt nie spotka mnie płynącego pod prąd. [...] ja piszę dla rozrywki najpowszechniejszej”. A wspólnik i kierownik biura Constable'a, Robert Cadell, nalegał: „Naszą najbardziej produktywną hodowlą jest autor *Waverleya* — przyciskajmy i naciskajmy i kopmy w tym nadzwyczajnym kamieniołomie, eksploatujmy tę nadzwyczajną zdobycz”. Jednocześnie pisarz tłumaczył się w następujący sposób z tej zdumiewającej płodności: „Trzeba kuć żelazo, póki gorące, i stawiać żagle, póki wiatr sprzyja. Jeśli pisarz, który ma powodzenie, nie pozostaje stale na widoku, inny prędko zajmie jego miejsce”.

Wśród całej galerii bohaterów i zbrodniarzy, bohaterów i zbrodniarek, odmalowanych w *Przygodach Nigela*, głównym triumfem twórcy charakterów — triumfem komicznego odtworzenia postaci historycznej — jest król Jakub I angielski, który był jednocześnie Jakubem VI szkockim, syn Marii Stuart i pierwszy Stuart ukoronowany w Westminsterze. Król, jego liczni dworzanie i zausznicy roztaczają przed oczyma czytelnika całą tę paradoksalną kombinację bezmyślności i imponującej powagi, tępej szorstkości i delikatnej subtelności. Na dwór króla Jakuba przybywa młody Nigel Oliphant, lord Clenvarloeh, któremu grozi utrata majątku przodków, jeśli nie spłaci obciążającego go długu. Prosi o zwrot sumy 40 000 marek, którą niegdyś jego ojciec pożyczył królowi. Monarcha kieruje do skarbnika królestwa Szkocji rozkaz wypłacenia tej sumy — ale podpisany rozkaz to jedna rzecz, a otrzymanie pieniędzy — druga. Są wśród wysoko postawionych osobistości ludzie, którzy dążą do zagarnięcia fortuny Nigela, i aby zapobiec podjęciu należnej sumy i uratowaniu majątku, nie zawahają się przed użyciem takich środków, jak zdrada, kłamstwo, podstępne uwięzienie Nigela w londyńskiej twierdzy Tower. Ratuje bohatera z więzienia spryt i uroda Małgorzaty Ramsay, niespokojnej córki starego zegarmistrza, którą po odzyskaniu wolności i majątku Nigel poślubia. Postać Małgorzaty Ramsay musiała być rysowana według owej najpierwszej sympatii Scotta — Jessie, córki kupca z Kelso, u której tyle razy chował się w szafie.

Jak zwykle u Scotta, treść jest najmniej ważna. Sceny z życia dworu, opisy Londynu i różne zdarzenia o zacięciu komediowym, w których bierze udział szereg różnorodnych charakterów, stanowią o wartości tej książki. Wyborną postacią komediową — odpowiednikiem jak gdyby króla Jakuba — jest famulus i sługa Nigela Oliphanta, nazwiskiem Moniplies, który lojalnie spiskuje na rzecz swego pokrzywdzonego pana i jego rehabilitacji. W wielkim finale powieści Scott umieszcza na scenie w nieoficjalnych okolicznościach jednocześnie: króla Jakuba, dworzanina Malagrowthera, Nigela, jego narzeczoną Małgorzatę, Richarda Moniplies, wspaniale przybranego i już nie w charakterze służącego, oraz chudą i sztywną Martę Trapbois.

Ryszard i Marta przedstawiają dokumenty, które umożliwiają lordowi Clenvarloch odzyskanie wszystkich należnych mu majątkości i opowiadają, jak ojciec Marty, zamieszany w spisek przeciw pracodawcy Ryszarda, przyplącił życiem własną głupotę.

„— Ja wyznaję taką maksymę — odparł Richie — że należy zawsze mówić złe rzeczy, które wiem, o mojej rodzinie, bom się już przekonał, że jeżeli ja nie powiem, to na pewno powiedzą inni.

Richie i Marta, niezbyt dobrana para, oznajmiają, że wzięli ślub tego ranka, a sir Mungo powiada:

— Ale wiesz, Richie, coś mnie się wydaje, że twoja panna młoda będzie rządziła w waszym stadle.

— Jeśli lubi gadać, sir Mungo — odparł Richie — to ja, dziękować Bogu, potrafię ogłuchnąć, a jeśli zabierze się do rękoczynów, to ja mam też dwoje rąk, i to nie najgorszych.

— Dobrze powiedziane, mój Richie — rzekł król. — Odparował po dwakroć twoje pchnięcia, sir Mungo. Zaiste, panno młoda, twój zacny małżonek ma, jak na głupca, sporo oleju w głowie.

— Bo są głupcy, najjaśniejszy panie — odrzekła Marta — którzy mają olej w głowie, i tacy głupcy, którym nie brak odwagi, i nawet bywają tacy, którzy mają wykształcenie, a i tak są głupcami. A tego człowieka sobie wybrałam, bo się mną zaopiekował, kiedy byłam opuszczona i w rozpacz, a nie dla jego rozumu czy mądrości. On jest naprawdę uczciwy i serce ma i ramię niezgorsze, a to może częściowo wynagrodzić głupotę. Jeśli już skazana jestem na to, by szukać opiekuna w tym świecie, który jest dla mnie groźną puszcza, mogę podziękować Bogu, że nie trafiła na gorszego.

— I to z sensem powiedziane — rzekł król. — Doprawdy, mam ochotę i ja tu coś uczynić. Uklękni, Richie. Wy tam, dajcie mi szpadę — twoją, panie Langstaff. A nie wymachuj nią tak, obyczajem rycerzy krzyżowych, jakbyś tu chciał kogoś przebić.

Wziął obnażoną szpadę i odwróciwszy wzrok — bo nie kochał tego widoku — chciał dotknąć nią ramienia Richiego, lecz omal mu oka nie wyklął. Przestraszony Richie cofnął się i chciał wstać: Lowestoffc go przytrzymał, a sir Mungo pokierował królewską szpadą i tak zaszczytne uderzenie zostało zadane i przyjęte.

— *Surge, carnifex*. Powstań, sir Ryszardzie Moniplies, panie na zamku Pikutków. A my, moi panowie wasale moi i lordowie, udamy się na obiad, bo już tam zupa z porów stygnie”.

Tego rodzaju zestawienie dwóch głównych postaci komediowych — króla Jakuba i Ryszarda Moniplies — w scenie komicznej, złośliwie satyrycznej, było odpowiednim zakończeniem powieści, w której dramatyczność była tak świetnie zrównoważona komizmem, że wszyscy krzykacze oznajmiający, że Wielki Anonim już się „wypisał”, zamilkli, oszołomieni wspaniałością tej powieści.

Nie tylko monarchowie przeszłości absorbowali lairda Abbotsfordu. W roku 1822 dnia 14 sierpnia Jerzy IV z dynastii hanowerskiej, ten sam, którego Scott nazywał „naszym grubaskiem”, przyłynął na pokładzie swojego jachtu w pobliżu Leith — i tu także miały się rozegrać sceny zaiste komediowe. Organizowanie ceremonii związanych z królewską wizytą przypadło w udziale Scottowi. Na przeciąg wielu dni dom przy ulicy Zamkowej zamienił się, praktycznie biorąc, w lokal konferencyjny. Sześćdziesiąt osób dziennie przychodziło, by pytać Scotta o rady i wskazówki na temat takiego czy innego szczegółu królewskiego ceremoniału albo prosić o arbitraż w jakiejś wysoce drażliwej kwestii.

Z Anglii przysłano setki porad, jak powinno się te ceremonie uświetniać na angielską modłę. Ale człowiek, który na miejscu decydował o tych sprawach, nabył dzięki swej twórczości literackiej umiejętności wytwarzania lokalnej atmosfery bez zbyt radykalnego wykluczania atmosfery obcej. Jak mógł byle lord angielski doradzać Bardowi Pogranicza, aby trzymał z dala szkockich wodzów klanowych? Przecież oni właśnie tworzyli tę wspaniałą atmosferę: barwni, malowniczy, romantyczni, wyrażali dawność, chociażby ta dawność w życiu ustępowała już pod naporem nowego obyczaju.

Powinni być obecni — i byli. Zjawili się, by brać udział w podejmowaniu króla, w całej chwale klanowych tartanów, spódniczek w kratę o deseniu odmiennym dla każdego klanu, nakryć głowy zwanych glengarrrie, sporranów czyli sakiewek obszywanych futrem i noszonych z przodu, sztyletów „dirk” i nagich kolan jak sękaty konary dębu.

Edynburskiemu pisarzowi sądowemu dwa czynniki utrudniały organizowanie królewskiej recepcji, chociaż z pewnością oddał się tej pracy z całym zapałem: po pierwsze ludność nie żywiła sentymentu do dynastii hanowerskiej, a po drugie William Erskine, zaledwie przed paru miesiącami mianowany sędzią i obdarzony tytułem lorda Kinneder, leżał w śmiertelnej agonii. Był już od dawna słabego zdrowia, a ostatnio oskarżono go o romans z mężatką. Jego wrażliwa natura zareagowała na oszczerstwo wysoką gorączką, a doktorzy — zdaniem Scotta — na śmierć go wycieńczyli puszczaniem krwi. Każdą chwilę, którą mógł wyrwać swym gorączkowym zajęciom, organizowaniu, urządzaniu, doradzaniu, rozsądzaniu — Scott spędzał przy łożu przyjaciela. W sam dzień przybycia króla Erskine zmarł. „Jeśli kiedy prawdziwie czysty duch opuścił tę dolinę łez — pisał Scott — był nim William Erskine.” I zaraz słowa, zdradzające tę praktyczną stronę jego natury, za którą błogosławiło go tylu ludzi: „Będę się starał o uzyskanie jakiejś pensji dla jego córek”.

Sir Walter znał dobrze słabość charakteru i dziwny brak rozsądku Jerzego IV, ale jednocześnie wiedział, że monarcha ten potrafi grać rolę zacnego człowieka i kompana przyjemnego w towarzystwie. Postanowił więc, wykorzystując te cechy królewskiego usposobienia, uczynić wszystko, by wizyta w Edynburgu umocniła sprawę monarchii, w którą wierzył osobiście. Król stanął na wysokości zadania, grając z powodzeniem — mimo swej tuszy — rolę królewicza z bajki. Miał też na tyle rozsądku, że stosował się do rad swego literackiego protegowanego, który decydował, co będzie się podobało, a co nie, jego szkockim poddanym.

Na pokładzie królewskiego jachtu, w czasie ulewnego deszczu, monarcha przyjął mistrza ceremonii słowami: „Sir Walter Scott! Ten, którego ze wszystkich w Szkocji najbardziej pragnęłam zobaczyć.” W kabinie recepcyjnej podano whisky i król wzniosł kryształowym kielichem zdrowie Wielkiego Anonima, nawzajem baronet wzniosł zdrowie królewskie, a później poprosił o ofiarowanie mu na pamiątkę owego kielicha, z którego król pił zdrowie Scotta. Starannie schował swój skarb w jednej z licznych kieszeni obszernego płaszcza podróżnego.

Ale ta pamiątka monarchicznych ciągot Scotta nie miała zaszczycić Abbotsfordu. Powróciwszy na ulicę Zamkową Scott zastał tam niespodziewanie przyjaciela, który czekał na niego. Uścisnęli się serdecznie i pisarz, szczerze rad gościowi, zatańczył wokół niego szkockiego dżiga, po czym rzucił się na krzesło... W minutę później Charlotta zbierała z podłogi fragmenty cennej pamiątki, potłuczonej na miazgę w kieszeni jej męża.

Ten zabawny przypadek nie okazał się jednakże żadnym złowróżbnym znakiem. Król przejechał ceremonialnie przez miasto wraz ze Scottem, ubranym w strój klanu Campbellów, w wielkiej karocy zaprzężonej w cztery konie, a powożonej przez Petera Mathiesona w wysokim kapeluszu i płowej peruce. Przejazd uświetniało trzystu górali szkockich, sprowadzonych do Edynburga przez naczelników ich klanów. Górale nieśli chorągwie i grali na kobzach.

Na późniejszych przyjęciach, ucztach, galowym przedstawieniu w teatrze, na uroczystej mszy w kościele St. Giles i licznych innych ceremoniach w ciągu dwutygodniowego pobytu, Jerzy IV

występował — jakim prawem, to może tylko prawnik z wykształcenia jak Scott, uzasadnić — przybrany w spódniczkę z tartanu królewskiego klanu Stuartów.

Kiedy jacht królewski odpływał, ludność Edynburga wraz z tymi tysiącami, które przywędrowały wiedzione ciekawością, ze wszystkich zakątków Szkocji, oszołomiona bogactwem ceremoniału, wiwatowała na cześć Hanowerczyka, chociaż z pewnością w sercach żywiła jeszcze przywiązanie do swoich niezapomnianych Stuartów. Sztuki piękne uhonorowano po raz drugi nadaniem szlachectwa Henrykowi Raeburnowi, wybitnemu malarzowi-portreciście. Zadośćuczyniono prośbie Scotta i taki sam tytuł nadano Jego przyjacielowi, Adamowi Fergusonowi, którego mianowano kustoszem szkockich regaliów. Z tego ostatniego aktu królewskiego wszyscy byli zadowoleni, prócz Toma Purdie, który oznajmił, że świeże szlachectwo Fergusona „odbierze nam nieco blasku” (tj. Scottowi i jemu, a może jemu i Scottowi).

Jerzy IV tak był zachwycony wizytą w Szkocji, aranżowaną przez Scotta, że za jego pośrednictwem przekazał oficjalne podziękowanie miastu Edynburg i krajowi za przyjęcie, jakie mu zgotowano. Dobrze się złożyło, że król wtedy jeszcze nie wiedział, iż sir Walter Scott właśnie odrzucił prośbę, z którą się do niego zwrócono, by napisał nowy hymn państwowy.

„CONUNDRUM CASTLE”

Dobre powieści następowały kolejno po gorszych. Określenie „gorsze” jest oczywiście relatywne. Gorsze powieści Scotta nie były może — jak utrzymywał Sydney Smith, znany krytyk tej epoki — lepsze od najlepszych utworów współczesnych mu pisarzy, ale z pewnością były lepsze od najlepszych płodów przeciętności.

Powieść *Peperil of the Peak* (*Pielgrzym Peak*) ukazała się w styczniu 1823 r. Autor oświadczył, że pisanie jej „zmęczyło go paskudnie” — być może wskazywało to już na przepracowanie. Scott zmuszał się do pisania, do opracowywania tematów i spraw, które go nie interesowały i do których zabierał się bez zapału.

W umyśle pisarza fermentowała już rzecz następna, która miała osiągnąć niebywały sukces. Scott zagłębiał się w studiowaniu dokumentów z historii Francji, zaglądał do starych map i gazet — przygotowywał się do swojej pierwszej powieści, której akcja miała się rozgrywać poza Wyspami Brytyjskimi. *Quentin Durward* wydany został latem roku 1823. Na kartach tej książki mamy wspaniały portret historycznego władcy, Ludwika XI francuskiego, którego postać dominuje w powieści tak, jak w rzeczywistości jego chytrze knowane intrygi opanowały połowę europejskiego kontynentu. Jest to jeden z najsztudniej odmalowanych „czarnych charakterów” w literaturze. Portret ten godzien jest stanąć obok świetnego portretu literackiego króla Jakuba I angielskiego.

Quentin jest młodym Szkotem z dobrej choć zubożałej rodziny, który wstępuje do zaciężnej gwardii króla Ludwika. Jako typowy bohater młodych czytelników, ratuje z opresji piękną hrabiankę Izabele de Croye i po wielu przygodach zdobywa jej miłość i rękę. Tłem tego romansu jest próba rebelii miasta Liège przeciw Karolowi Burgundzkiemu, w której zabito biskupa Liège. Doskonale naszkicowany jest również charakter Karola Śmiałego burgundzkiego, później kardynała La Balue, przez wiele lat więzionego w żelaznej klatce za zdradę stanu, i Filipa de Commines, który najpierw służył Karolowi Śmiałemu, a następnie przeszedł na dwór Ludwika XI jako jego osobisty doradca.

We Francji przyjęto *Quentina Durwarda* jako wiernego duchowi historii, wbrew takim anachronizmom, jak na przykład wymienienie przez Ludwika osób, które w rzeczywistości urodziły się dopiero po jego śmierci. Przyjęcie tej powieści w Paryżu przeszło wszelkie oczekiwania. W Niemczech autor *Waverleya* miał już poprzednio ustaloną reputację głównie dzięki entuzjazmowi, z jakim odnosił się do niego Goethe, a teraz, po ukazaniu się *Quentina Durwarda*, sława jego rozeszła się po całym kontynencie. We Francji karoce modnych dam ustawiały się w kolejkach przed sklepami, gdzie sprzedawano materiał w szkocką kratę.

W Anglii powieść przyjęto początkowo nieco chłodno, ale furora, jaką zrobiła w Niemczech, we Francji, we Włoszech okazała się zaraźliwa. Archibald Constable, który tak się wystraszył owego początkowego chłodu w Anglii, że doradził swemu najpopularniejszemu autorowi, aby dla różnorodności napisał książkę o ludowych zabobonach, teraz błagał go, by jednak nie zarzucał rzemiosła powieściopisarza. Wielki Anonim popełnił w owym czasie kapitalne głupstwo, kiedy bowiem pewien francuski wydawca zaproponował mu połowę udziału w zyskach z francuskiego przekładu, on ukrył się kokieterijnie za swą rzekomą i nikogo już nie zwodzącą anonimowością i odparł, że ponieważ nie jest autorem, nie może wchodzić w układy dotyczące autora. John Ballantyne musiał się przewrócić w grobie na tę pogardliwą odmowę przyjęcia pieniędzy, których laird Abbotsfordu tak bardzo

potrzebował. Scott był już chyba świadom poważnej sytuacji finansowej, nie może być wątpliwości, ponieważ zapożyczył się na sumę 10 000 funtów szterlingów u Constable'a — który nie bardzo mógł być sobie na tę pożyczkę pozwolić — na rachunek przyszłych, jeszcze nie napisanych ani nawet nie zaprojektowanych książek.

Jadąc pewnego ranka konno razem z Williamem Laidlaw, powiedział, że po Francji nastąpią Niemcy: tam chciałby umieścić akcję następnej książki. „Nie, nie, szanowny panie — zaprotestował rządca Abbotsfordu. — Proszę mi uwierzyć na słowo: pan najlepiej się czuje na gruncie ojczystych wrzosowisk; i często sobie myślałem, że gdybyś napisał powieść o dzisiejszych czasach i o tych naszych stronach, przewyższyłbyś pan sam siebie.”

Scottowi podobał się ten pomysł. Od czasów Antykwariusza nie pisał o współczesnej Szkocji. Przypomniat sobie posępną historię, z którą zetknął się w czasie pełnienia swoich obowiązków szeryfa. Następnego ranka zasiadł do pisania powieści, zatytułowanej *St. Ronan's Weil* (*Źródło Sw. Ronana*). Odłożył tu swoją romantyczną pelerynę i przywdział strój modnego satyryka, wyszydzającego szaleństwa socjety, zebranej w małym uzdrowisku szkockim. Ale proroctwo Laidlaw'a się nie spełniło: Scott sam siebie nie przewyższył. Zwycięski kronikarz średniowiecznego feudalizmu miał mniej szczęścia w przedstawianiu snobizmów modnego towarzystwa z początków XIX wieku.

Posępne zdarzenie, które posłużyło Scottowi za punkt wyjścia, po przerobieniu go na powieść wypadło tandetnie. Dwaj przyrodni bracia, z których młodszy bezprawnie nosi tytuł hrabiego Etheringtona, nienawidzą się wzajemnie. Starszy, Francis, kocha Klarę Mowbray, siostrę młodego nicponia, lorda St. Ronan. Etherington podszywa się pod postać swego przyrodniego brata podczas wesela jego z Klarą. Oszukana panna młoda, dowiedziawszy się, że została żoną człowieka, którego nienawidzi, wpada w rozpacz. Bracia umawiają się, że obaj wyrzekną się Klary i opuszczą Szkocję. Etherington próbuje złamać tę umowę, gdy dowiaduje się, że oznajmiając o swoim małżeństwie może zdobyć poważną fortunę. Wywiera nacisk na lorda St. Ronan, który jako gracz wpada łatwo w zastawione sieci i grozi siostrze swym gniewem, jeśli nie zgodzi się ona uznać oszusta za męża. Francis broni Klary i ujawnia zbrodnicze podstępny lorda i Etheringtona. Jednakże Klara pod wpływem gróźb brata popada w obłąkanie.

Zamiast owego ślubu o północy, Scott pierwotnie projektował scenę uwiedzenia Klary, ale James Ballantyne stanowczo zaprotestował, dowodząc, że scena taka w odniesieniu do szlachetnie urodzonej dziewczyny zgorszy i oburzy czytelników. Oryginalna wersja nie uratowałaby zapewne książki, ale wersja opublikowana jest sztuczna, wymuszona, a powody obłąkania Klary nie wydają się dostateczne.

Zamierzona satyra na towarzystwo leczące się wodami źródła zawiodła. Charaktery, zabawne miejscami, są jednak tylko postaciami z farsy. Autor nie potrafił natchnąć ich prawdą życia. Książkę ratują te tylko fragmenty, w których opisani są „tubylcy”, bo ten typ ludzi Scott znał najlepiej. Wyróżnia się wśród nich tęga oberżystka, Leg Dods. Jej prototypem była może owa energiczna właścicielka zajazdu w Clovenford, która przed dwudziestu laty nie pozwoliła Williamowi Wordsworthowi zająć pokoju zarezerwowanego dla szeryfa Selkirku.

W parę miesięcy później Scott okupił niezbyt udane *Źródło Sw. Ronana* jedną z niewątpliwie wielkich powieści — *Redgauntlet*. Odtworzył w niej — nie bez nostalgii, właściwej ludziom u progu starości, gdy wspominają młodzińcze lata — okres spędzony w biurze prawnym swego ojca. Tłem akcji jest

miasto Edynburg i wspaniale opisany krajobraz zatoki Solway, z jej płytkimi wodami, mieliznami, zdradzieckimi prądami przyptywów i odpływów — tło świetnie odmalowane, chociaż już raz użyte i wykorzystane w powieści *Guy Mannering*. Wybrzeża zatoki Solway były krainą, w której Scott czuł się najlepiej: pogranicze dwóch narodów, szkockiego na północ od zatoki, angielskiego na południe, dwóch odrębnych kultur: tej stosunkowo prymitywnej i tej coraz bardziej wyrafinowanej. Portret ojca autora znajdziemy w postaci Saundersa Fairforda, stary próżniak Will Clerk to w powieści *Darsie Latimer*, a wiele materiału autobiograficznego złożyło się na charakter Alana Fairforda.

Redgauntlet jest najlepszym przykładem zalet Scotta jako autora powieści historycznych. Cenną jest przede wszystkim jego świadomość znaczenia wielkich konfliktów społecznych w przyspieszaniu postępu ludzkości. Jego bohaterowie i bohaterki są najczęściej — i jak się zdaje, celowo — przeciętnymi ludźmi swojej epoki, a jednak konflikty rozstrzygają się dzięki ich wpływom — wpływom ludzi, którym oficjalne podręczniki historii mało poświęcały uwagi. Zwyczajni, przeciętni ludzie zajmują kluczowe pozycje w jego powieściach, a co więcej, działają własną siłą dynamiczną, nie są bynajmniej pionkami przeznaczenia czy jakichś ukrytych sił. Królowie i magnaci znajdują się na marginesie jego historycznych inscenizacji. A konflikty życia nawet arystokratycznych zarozumiałców są najczęściej w twórczości Scotta rozwiązywane przez ludzi zwykłych, stanowiących główną siłę sprawczą społecznego postępu.

Osią konstrukcyjną powieści jest konflikt między zwolennikami Hanowerczyków i zdetronizowanych Stuartów. Fabuła oparta jest na schemacie „złego stryja” (*Redgauntlet*), który dąży do wpłątania swego młodego bratanka, głowy rodu, w spisek mający na celu przywrócenie tronu Stuartom: *Redgauntlet* wie dobrze, że wykrycie tego spisku pociągnie za sobą ruinę całej rodziny. Takie właśnie prywatne sprawy zwykłych ludzi, a nie wpływy zwalczających się dynastii decydują koniec końców o wyniku spraw państwowej wagi.

Książka zawiera jedno małe arcydzieło — opowieść niejakiego Willie Wędrownika, która stanowi świetny przykład stylu Scotta w najlepszym wydaniu.

Redgauntlet jest ostatnią z wielkich powieści sir Waltera Scotta. Wyznał przyjacielowi, że wyobraźnia jego zaczyna się już wyczerpywać. Jeszcze wiele miał napisać, ale już nigdy nie osiągnął tego poziomu. Najlepsze utwory Scotta były często porównywane — jeśli można dramat porównywać z powieścią — z Szekspirem. „Tumany przyrównują mnie do Szekspira — ależ ja nie jestem wart mu kierpców zawiązać” — brzmiał dosadny komentarz Scotta. Nawiasem mówiąc „kierpce” — po angielsku *brogues* — są szkockim i irlandzkim rodzajem obuwia i jest więcej niż wątpliwe, czy Szekspir je kiedykolwiek nosił. Jeśli chodzi o język, o wspaniałą gamę odcieni stylistycznych w dialogach, a także o zrozumienie najgłębszych motywów ludzkich postępów, Scott rzeczywiście nie dorównał Szekspirowi. Ale nie miał racji, jeśli chodzi o tworzenie charakterów. Wprawdzie Scott nie stworzył nigdy postaci kalibru Falstafa, ale ma na swoim koncie tak świetne, pełne humoru i życia postacie, jak Nicola Jarvie w *Rob Royu*, Jakuba I w *Przygodach Nigela* i Ludwika XI w *Quentinie Durwardzie* — że wymienimy tylko tych kilka przykładów.

Jako twórca powieści historycznych autor *Waverleya* jest bezkonkurencyjny — stwierdzali to wielokrotnie Balzac, Fenimore Cooper, Robert Louis Stevenson i wielu innych. Jako malarz portretów prozą ma również niewielu rywali. Jego najlepsze osiągnięcia stylistyczne są bez wątpienia wielką literaturą; rzeczy słabsze są istotnie mdłe. Ale takie powieści, jak *Guy Mannering*, *Heart of Midlothian*, *Antykwariusz*, *Old Mortality*, *Narieczona z Lammermooru*, *Kenilworth*, *Przygody Nigela*,

Quentin Durward i *Redgauntlet* wytrzymały próbę stu pięćdziesięciu lat i będą chyba czytane, dopóki ludzie interesować się będą odtwarzaniem przeszłości w romantycznej opowieści, portretowaniem charakterów historycznych i fikcyjnych oraz sztuką tworzenia sytuacji komicznych lub pełnych napięcia i grozy. Tylu czytelników, co Scott, nie miał jeszcze żaden przed nim powieściopisarz. W czasach, kiedy czytanie powieści uważano jedynie za błahą rozrywkę dla rozpróchnionych dam, wzniósł on tę formę z powrotem na wyżyny poważnej literatury.

Szczerą skromność Scotta w ocenie własnej twórczości i brak zarozumiałości ilustruje wydarzenie opowiedziane przez jego dawnego kolegę szkolnego, Karola Kerra. Pewnego dnia Kerr zawitał do Abbotsfordu, by wyznać, że w oficerskim kasynie podał się za autora jednej z anonimowych powieści Scotta. Wyznał to z pokorą, przekonany o krzywdzie, jaką wyrządził prawdziwemu autorowi, i oznajmił, że jest gotów stanąć do pojedynku, jeśli Scott go wyzwie. W odpowiedzi usłyszał, że gdyby nawet Kerr przyznał się do autorstwa wszystkich powieści autora *Waverleya*, Scotta nie wzruszyłoby to wcale. Pozbawiony godziny wielkiego dramatu, Kerr opuścił w gniewie Abbotsford, przysięgając, że nigdy więcej nie odezwie się słowem do Scotta.

Niewątpliwie, do fenomenalnej płodności — a Scott miał już czterdzieści trzy lata, gdy zaczął pisać powieści — skłaniała go naglejąca potrzeba pieniędzy na realizację nazbyt wspaniałych projektów i planów. Można by teoretycznie rozważać, czy gdyby się tak nie spieszył, gdyby napisał mniej, twórczość jego byłaby na wyższym poziomie i bardziej wyrównana. Scott do końca uważał swoją pensję urzędnika sądowego i dochody z posagu Charlotty za główną podstawę bytu, a zarobki literackie tylko za dodatkową podporę, chociaż były znacznie większe. Napisał *Waverleya* wówczas, kiedy przewidywał, że wstąpienie Byrona na arenę poezji przyćmi jego sławę i spowoduje spadek nakładów jego utworów, a właśnie projektował zalesienie i przebudowę na skalę przewyższającą jego regularne dochody. Scott miał wielkie artystyczne możliwości, ale znacznie mniej wewnętrznej potrzeby artystycznego wypowiedzenia się: potrzebował podniety ekonomicznego nacisku. Prawdziwą ambicją Wielkiego Anonima był „Conundrum Castle”.

Tak się złożyło, że koniec okresu wielkiej twórczości zbiegł się z ukończeniem przebudowy owego „Conundrum Castle” — Abbotsfordu. Gdy w roku 1824 wykańczano Abbotsford, Laird osobiście z Tomem Purdie przerzedzali plantacje drzew i krzewów. Scott uroczyście wręczył Tomowi amerykański toporek, który mu ofiarował jakiś wielbiciel. Tom spojrzał na narzędzie z dezaprobatą, popluł na ostrze, zadał jeden potężny cios w pień drzewa, a spojrzawszy znowu na ostrze, oddał toporek swemu pracodawcy i przyjacielowi.

— To się nadaje do kuchni, do krajania sera — rzekł, po czym wziął wypróbowaną siekierę o ostrzu lśniącym, a toporzysku pociemniałym od długiego używania.

Makaty, gobeliny, obrazy i serwantki nadjeżdżały wielkimi wozami z Edynburga i Londynu, razem z serią karykatur, które miały być zawieszone w toaletach. Wiadomo było powszechnie, że „Wielki Babilon” jest na ukończeniu i podarunki zaczęły napływać obficie, krzesła zrobione z drewna, wziętego z historycznych domów, setka tomów klasycznych autorów od Constable’a, wspaniałe oprawne dzieła francuskiego krytyka Montfalcona od „naszego przyjaciela grubaska”. Nadesłano tyle rogów, że zawieszając je w wielkiej sieni Scott powiedział, iż wystarczyłoby ich dla mężów-rogaczy z całego świata.

Książki od królów i rogi od skromniejszych myśliwych— albo kłusowników — Scott przyjmował wszystko z prostotą i wdzięcznością. Píše o tym młody przyjaciel rodziny, Basil Hall: „Muszę się zgodzić z ogólną opinią, która głosi, że nigdy przy żadnej okazji Scott nie zdradził najmniejszej oznaki próżności czy afektacji, ani nie nasunął myśli o zarozumiałości, albo nawet o poczuciu własnej wyższości pod jakimkolwiek względem”.

Jako prezes edynburskiej Oil-Gas Company, laird uznał, że musi założyć instalacje gazowe w Abbotsfordzie. Wyniki nie wzbudziły w nim zaufania do produktów spółki akcyjnej, której przewodniczył. Gaz okazał się znacznie kosztowniejszy, choć światło dawał jaśniejsze, od dawnych świec i lamp naftowych, a niezdrowy zapach gazu przesycił cały dom. Inną nowością był system dzwonków „założonych na zasadzie działania powietrza, bez interwencji wulgarnych drutów”.

Na Nowy Rok 1825 odbyło się pierwsze w ukończonym domu wielkie przyjęcie, które trwało kilka dni. Przybyli wszyscy dawni przyjaciele, pojawili się wszyscy sąsiedzi, by gratulować lairdowi jego kreacji w kamieniu i drewnie. Kobziarz chodził dookoła domu, przygrywając; by się rozgrzać, zachodził od czasu do czasu do środka i wychylał wielką szklanicę czystej whisky, a tymczasem ci, którzy cierpieli od dość powszechnych skutków słuchania muzyki kobziarzy — nacisku na pęcherz — wybiegali, by szukać ulgi. Po czym goście wracali do stołu, a kobziarz zabierał się dalej do produkowania skrzeczących, przenikliwych dźwięków.

Podczas posiłków Scott nie zajmował należnego gospodarzowi miejsca u szczytu stołu, lecz przysiadł się, gdzie chciał, wprowadzając gości w dobry humor swoją bezceremonialną swobodą, łagodząc nazbyt gorące dyskusje jakimś żartem, a ze swej strony unikając wyrażania zbyt kategoriycznych opinii. Jego własny udział w rozmowie ograniczał się przy takich okazjach najczęściej do anegdot, niekiedy posłyszanych jeszcze od matki i babki, a opowiadanych gwarą Pogranicza i ilustrowanych świetną mimiką. Słynna była jego anegdota o pewnym starym farmerze, który w miesiąc zaledwie po śmierci żony zgłosił się do miejscowego pastora, by dać na zapowiedzi. Pastor rzekł zgorzony: „Na zapowiedzi, John? Nie może być. Przecież twoja żona jeszcze w grobie nie ostygła”. Niewzruszony John odparł: „Nie szkodzi, proszę ogłaszać zapowiedzi, a ona będzie sobie stygła przez ten czas”.

Hojnie częstował winem swych gości: sam miał bardzo mocną głowę i wydawało się, że jest coraz spokojniejszy w miarę, jak reszta towarzystwa hałasowała coraz głośnieją. Ale zawsze był gotów rozprawiać. Charlotta powiedziała do starego lekarza domowego, obecnego na noworocznym przyjęciu, tego samego, który niegdyś operował sir Waltera, gdy ten był jeszcze małym chłopcem: „Uważam pana, doktorze Wilson, za najlepszego chirurga w całej Wielkiej Brytanii, bo od kiedy mu pan przywrócił swą operacją mowę, jego język nie zatrzymał się ani na chwilę”.

Charlotta w owym czasie cierpiała już na astmę. Walter zaniepokoił się poważnie pierwszymi objawami. Żona nie odgrywała wprawdzie żadnej roli w świecie jego twórczej wyobraźni, ale za to dzieliła czynnie i lojalnie jego życie zewnętrzne, krytykowała i dyskutowała wszelkie plany dotyczące Abbotsfordu, była wyborną gospodynią i panią domu, czuwała nad jego zdrowiem. Dowcipna i żywa, obudziła w swoim mężu głębokie przywiązanie o charakterze koleżeńskiej równości, takie, które wytrzymuje i dobrze znosi żart, a nawet złośliwość.

Nie wszystkie anegdoty opowiadano w obecności Charlotty i innych pań. W Dzienniku, który Scott zaczął prowadzić w tym okresie, znajdujemy wiele anegdot, prawdziwych lub zmyślonych, które opowiadano dopiero po odejściu pań od stołu. Jest tu też anegdota, którą w różnych wersjach

odnajdujemy w wielu krajach i w czasie wielu wojen. Pewna starsza już niewiasta w czasie powstania na rzecz Stuartów w roku 1745 oczekiwała, że rozhulane żołdactwo w zdobytym mieście będzie się zachowywać zgodnie z tradycją. Zamknęła się więc w swoim pokoju. Minęło kilka godzin; nikt się do niej nie dobijał. Widocznie będąc zdania, że tradycje należy podtrzymywać, wychyliła się z okna i zawołała do jakiegoś przechodnia: „Przepraszam bardzo, ale czy nie mógłby mi pan powiedzieć, kiedy oni zaczną gwałcić?”

W Abbotsfordzie, w czasie wielkiego „oblewania” nowo ukończonego domu, momentem kulminacyjnym był bal wydany dnia 9 stycznia. Honorowym gościem była niejaka panna Jobson. Inni goście, wypytując dyskretnie, dowiedzieli się w końcu, że była to siostrzenica sir Adama Fergusona, sierota, ładna i posażna. Sir Adam kiedyś napomknął, że byłaby odpowiednią partią dla najstarszego syna Scottów. Sir Walter nie miał zastrzeżeń. Młody Walter ochoczo zabrał się do asystowania pannie. Około Bożego Narodzenia sprawa była postanowiona, chociaż zaręczyn jeszcze nie ogłoszono.

Bawiono się więc wesoło i żadne znaki na niebie ani na ziemi nie wskazywały na to, że te pierwsze dni spełnienia marzeń Lairda były jednocześnie ostatnimi dniami spokojnego szczęścia w „Conundrum Castle”.

UDERZENIE PIORUNA

Archibald Constable odwiedził Abbotsford w maju roku 1825. Był w nastroju takiego podniecenia, że Scottowi wydało się, iż „widzi w nim objawy obłąkania”. Ale Wielki Anonim nie dostrzegł nic obłąkanego w projektach, które były powodem podniecenia wydawcy.

Constable zaczął od stwierdzenia, że księgarstwo jest jeszcze w powijkach. W przyszłości powinno się liczyć nie tylko na bibliotekę w każdym przyzwoitym domu Wielkiej Brytanii; wraz z rozwojem powszechnej oświaty w każdym pasterskim szataście powinna się pojawić półka z książkami. A zatem potrzebne jest wydawnictwo, publikujące co miesiąc książkę, książkę dobrą i taną — po pół korony (2,5 szyl.), co byłoby ceną znacznie niższą od ceny pierwszych wydań, która wynosiła zwykle około gwiney (21 szyl.) Powieści autora *Waverleya* będą oczywiście wciągnięte do tej periodycznej Biblioteki Popularnej. Nikt, kto umie czytać, nie może ich nie kupować. Constable sam będzie bogatym człowiekiem.

— Będziesz jeszcze czymś więcej — rzekł Scott pieszcząc uszy Nimroda, następcy Maidy. — Będziesz Napoleonem księgarstwa.

Próżny, ambitny, zazdrosny o sławę, którą zdobył Scott, podczas gdy on, wydawca, pozostawał w cieniu, Constable aż nadął się z pychy na te słowa.

— Jeśli nnie przeżyjesz — powiedział — zamawiam sobie te słowa jako epitafium do umieszczenia na moim nagrobku.

Scott obiecał zdobyć dla Biblioteki Popularnej patronat samego króla — obietnicy tej dotrzyma i ustalono, że *Waverley* będzie pierwszym tomem w projektowanym wydawnictwie.

Wszystko to radowało Lairda, który równie łatwo ulegał entuzjastycznej przesadzie, jak sam Constable. Abbotsford, jak się wydawało, miał już za sobą okres największych wydatków. Sprawy rodzinne, oprócz zdrowia Charlotty, mogły dawać ojcu rodziny całkowitą satysfakcję. Mimo pewnych obaw co do wyczerpania się wyobraźni, pisarz czuł w sobie jeszcze pełne zdolności twórcze.

Na trzy miesiące przed wizytą Constable'a młody Walter poślubił Jane Jobson, dobra Abbotsford formalnie zapisano w spadku dziedzicowi, stopień kapitana królewskich huzarów został zakupiony za sumę 3 500 funtów i młoda para osiedliła się w Dublinie. gdzie stał regiment. Wszyscy domownicy serdecznie polubili Jane, a Scott pisał do niej w dzień po odejździe młodej pary: „Moja bardzo kochana, nie chciałem wczoraj wprowadzać zaambarasowania w czasie waszego wyjazdu opowiadaniem o moich uczuciach — W istocie rzeczy nie lubię, gdy ktokolwiek jest świadkiem moich emocji.”

Tymczasem mąż Zofii został redaktorem «Quarterly Review» — kwartalnika wydawanego przez Murraya — z pensją 1000 funtów rocznie. Otrzymał również 1 500 funtów rocznie za pracę w nowo założonym dzienniku konserwatywnym. Scott próbował parokrotnie uzyskać dla zięcia jakąś synekurę rządową, ale Lockhart przy całej swojej szlachetności i rozsądku miał talent przysparzania sobie wpływowych nieprzyjaciół i zabiegi teścia spełzły na niczym.

Młody Karol zaczął studiować w Oxfordzie, w Brasenose College. Był to młodzieniec rozmowny, niegłupi, rozkochany w książkach, ale nieuleczalnie leniwy. Ojciec próbował go karcić i pouczać: „Praca — pisał do syna — a wiedział coś o tym z własnego doświadczenia! — jest nam nałożona przez Boga, w jakiegokolwiek sytuacji życiowej się znajdujemy. Nie warto mieć nic, co można uzyskać bez pracy — od chleba, który wieśniak zdobywa w pocie czoła, do niebezpiecznych sportów, którymi się zabawia bogacz, by odpędzić nudę. Jedyna między nimi różnica to ta, że biedak męczy się i pracuje, by mieć obiad na zaspokojenie swego apetytu, a bogacz, aby mieć apetyt na swój obiad.” Ta jedyna różnica była jednak dość znaczną różnicą, ale Scott, jak większość ludzi owej epoki, a nazbyt wielu ludzi dzisiaj, widział przepaść między ubogim a bogaczem jako naznaczoną przez Boga i posłusznie przyjmował jej istnienie.

Jednakże lenistwa Karola nie można było wykorzenić dobrymi radami. Uniwersytet dawał mu sposobność, której nie unikał, przesypiania ranków; resztę dnia spędzał na rozmowach i dyskusjach. Bardzo chciał zwiedzić Alpy, ale ojciec powiedział mu ostro, że cuda przyrody nie zginą, jeśli Karol Scott ich nie ujrzy. Sir Walter posłał jednak 50 funtów, by zapłacić za pierwszą część podróży. Wreszcie nie było innej rady na tego rozpróżnianego młodego człowieka, jak tylko wystarać się dla niego o posadę drobnego urzędnika w Foreign Office, co wreszcie zrobiono... Laird mógł się uspokoić: następne nieopierzone piskłę wyfrunęło z gniazda i stanęło jako tako o własnych siłach.

Czwarte dziecko, Anna, pozostała w Abbotsfordzie. Była to dziewczyna o charakterze szlachetnym i uczuciowym, głęboko przywiązana do starszego brata, a młodszego obdarzająca nieco złośliwymi kpinami.

Tak więc ze swoim potomstwem sir Walter nie miał więcej kłopotów, niż zwykle bywa z dziećmi. Natomiast Charlotta coraz wyraźniej zapadała na zdrowiu. Nie chciała już chodzić z mężem na spacer, które tak dawniej lubiła. Miała coraz gorszy apetyt, chociaż wciąż zapewniała, że nic jej nie jest i że jak na swoje lata czuje się zupełnie dobrze. Słowa jej nie zdradzały, że życie przybliża się do przedwczesnego kresu.

Scott wyczuwał nadchodzącą godzinę próby; nie przypuszczał też, by jego własne zdrowie pozwoliło mu przeżyć żonę o wiele lat. W swoim *Dzienniku*, w którym notował wszelkie osobiste zdarzenia i myśli, rozważał sytuację domową:

„Znajduję wiele pociechy w obecnym stanie mojej rodziny. Najstarszy syn, niezależny finansowo, połączył się z żoną węzłami szczerego wzajemnego przywiązania — i rokuje mu dobrą karierę w jego zawodzie. Drugi syn jest młodzieńcem utalentowanym i myślę, że w pewnym sensie zużytkuje w dobrych celach swoje zdolności. Anna jest zacną, szczerą dziewczyną szkocką i tylko czasem chciałbym, by poskromiła swe szydercze żarty, a Lockhartowi mogę powierzyć z całym zaufaniem szczęście córki... Moja droga żona, współnik moich trosk i powodzeń, jest, jak się obawiam, w nie najlepszym stanie zdrowia — chociaż jeszcze wierzę i modlę się o to, by mnie przeżyła. Wszakże jeśli ta dolegliwość nie ustąpi, źle to wróży... Dobranoc, sir Walterze. Masz blisko sześćdziesiątkę... Nie zależy mi już na życiu, bylebym zostawił moje nazwisko niesplamione i majątek mojej rodziny zapewniony. *Sat est vixisse*” (łac.) — dość jest zwyciężyć).

Dziennik okazał się, gdy go wydano w wiele lat później, piękną autobiografią i jednym z najlepszych osiągnięć literackich Scotta. Nie zamierzając opublikować go za życia, pisał z odwagą i szczerością

o sobie i swoich poczynaniach, a ze wzruszającą czułością o swojej rodzinie, przyjaciółach i znajomych.

Wzmianka o pozostawieniu „nazwiska niesplamionego” mogła być już wywołana pewnymi obawami. Pogłoski o niesłychanie zagmatwanych aferach Jamesa Ballantyne'a i Archibalda Constable'a, które Scott przez dłuższy czas ignorował, ufając własnym możliwościom zarobków i wzrastającym dochodom z majątku Abbotsford, stawały się coraz bardziej niepokojące. Drukarnia Ballantyne'a nigdy nie wydobyła się z trzęsawiska dawnego przedsiębiorstwa wydawniczego, a teraz była zadłużona na sumę 40 000 funtów u Constable'a, od którego Scott osobiście również pobrał znaczne zaliczki.

W strachu, aby nie stracić względów swego najbardziej popularnego i przynoszącego największe zyski autora, Constable przyspieszył kryzys dając Scottowi wciąż nowe zaliczki. Ballantyne zupełnie ślepo wierzył, że wspólnik wydobędzie firmę z każdej trudności. Laird wstąpił z nim do spółki głównie przez donkiszoterię i chęć niesienia pomocy dawnemu szkolnemu koledze i przyjacielowi. Scott nie był człowiekiem, który by się wycofał ze spółki z przyjacielem; nie miał też ani czasu, ani ochoty, by zająć się sprawdzaniem i kontrolowaniem. Kombinacja Ballantyne — Constable, wspomagana przez lichwiarskich bankierów, stała się, po prostu dogodnym urządzeniem, umożliwiającym Scottowi nieustanne zastawianie swych twórczych zdolności. Ale trzęsawisko było z każdym rokiem coraz głębsze i bardziej beznadziejne.

W roku 1825 wydano dwie książki: *Narieczona i Talizman (The Talisman)*. Powodzenie ich skłoniło wszystkich, którzy żyli z twórczości autora, do optymistycznej wiary, że niepokojąca sytuacja jest jeszcze do uratowania. Objęte wspólnym tytułem *Opowieści z wypraw krzyżowych*, te dwa utwory nie są niczym więcej, jak opowieściami awanturniczymi dla młodzieży. *Narieczoną* można „odpisać na straty”, jako nieudaną pozycję, która nie zasługuje w ogóle na analizę. *Talizman* zaczyna się żywo opisaną utarczką przy studni na pustyni i ma kilka dobrych scen. Ale Scott nie znał krajów Wschodu, a jego wiedza dotycząca wypraw krzyżowych opierała się wyłącznie na dziełach historycznych. Nie ożywiały jej żadne anegdoty, legendy o bohaterstwie i romantyzmie przekazywane z pokolenia na pokolenie, jak te, które tchnęły życie w jego rekonstrukcje historyczne z czasów średniowiecznej Szkocji. Krajobraz w *Talizmanie* przypomina prymitywną dekorację teatralną, a prawda historyczna jest sfalszowana przedstawieniem Ryszarda Lwie Serce jako bohatera bez skazy, niezastąpienie uwielbianego później przez liczne pokolenia trzynastolatków.

Świadom, że *Opowieści z wypraw krzyżowych* były znacznie gorsze od innych jego utworów, ale zawsze zadowolony, jeśli zdobył dość licznych czytelników, i uradowany sprawozdaniami Constable'a o szybkiej rozprzedaży, Scott wybrał się z Anną i Lockhartem — zostawiając w domu Charlotte i Zofię — w odwiedziny do młodej pary, Waltera i Jane, w Dublinie. Wszystko, co było w mieście znakomitszego — władze cywilne, palestra, duchowni, wojsko i władze oświatowe — witało go z honorami. Na przedstawieniu Szekspirowskiej komedii *Wiele hałasu o nic* przerwano spektakl, gdyż publiczność urządziła mu owację — Scott jednak upierał się przy swoim incognito i nie przyznawał się do autorstwa żadnej powieści. Gdy jeden z profesorów uniwersytetu powiedział, iż nie mógł jeszcze przeczytać *Redgauntlet* z powodu nawału pracy, Scott odparł: „Nie zdarzyło mi się zatknąć z tym utworem, profesorze”.

Dwie rzeczy przede wszystkim uderzyły jego spostrzegawczy umysł w trakcie tej podróży do Irlandii — a czasu nie tracił i zwiedzał wszystko, co tylko się dało — przerażające ubóstwo obok

ostentacyjnego zbytku i niezwykle urok prostej ludności. Młodej kobiecie, która oprowadzała zwiedzających, powiedziano, że ten wysoki, kulejący mężczyzna jest poetą. Nie wzruszyła się tą informacją: „Poeta! Nic podobnego! To jest gentleman: dał mi pół korony”. A Scott sam notuje z zachwytem odpowiedź, jaką usłyszał od portiera, któremu dając szylinga, zamiast zwyczajowego napiwku sześciu pensów, powiedział: „Pamiętaj, żeś mi winien sześć pensów”. Portier odrzekł: „Oby wasza wielmożność żyła tak długo, dopóki nie zapłacę!”

Takie spotkania skłoniły sir Waltera do napisania w liście do Lockharta następujących słów, które świadczą o jego patriarchalnym wprawdzie, lecz mimo to szczerym przywiązaniu do prostego człowieka: „Przeczytałem dość książek i zetknąłem się z wielu wybitnymi i wysoce ukształconymi umysłami, ale zapewniam cię, iż poza stronicami Biblii nie spotkałem wznioślejszych uczuć niż te, które usłyszysz z ust prostych, nieuczonych ludzi, gdy duch ich wznosi się do prymitywnego, ale niezaprzeczonego bohaterstwa pod wpływem nieszczęść i przeciwności, lub gdy wyrażają swoje proste myśli w gronie przyjaciół albo sąsiadów.”

Z rozmów z Constablem, pełnym entuzjastycznych projektów książek dla Biblioteki Popularnej, powstał pomysł, aby Scott napisał życiorys Napoleona. Constable i jego wspólnik Cadell uznali, że rynek nie wchłonie już dalszych powieści „autora *Waverleya*” chcieli jednak nadal czerpać korzyści z talentu wybitnego pisarza. Scott sam z chęcią przyjął propozycję napisania „książki, w której każdy incydent będzie nieprawdopodobny, a jednak ściśle prawdziwy — książki odtwarzającej wspomnienia, które jeszcze dźwięczą w uszach mego pokolenia i które nasze dzieci będą odczytywać z zachwytem, zbliżonym do niewiary”.

Powróciwszy do Abbotsfordu z triumfalnej podróży do Irlandii, Scott z zapałem zabrał się do studiowania obszernego materiału źródłowego. Wkrótce szkicował już część dotyczącą Rewolucji Francuskiej — której znaczenie co prawda nadal nie w pełni rozumiał. Ślęczał nad drobnym drukiem i niewyraźnym: manuskryptami. „Czytał, notował i sporządzał indeksy z uporczywą dokładnością jakiegoś kompilatora w British Museum” — pisał Lockhart.

Ale do owych pogłosek o aferach Ballantyne'a i Constable'a, które były jak pomruki nadciągającej burzy, dołączyła się teraz pierwsza błyskawica. Ambitny wydawca edynburski zaangażował jako swoich londyńskich agentów firmę Hurst i Blackett. Lockhart dowiedział się w Londynie, że firma ta jest w trudnościach finansowych i że jeśli zbankrutuje, pociągnie za sobą Constable'a. Spostrzegłszy poważne zatroskanie Scotta na wieść o grożącym bankructwie londyńskiej firmy, Lockhart po raz pierwszy zorientował się, że jeśliby Constable zbankrutował, jego teść również ucierpi na tym, i to nie tylko dlatego, że straci wydawcę publikującego jego książki.

Może by jeszcze nie doszło do katastrofy, gdyby nie fala spekulacji giełdowych, która przeszła przez Londyn jesienią roku 1825. Zarażeni gorączką hazardu, Hurst i Blackett kupili m. in. — na kredyt oczywiście — chmielu na sumę 100 000 funtów. Jako „inwestycja” firmy wydawniczej i księgarskiej, transakcja ta dowodzi tylko szaleństwa spekulacyjnego i jaskrawej lekkomyślności.

Pod wpływem paniki Constable i Cadell zgromadzili wszelkie kredyty, jakie jeszcze mieli, by podtrzymać chwiejącą się firmę Hurst i Blackett. Scott nie wiedział o tym, że powiązania finansowe tych dwóch firm były równie skomplikowane — pożyczkami i kontrpożyczkami, weksłami wzajemnie żyrowanymi — jak firm Ballantyne'a i Constable'a.

Nie zdając sobie sprawy z własnego niebezpieczeństwa, Scott notuje w *Dzienniku*, że nawet w najgorszym razie posiada dość, według oceny posiadanych walorów, aby zapłacić po czterdzieści szylingów za funta — to znaczy dwakroć tyle, ile trzeba na pokrycie jego zobowiązań. Niestety, pozostawiając te zobowiązania w rękach ludzi, których ambicje przewyższały jeśli nie ich honor, to w każdym razie ich umiejętności handlowe, nie znał rozmiarów swoich długów. W chwili gdy można było zapewne coś jeszcze uratować, Scott odrzucił propozycję powierzenia firmie rzeczoznawców buchalteryjnych zbadanie ksiąg handlowych i stanu zadłużenia i kredytów, które zaciągnęli Ballantyne i Constable oraz Hurst i Blackett. Zgodził się pożyczyć 5 000 funtów, by pomóc firmie Hurst i Blackett, co w obliczu spekulacji tej firmy było sumą śmiesznie małą. Scott sam to już chyba zrozumiał, bo zapożyczył się na 10 000 funtów pod zastaw na hipotekę Abbotsfordu i postanowił zlikwidować wszelkie nadzwyczajne wydatki osobiste — na ziemię, książki i przedmioty do dekoracji domu.

Dnia 18 grudnia 1825 r. wydawało się jednak, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą. Przyszła wiadomość, że firma Hurst i Blackett pomimo pomocy nie zdołała spłacić w terminie swoich należności. Głęboko wstrząśnięty, Scott zaczął nareszcie pojmować własną sytuację: „Wiele będzie smutku w Darnick (najbliższej wiosce) i w chatach wokół Abbotsfordu” — pisał. Tak był już pewny, że wszystko stracone, że zaczął obmyślać, jak zapewnić przyszłość Tomowi Purdie i Williamowi Laidlaw, a także jak znaleźć dobrych panów dla swoich psów.

Na razie nie było aż tak źle. Następnego dnia nadeszła wiadomość, że poprzednie nowiny o bankructwie firmy londyńskiej były przedwczesne. Jednakże rok, który rozpoczął się od przyjęć, balów i beztroskiej wesołości, kończył się wśród trosk i cieni. Dom był pusty, Laird przygnębiony i cierpiący na jakieś dolegliwości nerkowe, Charlotta, wciąż chora, narzekała na lekkomyślność i niezaradność finansową męża. Anna, najspokojniejsza z nich wszystkich, była skłonna winić rodziców za to, że o niczym innym nie mówią, jak tylko o sprawach pieniężnych.

Scott zastosował jedyne antidotum, jakie znał. Siedział nocami nad *Napoleonem* i zaczął jednocześnie pisać nową powieść, zatytułowaną *Woodstock*. W atmosferze swojej biblioteki, gdzie toczył i wygrywał tyle fikcyjnych bitew, mógł przezwyciężyć ów nieznośny, lodowaty chłód w sercu, który towarzyszy niebezpiecznym sytuacjom, ale nie dopomaga do ich rozwiązania. „Wielka sztuka życia, o ile mogłem zaobserwować — zauważył kiedyś — polega na sile woli i wytrwałości.”

BURZA

Przyjacielu, podaj mi rękę — moja jest ręką żebraka!

Tak powiedział sir Walter Scott rankiem dnia 17 stycznia 1826 r. do starego przyjaciela Jamesa Skene.

Jako pisarz sądowy przyjechał do Edynburga, by pełnić swoje obowiązki. Miasto leżało ciche pod bezśnieżnym mrozem, ale nad głową lairda Abbotsfordu rozpętała się burza, której odległe pomruki dawno już słyszał, a ostatnio ujrzał i błyskawice. Burza ta miała zatopić resztę jego życia w nieustannym ciężkim trudzie. Po przyjeździe dowiedział się, że Hurst i Blackett zawiesili wypłaty należności Constable'owi. Ich bankructwo było już nieuniknione. A wobec powikłanych współzależności finansowych, oznaczało to również bankructwo Constable'a.

W ciągu całego tego dnia na ulicy Zamkowej posiłki zabierano ze stołu nietknięte. Charlotta i Anna nie mogły uwierzyć, że taka absolutna ruina, jaką przewidywał sir Walter, jest możliwa. Próbował wyjaśnić im pogmatwane rozgałęzienia sytuacji, w którą wpakował się z własnej woli, lekceważąc dobre rady rozsądnych przyjaciół. Sam zresztą udzielał podobnych zaledwie przed rokiem aktorowi Danielowi Terry, gdy ten chciał wziąć w dzierżawę teatr londyński: „Najlepsze przedsięwzięcie idzie szybko ku ruinie, jeśli nie posiadając dość kapitału wkracza na drogę weksli i kupuje potrzebne towary za droższą cenę, jako warunek otrzymania kredytu. [...] Ten system zdobywania gotówki zawsze podlega nagłym wstrząsom, które mogą cię od razu przewrócić.”

Sam jednak zgodził się na taki „system zdobywania gotówki”, i nadszedł „nagły wstrząs” w postaci bankructwa firmy Hurst i Blackett.

Szczegóły tej katastrofy nigdy pewno nie będą wyjaśnione: na zawsze zostały zamknięte w zatęchłych labiryntach lichwiarskiej finansjery. Fakty przedstawiały się następująco: Hurst i Blackett byli zadłużeni do wysokości 300 000 funtów; ogłosili upadłość i wypłacili swoim wierzycielom szylinga i trzy pensy za funta szterlinga. Constable był obciążony na sumę 256 000 funtów; jego próby pożyczania od Banku Angielskiego 200 000 funtów pod zastaw praw wydawniczych, które zakupił od autorów, jego błagania, by Scott pożyczył w Edynburgu 20 000 funtów — były niewykonalne: musiał ogłosić upadłość, a jego wierzyciele otrzymali dwa szylingi dziewięć pensów za funta. Zadłużenie Ballantyne'a wynosiło 130 000 funtów — i spadło w całości na barki starszego wspólnika firmy, Waltera Scotta.

Dokładniejsze szczegóły nie są nam tu potrzebne. Najważniejsza jest reakcja na tę katastrofę ze strony szlachetnego człowieka, który najwyżej stojąc z nich wszystkich najwięcej miał do stracenia. Nie dane mu było walczyć z bronią w ręku, na modłę średniowiecznych rycerzy z jego własnych powieści. Ale teraz miał sposobność wystawić na próbę owe cnoty rycerskie, które według jego własnej opinii zamierały razem z wiejskim patriarchalizmem i nie istniały w uprzemysłowionych miastach. I próbę tę przeszedł zwycięsko. W sześć dni po wiadomości o ostatecznym bankructwie londyńskiej firmy Scott zapisał w *Dzienniku*: „Nie czuję się ani zhańbiony ani złamany [...] Nie poddam się bez walki [...] W czasach pomyślności bywało, że opuszczała mnie siła wyobraźni i płynności stylu, ale przeciwności są dla mnie podnietą: źródło bije znowu z najgłębszych zakamarków, jak by pobudził je, przechodząc, duch nieszczęścia”.

Słowa swoje przyoblekł w konkretną treść, pisząc przez cały tydzień katastrofy finansowej po jednym rozdziale powieści *Woodstock* codziennie. Wiedział już, że nie pracuje dla siebie, lecz dla swoich wierzycieli. Miał wolny wybór: mógł ogłosić upadłość, wówczas wierzyciele spieniężyliby jego aktywa i zabrali to, co by uzyskali ze sprzedaży, a on przez resztę życia mógłby spokojnie inkasować wpływy ze swoich późniejszych zarobków. Takie postępowanie było w tych okolicznościach rzeczą naturalną dla Hursta i Blaeketta, dla Constable'a i Cadella; ale Scott posiadał to, czego oni nie mieli: kopalnię złota pod postacią swego talentu. Uznał więc, że dla niego bankructwo nie jest drogą honoru. Każdy, komu był luźnym, bezpośrednio czy przez firmę Ballantyne'a, trzyma w pełni swoją należność, jeśli tylko zechce nieco poczekać.

Największą w tym podniętą była dla sir Waltera chęć ocalenia Abbotsfordu — dla niego samego, dla młodego Waltera i Jane i dla ich dzieci. Gdyby zgodził się na ogłoszenie upadłości, Abbotsford byłby sprzedany za jakąś śmiesznie niską sumę na rzecz wierzycieli. A więc uratuje Abbotsford i spłaci swoich wierzycieli co do jednego pensa. Takie było jego postanowienie. Kapitan Scott napisał z Irlandii, ofiarowując ojcu cały posąg Jane. Mąż Wilhelminy Belsches, pierwszej miłości Scotta, sir William Forbes, gotów był Pożyczyć 30 000 funtów. Stary nauczyciel muzyki Zofii przyniósł swoje oszczędności. Służba z Abbotsfordu i z ulicy Zamkowej zgłaszała się ze swoimi drobnymi kwotami, które stanowiły oszczędności całego życia. Pewien lord nalegał: „Dobry Boże! Gdyby każdy człowiek, któremu Walter Scott ofiarował miesiące najszczęśliwszej rozkoszy, wpłacił choćby sześć szylingów, on wstałby jutro bogatszy od Rotszylda. W prasie sugerowano, aby ogłosić subskrypcję celem wydobycia Wielkiego Anonima z trzęsawiska długów.

Ale ten, którego to wszystko dotyczyło, nie zgadzał się. Wreszcie zrozumiał jasno całą sytuację i jej przyczyny. Odmówił przyjęcia jakiegokolwiek pomocy i potępił pomysły „wzywania ludzi i bogów na pomoc popularnemu autorowi, który wypompowawszy z czytelników grube tysiące, nie miał rozumu, by utrzymać bogactwo, kiedy je posiadał”. Nikogo nie winił prócz siebie, dowodząc, że jeśli niegdyś Ballantyne zawdzięczał jemu swoje dostatki, to teraz jemu również zawdzięcza swoje trudności. Złożył publiczny hołd hojności i talentom firmy Constable'a. Wszystko było z jego własnej winy — i wszystko sam naprawi, byle mu dano czas.

Dobrze zorientowany w możliwościach, jakie dawały mu przepisy prawne, Scott założył „trust wierzycieli”, wkładając w to cały swój i Ballantyne'a majątek i podjął się poświęcić swój czas produkowaniu utworów literackich, z których dochody będą szły wyłącznie na rzecz trustu. Wszyscy wierzyciele, prócz dwóch, zgodzili się na tę propozycję. Jednym z protestujących był Bank Szkocki, który zażądał szeregu gwarancji między innymi skreślenia zapisu Abbotsfordu na młodego Waltera i sprzedania wszystkich znajdujących się w Abbotsfordzie ruchomości, włącznie ze słynną już biblioteką. Ale Bank Szkocki nie przewidział bojowego ducha Scotta, który zagroził, jeśli Bank się będzie upierał przy swoich warunkach, on ogłosi upadłość. W takim wypadku wierzyciele dostaliby po parę szylingów za funta, a on mógłby na przyszłość wszelkie dochody ze swojej twórczości mieć dla siebie. „Jeśli chwytaacie za szablę prawa, ja się będę bronił tarczą prawa.”

Wmieszali się inni wierzyciele, namówili Bank Szkocki do ugody. Ustalono, że Scott zatrzyma dochód ze swych oficjalnych stanowisk — około dwóch tysięcy funtów rocznie, co na owe czasy było sumą wcale niemałą — i także Abbotsford. Dom przy ulicy Zamkowej wraz ze wszystkimi nieruchomościami miał być sprzedany. Ruchomości Abbotsfordu miały pozostać własnością trustu. Później, doceniając

kolosalne wysiłki Scotta, wierzyciele wyłączyli bibliotekę, umeblowanie i antyki Abbotsfordu z majątku trustu.

Drugiego protestującego — osobę prywatną — uciszył sir William Forbes, który grając również rolę „Wielkiego Anonima”, tylko z większym powodzeniem spłacił wierzyciela — dług wynosił 2 000 funtów — i Scott nigdy się o tym nie dowiedział.

Kłopoty sir Waltera były, jak sam przyznał, jego własnym dziełem, skoro znał niebezpieczeństwa swego postępowania, a uparcie nie chciał ich widzieć. Ale teraz stanął w obliczu swych zobowiązań z męską odwagą i być może dlatego spotkał się z tak powszechną sympatią, częstokroć praktycznie wyrażaną. Zwracano jednak uwagę na niewątpliwą rozrzutność, z jaką wydawał pieniądze. Zięć jego i biograf Lockhart pisał o tym nieco okrężnie, ale da się to streścić w następujący sposób: choć jako pisarz sądu i szeryf Selkirku Scott stykał się codziennie z praktycznymi sprawami, nie miał cech praktycznego człowieka interesu, który spokojnie i chłodno rozważa ekonomiczne znaczenie każdego swego kroku. „Musi zapłacić karę za to samo, co przyniosło mu sławę: za życie spędzone w abstrakcyjnych marzeniach.” Może jest w tym argumentacja prawnika, ale jest też i ziarno prawdy. Jesteśmy gotowi przyjąć usprawiedliwienie, ponieważ Scott stawiał czoła przeciwnościom bez narzekania, bez obwiniania kogokolwiek — z odwagą i uporem.

Wkrótce Laird znajdował już zalety w swej biedzie. „Jak Boga kocham, mnie się to wcale podoba: gdyby tylko moje niewiasty mogły lepiej te kłopot znosić, ale one, biedaczki, cierpią nad brakiem rzeczy, które mnie są zupełnie obojętne: powozów, służby itp. Wydaje mi się, że one by raczej wybrały rzeczywistość nędzy z pozorami bogactwa niż odwrotnie... A mnie tak jest, jakbym rzucił z ramion ogromną masę odzieży, bogatej z pewnością, ale zawsze bardziej przytłaczającej ciężarem niż wygodnej.” Zabierające czas, kosztowne przyjęcia skończyły się. Gospodarowanie, którego Scott nigdy właściwie nie lubił i na którym regularnie tracił pieniądze — bo więcej mu zależało na tym, by jego pracownicy byli zadowoleni i mieli pełne żołądki, niż na tym, by pracowali i byli uczciwi — trzeba było porzucić. Wiedział już najgorsze to, czemu od dawna obawiał się spojrzeć w twarz; a człowiek odważny może sprostać przeciwnościom, które widzi wyraźnie.

Najbardziej troszczył się, jak zawsze, o „tych wielu biedaków”, którym jego pomyślność „zapewniała codzienny chleb”. Abbotsford nie mógł dłużej utrzymywać administratora, więc Scott z Harden dał mu u siebie zajęcie katalogowania biblioteki. Kamerdynerowi Dalglieshowi powiedziano, żeby poszukał sobie innego pracodawcy. Dalgliesh z płaczem prosił Lairda, aby mu pozwolono zostać, na najniższej pensji, jaka się znajdzie dla niego. Został więc, a Scott pisał o nim żartobliwie: „Głupiec z niego, bo gdyby tylko poszedł do zakładu pogrzebowego, zrobiłby majątek tą swoją żalobną długą twarzą.” Jeden z pastuchów rozchorował się, posłyszawszy o katastrofie i zwolnieniu go: odszedł, ale na cmentarz. Co do Toma Purdie, który ostatnio podróżował razem z całą rodziną do Edynburga i z powrotem, gdy wyprowadzano się z ulicy zamkowej, Scott zdecydował: „On i ja pójdziemy do grobu razem”.

Ballantyne został kierownikiem drukarni, pracującej pod ścisłą kontrolą na rzecz trustu wierzycieli.

W marcu ostatecznie wyprowadzono się z domu przy ulicy Zamkowej. Niektóre „ruchomości” pozwolono jednak Scottowi zabrać. Między innymi trzysta pięćdziesiąt tuzinów butelek wina i trzydzieści sześć tuzinów butelek wódek załadowano na wozy, zanim licytatorzy weszli, by spisywać meble do licytacji. Wyjazd nappełnił Scotta melancholią, ale z charakterystyczną odpornością swej

natury pisał, gdy dojechali do Abbotsfordu: „Przykre uczucia, które mną owładnęły podczas tej eksmisji, bo tak to trzeba nazwać, rozwiały się w czasie podróży”. Radosne szczekanie i powitalny hałas psów u wrót „Conundrum Castle”, który teraz Scott nazwał swoją Delilą, rozproszyły do reszty posępny nastrój.

W tym prawdziwym swoim domu nadal znajdował żywą satysfakcję — rozkoszował się jego pseudogotycką ornamentyką, jego antykami, nadmiarem rógów, ukochanymi plantacjami drzew, strumykami pełnymi łososi i łagodnymi pagórkami. Ale biedna Charlotta, ciągle w złym stanie zdrowia, nie umiała znaleźć dość sił, by się przeciwstawić bolesnemu ciosowi, który na nią spadł bez jej winy. Pozycja towarzyska zawsze wiele dla niej znaczyła, nie mogła też przyzwyczaić się do ciągłych upomnień męża na temat potrzeby oszczędzania. Anna przyjęła zmienioną sytuację materialną, ale atmosfera w domu klóciła się z jej żywym usposobieniem. W listach do brata Karola skarżyła się, że rodzice mogliby wreszcie przestać rozmawiać tylko o pieniądzach, bo rozmowa i tak pieniędzy nie wróci. „Spodziewam się teraz słodkiego życia z Mamą... bo jaśnie pani chodzi bardzo zła”.

Godziny, które Scott dawniej poświęcał podejmowaniu gości i doglądaniu gospodarki, teraz spędzał za biurkiem. Dał wierzycielom słowo. Przyjęli jego słowo i oszczędzili mu tego, co uważał za hańbę bankructwa. Nie zawiedzie ich teraz, będzie pracował z największym wysiłkiem, na jaki tylko będzie go stać. Niestety, zdrowie jego zaczęło szwankować. Cierpiał na reumatyzm i niedyspozycje żołądkowe, zdawał sobie sprawę z kiepskiego stanu serca, źle sypiał.

Ale nie jego własne zdrowie było przedmiotem troski. Mały Hugh Lockhart, słabowity od urodzenia, coraz bardziej zapadał na zdrowiu. Było to źródłem głębokiego smutku jego dziadka, który nigdy nie pisał z taką czułością o własnych dzieciach: „Ukochanie moje biedne często gorączkuje; gdy przyciskam jego drobne usteczka do moich, odczuwam w głębi serca to, o czym, obawiam się, wszyscy już wiedzą.”

Jeszcze jedno było źródło smutku, które biedną Annę, gdy pomyślała o swoich ostrych słowach z listu do Karola, napełniało wstydem i wyrzutami sumienia. Charlotta gaśła. W miesiąc po powrocie do Abbotsfordu do astmy dołączyła się puchlina wodna. Aplikowano jej wyciąg z naparstnicy, lekarstwo, które mąż w swojej często nierozsądnej pogardzie wobec ówczesnej medycyny nazwał kuracją gorszą od choroby. Jego własnym lekiem były spacerowanie i ruch na świeżym powietrzu, toteż irytował się, gdy mu odmawiała i nie chciała towarzyszyć w spacerach. Walter nie orientował się wcale, jak ciężko biedaczka była chora, gdyż Charlotta, która tak gorzko narzekała na trudności materialne, nigdy nie skarżyła się w chorobie — nawet stale twierdziła, że czuje się coraz lepiej.

W maju urzędnik sądu edynburskiego musiał wrócić do miasta, by zarobić na pensję, która była teraz jedynym zabezpieczeniem jego bieżących wydatków. Od kilku dni Charlotta nie wstawała z łóżka. Sir Walter wszedł do jej pokoju, by się z nią pożegnać przed wyjazdem. „Uniosła się trochę na łóżku i wodząc za mną oczyma powiedziała z półśmiechem: — Macie wszyscy takie melancholijne miny! Były to ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem.”

W cztery dni później nadeszła do Edynburga, gdzie Scott mieszkał w niewygodnym, zapluskwionym Pensjonacie, wiadomość o śmierci Charlotty. Zwolnwszy się z sądu, sir Walter pośpieszył z powrotem do Abbotsfordu, gdzie Anna na przemian mdlała lub wpadała w histerię.

Na jakiś czas oszołomienie znieczuliło go. Mechanicznie załatwiał sprawy: wezwał do domu Waltera i Karola, rozmawiał z przedsiębiorcą pogrzebowym, nakazał przygotować najskromniejsze przyjęcie na stypę— „Jakaś chmura ogłupienia ciąży nade mną, jakby wszystko, co ludzie wokół mnie robią i mówią, było całkiem nierzeczywiste...” Charlotte złożono ruinach Opactwa Dryburgh, w tradycyjnym grobowcu rodziny matki jej męża.

Burzy, która pozbawiła go tak wielkiej fortuny, upokorzyła dumę jego gościnności i filantropii, schyliła głowę, którą zawsze trzymał tak wysoko, zmieniła go z człowieka, który mógł uważać swoją twórczość literacką za przyjemną rozrywkę, w niewolnika pióra, zmuszonego do ciężkiej pracy — tej burzy Walter Scott przeciwstawił się jak skała i wydawało się, że wprost raduje się wichurą, która bezskutecznie chciała zwalić go z nóg, deszczem, który bił go po twarzy.

Ale ten drugi atak losu, ten ostry przenikliwy wiatr, który podstępnie wdarł się wprost w serce — przed tym nie miał obrony. Może duch jego znużony był jeszcze poprzednim, a tak niedawnym kataklizmem. Faktem pozostaje, że ten cios zgiął go jak trzinę. Pozbawił go treści życia. Pieniądze można było odzyskać; można też było obyć się bez nich. Ale Charlotta, jego towarzysza... W *Dzienniku* nie wahał się — jak gdzie indziej — obnażyć swoich najtajniejszych uczuć we wzruszających słowach:

„Widziałem ją. Ta postać nie jest — a jednak jest! — moją Charlottą, moją towarzyszką od trzydziestu lat. Widzę tę samą symetrię formy, chociaż sztywne są członki niegdyś tak wdzięcznie ruchliwe — ale ta żółta maska o zaostrzonych rysach, które wydają się szydzić z życia, czyż może to być twarz tak niegdyś pełna zmiennego wyrazu? Nie będę więcej na nią patrzył... Zastanawiam się, co pocznę z myślami moimi, których znaczną część dzieliłem z nią od trzydziestu lat? Nowy dzień, jasny dla zewnętrznego świata, zaczyna się, powietrze jest łagodne, kwiaty się uśmiechają, liście połyskują w słońcu. Nie mogą już ucieszyć tej, której urok przyrody tyle dawał radości. Całun z ołowiu i drewna objął ją: zimna ziemia... Ale to nie jest moja Charlotta, narzeczona mojej młodości, matka moich dzieci... Byłem w jej pokoju: jest martwy i głuchy; odcisk trumny widoczny był na pościeli, ale już to uprzątnięto: wszystko w czystości i porządku, tak jak ona lubiła, ale wszystko ciche, ciche jak śmierć... Porządkują komnatę śmierci, tę samą, która mieściła przez tyle lat nasze małżeńskie szczęście i z której umeblowania (piękniejszego niż w wielu najbogatszych domach) ona była tak dumna... Och mój Boże!”

Jedyny poryw namiętnej miłości Scott ofiarował przed wielu, wielu laty innej kobiecie. Sądził wówczas, że zawód, jakiego doznał, był najgorszym możliwym ciosem. Teraz pojął, że nie tylko namiętność rozdziera serca szlachetne i czułe.

„W UMYŚLE MOIM JEST KRÓLESTWO MOJE”

Po dotkliwym ciosie, zadany jego dumie, po krachu finansowym, po prawie że śmiertelnej ranie serca, laird Abbotsfordu dźwigał się z upadku. Wymagało tego jego poczucie godności. Pozostał mu jeszcze honor — i musiał go ocalić. Dał słowo, że poświęci każdą godzinę swej pracy na zaspokojenie wierzyteli. Dotrzyma danego słowa, ocali swój honor. Miał obowiązek pracy i zabrał się do pracy następnego dnia po pogrzebie.

Ale jeśli zapiski w jego *Dzienniku* po katastrofie Constable-Ballantyne cechowała energia, żywiość i lekkość człowieka pozbawionego zbroi, śmiałość Dawida w przepasce na biodrach, wyzywającego Goliata do walki — o tyle po śmierci Charlotty wyzywająca śmiałość, lekkość i energia ustąpiły miejsca rozpaczliwej desperacji człowieka, którego królestwo jest obłożone, który będzie walczył aż do śmierci, który ma tylko nadzieję, że ta śmierć nie będzie się odwlekać i który dla podtrzymania odwagi mówi sobie: „Melancholijne godziny wczorajsze nie powinny wrócić. Folgowanie sobie w tym stanie nieudolnej bezczynności oznacza rezygnację z siły woli, z panowania nad własnym umysłem, a ja zwykłem przecież mawiać: W umyśle moim jest królestwo moje. Jestem uprawnionym monarchą i z boską pomocą nie dam się zdetronizować żadnej buntowniczej namiętności, która zechce mi się przeciwstawić.”

Praca, już nie dla siebie ani dla własnej przyjemności, ale praca dla pokrycia cudzych należności stała się dominującym czynnikiem jego życia. Dawny rozkład dnia został zmieniony. Wstawał teraz o siódmej, pisał do wpół do dziesiątej, jadł śniadanie z Anną, wracał do pracy do pierwszej. Następnie wychodził na spacer — kulejąca postać w niebieskim berecie, zielonej kurtce myśliwskiej, beżowej kamizelce, popielatych welwetowych spodniach i ciężkim obuwiu — czasem pieszo wspierając się na ramieniu Toma Purdie, czasem konno na wierzchowcu imieniem Douce Davy. A w trakcie spaceru układał sobie w myślach następny rozdział albo rozwiązywał problem, który mu się nasunął rankiem przy pisaniu Napoleona. Lekki lunch, rozmowa z Anną, cygaro i szklaneczka whisky z wodą — i z powrotem do roboty, zwykle aż do dziesiątej, kiedy zjadłszy tylko kromkę chleba i wypiwszy szklanic portera, kładł się do łóżka. Czasem jeszcze czytał trochę, ale wkrótce zasypiał: potrzebował najmniej siedmiu godzin snu.

Latem roku 1826 ukazał się na półkach księgarskich *Woodstock*, powieść którą można by nazwać najlepszą z gorszych książek Scotta. Było to bez wątpienia niezwykle osiągnięcie, zważywszy, że autor pracował wśród finansowych katastrof i osobistego wielkiego cierpienia. Muszę wyznać, że była to pierwsza książka Scotta, jaką zacząłem czytać mając lat trzynaście. Nie przebrnąłem przez początkowe rozdziały: zniechęciło mnie to do Scotta na dłuższy czas i wskutek tego dopiero znacznie później zaznałem wielu przeżyć, jakie dają jego powieści. Tak bywa, jeśli zaczyna się czytać najpierw gorsze powieści danego pisarza.

Akcja rozgrywa się wśród łagodnych, zadrzewionych pagórków, w na pół zrujnowanym starym dworze — taka sceneria pociągała Lairda, chociażby nawet nie była usytuowana w Szkocji, lecz w południowej części środkowej Anglii, niedaleko Oxfordu. Centralnym motywem fabuły *Woodstocka* jest ucieczka z Anglii (po bitwie pod Worcester w roku 1651) Karola II, który przybył do Szkocji, by spróbować obalić republikę, ustanowioną po ścięciu jego ojca. Mamy tu kłopoty miłości między młodym zwolennikiem Cromwella a dziewczyną, która jest córką starego rojalisty o wybuchowym temperamentem. „Król”

występuje w przebraniu, a w ucieczce dopomaga mu okoliczność, że Woodstock, królewski zameczek myśliwski, jest rzekomo nawiedzany przez duchy. Rycerskie zlecenie pożegnalne Karola łączy parę zakochanych, których rozdzielała pozornie nieprzeżyta przepaść.

Autor *Woodstocka* był zdeklarowanym rojalistą i nie zawsze jest obiektywny. Przedstawia ludzi Cromwella jako zbiorowisko awanturników, przesądnych agnostyków, ambitnych kondotierów i byłych piratów. Natomiast postacie Karola II i samego Cromwella są nakreślone pewną ręką i w gruncie rzeczy powieść jest żywa i przekonująca tylko wtedy, gdy ci dwaj pojawiają się na jej kartach. Bohater, Markham Everhard, należy do typu, którym Scott posługiwał się już poprzednio, gdy chodziło mu o podkreślenie konfliktu — młody człowiek, którego sprzeczne zobowiązania lojalności ciągną do obu wrogich obozów. Jednakże postać ta wypadła sztywno, a bohaterka, Alice, jest zbyt dobra, aby mogła być prawdziwa.

Ale jeśli nawet Scott dbał kiedykolwiek o wartości literackie swoich powieści — co jest wątpliwe, zależało mu chyba tylko na powodzeniu u czytelników — to obecnie jedynym i wyłącznym celem jego pracy było zarabianie pieniędzy dla wierzycieli. A ten cel osiągał. Wydawca Longmans wpłacił na rzecz trustu wierzycieli 6 500 funtów za pierwsze wydanie *Woodstocka*.

W chwili wydania *Woodstocka* było upalne lato i Scott męczył się w Edynburgu, odpędzając nudę pracą w nędznym mieszkaniu, gdzie towarzyszem był mu tylko posępny Dalgliesh. W tym czasie spotkał się z propozycją, która w innym czasie i w odniesieniu do kogo innego na pewno by go rozbawiła. Pewien dygnitarz szkocki napisał do niego list z zamiarem zaaranżowania spotkania między „autorem *Waverleya*” a księżną Roxburgh. Owdowiała księżna chciała powtórnie wyjść za mąż, a dygnitarz uznał, że laird Abbotsfordu będzie odpowiednim mężem. „Posiadając ogromny majątek, czegoż by taki wielki umysł, jak Pana, nie potrafił dokonać?” Możliwość spłacenia za jednym zamachem wszystkich długów musiała na chwilę skusić sir Waltera. Ale tylko na chwilę. W *Dzienniku* pisał się na „bezcelną impertynencję” dygnitarza, ale w liście odpowiedział z lodowatą grzecznością: „Nie zamierzam wstępować powtórnie w związki małżeńskie... A gdybym kiedy zmienił zdanie (co jest nieprawdopodobne), szukałbym osoby równej mi stanem, która znajdowałaby wraz ze mną pociechę w samotności i pracy literackiej, co byłoby wątpliwe w danym przypadku”.

Tym przekonaniom pozostał wierny przez cały okres swojego wdowieństwa, wyjąwszy jeden tylko moment. Przyczyną tego spóźnionego bicia serca była piękna żona hrabiego Władysława Potockiego. „Gdyby taka kobieta jak ona powzięła sentyment do kulawego baroneta, bliskiego sześćdziesiątki, warto by o tym pomówić” — zwierzył Scott sekret swemu *Dziennikowi*.

Jesienią roku 1826, po drodze do Paryża, dokąd udał się po materiały źródłowe, potrzebne mu do *Życia Napoleona*, Scott był na śniadaniu w Windsorze u Jerzego IV. Nic nie wskazuje na to, aby „nasz przyjaciel grubasek” poruszył sprawę kłopotów, które spadły takim ciężarem na człowieka, mianowanego przezeń baronetem, na powieściopisarza, którego kiedyś „spośród wszystkich w Szkocji najbardziej pragnął zobaczyć” — w ogóle nie było mowy o tym, aby król uczynił choćby jakiś gest pomocy.

W stolicy Francji podziwiano Scotta i adorowano jak zwykle, a szczególnym uwielbieniem otaczały go „stadka księżniczek rosyjskich”, przystrojonych na jego cześć w tartan. I jak zwykle, chociaż mówił, że nadmiar śmietanki towarzyskiej nie zaszkodzi staremu żołądkowi, prędko znużył się tymi zachwyty, tak odmiennymi w smaku od szkockiej uprzejmości, zawsze zaprawionej kostycznym dowcipem:

„Francuzi przesadzają w swoich grzecznościach — wpadają o każdej porze i doprowadzają człowieka do szału komplementami”.

Najważniejszym zapewne zdarzeniem w czasie tego pobytu było spotkanie z Fenimorem Cooperem, podówczas konsulem amerykańskim. Cooper zwrócił uwagę sir Waltera na fakt, że po drugiej stronie Atlantyku jego powieści są wydawane bez zezwolenia autora, a wydawcy-piraci robią na tym fortuny. Scott poprzednio odrzucił wszelkie propozycje sprzedania Amerykanom praw autorskich, twierdząc, że to, co dostaje za swoją twórczość literacką w Anglii, to już i tak za dużo! Ale teraz czasy i okoliczności się zmieniły. Pisarz nie mógł odrzucać żadnych uczciwych sposobów, za pomocą których jego wierzyciele dostaliby prędkiej należne im pieniądze. Wobec tego, że Cooper podjął się występować w roli bezpłatnego agenta, szybko doszło do porozumienia z amerykańskim wydawcą, który zapłacił za prawa wydawnicze *Życia Napoleona*.

Sir Walter znał Coopera jako pisarza, ale nie mógł wiedzieć, że autor *Ostatniego Mohikanina* powieścią swoją oddał taką samą przysługę amerykańskim Indianom — chociaż nie byli jego rodakami — jaką Walter Scott swoim współrodakom, szkockim góralom.

W powrotnej drodze Scott zatrzymał się w Londynie, głównie po to, aby zasięgnąć opinii księcia Wellingtona co do rosyjskiej kampanii Napoleona. Księżę był tak wymowny, że Scott żałował, iż nie zasięgnął jego rady w sprawach innych bitew i kampanii, opisanych w *Życiu Napoleona*.

Podróż rozerwała i ożywiła owdowiałego pisarza. A potrzebował świeżych, miłych wspomnień, by podtrzymywały go na duchu w ciągu nadchodzącej zimy, która okazała się bardzo uciążliwa, przynosząc ze sobą różne przeziębienia, bolesne dolegliwości żołądkowe i cierpienia reumatyczne tak ostre, że zawodziła nawet jego wytrzymałość i upór w pracy. Wspominał z gorzkim żalem, jak troskliwie i umiejętnie pielęgnowała go Charlotta w dawniejszych chorobach. W *Dzienniku* pisze o braku tej czulej troskliwości ze strony osoby, „która zawsze była gotowa nieść pomoc i ulgę, lekkim krokiem podchodząc, poprawiając poduszkę z cichymi słowami współczucia... Odeszła na zawsze — zawsze — zawsze”.

Jednakże, jeśli tylko bóle pozwalały, codziennie pracował, dyktując Robertowi Hoggowi, bratankowi swego starego przyjaciela, poety-pasterza. Aby nadrobić czas stracony na chorobę, zmienił znowu rozkład dnia. Śniadanie i obiad podawano mu na tacy do gabinetu, tak aby prawie bez przerwy mógł dyktować od szóstej rano do szóstej wieczorem. Nie była to praca twórcza. Były to kompilacje, opowiadanie na podstawie obszernych notatek, poczynionych dawniej do *Życiorysu Napoleona*, niemniej jednak człowiek czuje się zmęczony na samą nawet myśl o takiej nieprzerwanej, godzinami trwającej pracy literackiej.

Ale osiągnął swój cel. W styczniu 1827 r. człowiek, który był najpopularniejszym poetą, a później najpopularniejszym powieściopisarzem, stał się z chwilą publikacji dziewięciu tomów *Życia Napoleona* — najpopularniejszym historykiem. W poezji był pionierem nowej formy — romantycznej powieści poetyckiej. W powieści wskazał innym sposób pisania historii pod postacią romansu. A w tym nowym rodzaju literackim dał przykład, który mieli naśladować i udoskonalić Macaulay, Thomas Carlyle i inni — przedstawienie udokumentowanych faktów historycznych w sposób tak obrazowy, aby się to czytało jak powieść.

Nikt dziś nie czyta *Napoleona* Scotta, a nawet rzadko się o nim wspomina. Dzisiejszemu czytelnikowi wydałby się powierzchowny, brak tu zrozumienia tła historycznego — zwłaszcza światowych wpływów i znaczenia Wielkiej Rewolucji Francuskiej — a nazbyt dużo, jak na pracę popularną, skrupulatnej drobiazgowości. Autor nazwał Napoleona „bez wątpienia wielkim człowiekiem”, któremu jednak „daleko było do tego, by być dobrym człowiekiem albo dobrym władcą”. Scott chciał oddać sprawiedliwość wielkości, ale sam był człowiekiem dobrym i nie potrafił przedstawić przekonywająco wielkości bez dobroci. Narracja jest zręcznie skonstruowana, opisy bitew i kampanii pełne barwy i życia. Ale w drugiej połowie lektura zaczyna się dłużyć, autor powtarza się, jakby był już bardzo znużony swą pracą — a z pewnością był — i jakby stracił poczucie krytycyzmu w stosunku do własnej twórczości.

Początkowo projektowano *Życie Napoleona* na nie więcej niż 500 stron. Gdyby Scott zatrzymał się na tym, gdyby odrzucił pokusę komentowania i pozostał przy narracji, mogłaby w rezultacie powstać rzecz lepsza, rodzaj podstawowej biografii — jak praca współczesnego Scottowi Roberta Southeya, *Życie Nelsona*, z której późniejsi pisarze czerpali, ale z którą nie mogli zwycięsko konkurować.

Niejasności, powtarzanie się, rozwlekłe tempo, a więc wady, które dziś rzucają nam się w oczy, Wielki Anonim widział sam i pisał w *Dzienniku*, iż od tej biografii bolą go oczy, głowa, plecy i serce. Ale przewidział także efemeryczne powodzenie: „To jedyna z moich rzeczy, której sukcesu mogę się spodziewać z niejakim przekonaniem”. Dwa duże nakłady rozeszły się w krótkim czasie — sukces niebywały dla dzieła tego typu. Za te dwa nakłady wierzyciele otrzymali 18 000 funtów. Inne książki Scotta nadal rozchodziły się i przynosiły dochód. Ci, dla których pracował, nie mieli powodu żałować układu zawartego z pisarzem, broniącym swego szlacheckiego honoru. Istotnie, trzeba przyznać, że jako rezultat pracy dwóch lat, w ciągu których pisał również powieści, nowele, artykuły, pełnił swoje obowiązki urzędowe, przeżył katastrofę finansową i śmierć najbliższej mu osoby — *Życie Napoleona* było olbrzymim osiągnięciem.

Niebawem sir Waltera zalał istny potop listów z prośbami o biografię od rodzin, które wśród portretów na ścianach dworu czy zamku miały podobiznę przodka o nazwisku zapisanym na kartach historii. Odrzucał wszystkie te oferty, nie napisał też książki, która po dziś dzień czeka na autora, a którą on mógł napisać lepiej od innych — biografii swego uwielbianego bohatera, księcia Wellingtona. Jego płodny umysł pracował już nad czym innym; nad historią nie jednego człowieka, ale narodu, historią, którą napisał właściwie nie dla czytelników, ale dla jednego chorowitego i ukochanego dziecka — swego wnuka Johna Hugha Lockharta.

Wydanie biografii Napoleona miało jeszcze jeden dość zabawny skutek. Generał Gourgaud, który był oficerem ordynansowym Napoleona w czasie kampanii rosyjskiej, uratował życie cesarza pod Brienne, walczył pod Waterloo i przez jakiś czas dzielił los wygnańca na Wyspie Św. Heleny, obraził się z powodu pewnych określeń swojej osoby w *Życiu Napoleona*. Nadeszła wiadomość, że Gourgaud postanowił wyzwać pisarza na pojedynek. Po raz pierwszy od chwili śmierci Charlotty w Scotcie obudziła się dawna zadzierzystość. „Jasne jest dla mnie — pisał w swoim *Dzienniku* — że najtrudniej przebacza się człowiekowi na jakiegokolwiek drodze życia brak cechy zwanej hartem. Wszystkie inne piękne zalety nie mogą nadrobić braku tej jednej. Powiadają, że geniusz poety szczególnie trudno daje się pogodzić z tą grenadierską cechą. Jeśli tak, „quel chien de genie!” (diabła wart taki geniusz). Will Clerk zgodził się wystąpić w charakterze sekundanta, a do pojedynku przygotowano pistolety samego Napoleona, które Scott kupił na jakiejś licytacji. Ale spotkało go rozczarowanie. Jakiś

przyjaciół generała, mądrzejszy widać od niego, nie pozwolił na wystąpienie wyzwania. Zamiast pojedynku ukazał się w prasie list sir Waltera, wyjaśniający, dlaczego tak, a nie inaczej wyrażał się o generale Gourgaud, oraz wściekła odpowiedź tegoż generała. Taki był koniec całej sprawy.

Nowele, które pisał jednocześnie z *Życiem Napoleona*, zostały wydane w tym samym roku, ale nie zdobyły takiego powodzenia. *Kroniki Canongate*, opublikowane jako „redagowane przez Chrystala Croftangry”, ujawniły nowe możliwości talentu autora. Scott nie koncentrował się teraz w swej twórczości na charakterach, co było jego dawnym mocnym punktem, lecz na analizie psychologicznej. Jedną z trzech nowel tego tomu, zatytułowana *The Two Drovers*, wytrzyma konkurencję z każdą nowelą w języku angielskim. Opowiada o waśni między szkockimi i angielskimi poganiaczami o bydło i o tym, jak góral, zabijając nożem swego przyjaciela, sam oddaje się w ręce sprawiedliwości, ofiarując swoje życie w zamian za życie, które wziął. Porównanie sposobu myślenia tych dwóch ludzi z sąsiednich, ale różnych narodowości jest przeprowadzone po mistrzowsku. Ballantyne skrytykował nowelę, ale Scott obronił ją, mówiąc do swego drukarza i przyjaciela: „Nie bywam na ogół uparty, ale tym razem jestem w nastroju do uporów!” Jego upór okazał się uzasadniony. Ballantyne nie rozumiał, że laird Abbotsfordu raz jeszcze po pioniersku torował nowe drogi. *Kroniki Canongate*, dziś prawie zapomniane, stanowią jeden z najwcześniejszych przykładów *genre'u* literackiego, który miał później osiągnąć taką popularność — studium psychologicznego.

W Abbotsfordzie zdarzyła się tragedia w wydaniu miniaturowym. Biedny Hinze, najukochańszy ze wszystkich kotów, zestarzał się i stał się mniej zwinny niż za swoich młodych lat. Od dawna miał zwyczaj sadzić się na krześle w pobliżu drzwi i łapą zadawać nieraz wcale bolesne ciosy każdemu psu, który wchodził lub wychodził. Maida znała dobrze Hinze'a, przywykła do niego, a sama już leciwa, pojmowała zapewne humory starczego wieku. Następcą Maidy, Nimrod, był młody, szybki i drażliwy. Jako pierwszy z psów swego pana uważał, że byle kot nie ma prawa pozwalać sobie na brak szacunku wobec niego. Parę już razy próbował zemścić się na Hinze'u, ale kot umykał w porę na najwyższy szczebel drabiny, która stała przy półkach z książkami. Aż nadszedł dzień, kiedy stary kot spóźnił się o włos... Pan obu zwierzków powiedział, że strata była dlań równie bolesna, jak dla Robinsona Crusoe bolesna była strata jego kota.

Późną jesienią roku 1827 Zofia z małym Hughem przyjechali do Abbotsfordu i dziadek z radością stwierdził, że chłopiec poprawił się i wzmocnił na tyle, że mógł razem z nim jeździć na kucyku po polach i lasach. Jak odmienne teraz od dawniejszych były rozrywki Scotta! Żadnych wielkich przyjęć, hucznych polowań, tłumów gości. Największą radością były przejażdżki konne z małym wnukiem.

Po wyjeździe Lockhartów nawet przejażdżki konne trzeba było zarzucić. Scott od dawna cierpiał na reumatyzm, wybrał więc Douce Davie jako swego wierzchowca, ponieważ był to koń spokojny, leniwy i kłusował z minimalnymi wstrząsami. Pewnego dnia Scott skierował konia do strumienia. Douce Davie wszedł do wody z przyjemnością, jednakże nie dość mu było napić się. Chciał zażyć kąpieli i bez ceremonii położył się w strumieniu razem z jeźdźcem. Tom Purdie rzucił się do wody, by wynieść Lairda na brzeg. Douce Davie zerwał się na nogi i wylazł na brzeg, a sir Walter, stojąc w wodzie, pokiwał surowo palcem i wypowiedział wierzchowcowi służbę w następujących słowach: „Służyłeś mi wiernie i nawet teraz nie potępiam cię całkowicie: ale niech kto inny siada na twój grzbiet, ja już nie będę. Idź teraz do domu, a później poszukaj sobie nowego pana!”

KONIEC „WIELKIEGO ANONIMA”

„Jesteśmy pielgrzymami na krótki czas; wieczór jest z konieczności najtrudniejszą i najbardziej chmurną częścią naszej wędrówki, ale dopóki cel jest wyraźny, a wola silna, podróż trwa.” Tak pisał sir Walter w roku 1827 do swego przyjaciela, Jamesa Morritta. Słowa te określały lata po krachu finansowym i śmierci Charlotty. Może też tłumaczyły, dlaczego Scott zdecydował się wreszcie odrzucić swoje incognito. Krótko miał już trwać czas, kiedy mógł być publicznie uznawany za autora *Waverleya*.

Sposobności do zdjęcia przyłbicy dostarczył bankiet teatralny w Edynburgu, na którym Laird, po raz pierwszy występując publicznie od czasu swych nieszczęść, był przewodniczącym. Niejaki lord Meadowbank miał wzniesć toast za zdrowie sir Waltera Scotta. Tuż przed swym przemówieniem lord pochylił się do Scotta i zapytał, czy nie miałby zastrzeżeń, gdyby on wspomniał w swojej mowie o autorstwie jego powieści. Scott zgodził się, prosząc tylko Meadowbanka, by nie robił dużo hałasu z powodu tej starej sprawy. Uszczęśliwiony mówca, nie dbając o zastrzeżenie Scotta, wygłosił wspaniały panegiryk, kończąc słowami, że wznosi toast za zdrowie tego, „który zapewnił Szkocji nieśmiertelne imię dlatego chociażby, że Szkocja go zrodziła”. Całe towarzystwo zerwało się na nogi, niektórzy nawet powskakiwali na krzesła, wiwatując, krzycząc i tupiąc na znak aprobaty.

W odpowiedzi sir Walter odrzekł: „Różdżka jest teraz złamana, a księga pogrzebana”. Nieco później wznosił toast za zdrowie aktora Karola Mackaya, którego podziwiał w roli Nicola Jarvie w teatralnej przeróbce powieści *Rob Roy*. „Na me zbawienie! — wykrzyknął Mackay. — Mój zacny ojciec dziekan nigdy nie uwierzy, że jego syna spotkał taki zaszczyt ze strony Wielkiego Anonima we własnej osobie” A Scott siadając po wychyleniu toastu odpowiedział: „Teraz już nie Wielki Anonim, tylko Mały Znajomy, panie Jarvie!”

Sir Walter Scott może odczuwał już znużenie „wieczornej pory życia”, ale nadal miał jeszcze dość energii do rzeczy, które mu sprawiały satysfakcję. Pisał teraz nie o człowieku, ale o całym narodzie, i nie dla dorosłych, lecz dla małego chłopca. Zatytułował książkę *Stories of My Grandfather (Opowieści dziadunia)*; była to uduktowana historia Szkocji od czasów okupacji rzymskiej do końca ostatniego ważniejszego powstania na rzecz Stuartów w roku 1745 — 46. Jeżdżąc konno z małym wnukiem, opowiadał mu niektóre sceny z dziejów Szkocji, by dowiedzieć się, ile przyszły młodociany czytelnik albo słuchacz będzie mógł zrozumieć.

Teraz pisał tę książkę, która — chociaż późniejsi historycy podważyli niektóre fakty i interpretacje — pozostała jedną z najmilszych w czytaniu popularnych książek historycznych. Praca nad nią sprawiała mu ogromną przyjemność: „Dziś ranek chmurny, wilgotny i nieprzyjemny, toteż zabrałem się do mych *Opowieści* jak smok. Zamordowałem Maclellana of Bomby w zamczysku Thrieve, zasztytowałem Czarnego Douglasa w mieście Stirling, zaskoczyłem króla Jakuba pod Roxburgh i zadusiłem hrabiego Mar w kąpieli w Canongate”.

Entuzjazm autora był bez wątpienia tym większy, że wierzyciele zgodzili się wyłączyć honoraria za *Opowieści dziadunia* z należności trustu, jako dowód uznania dla iście tytanicznej pracy autora. W dwa lata Scott zarobił dla trustu 40 000 funtów, co stanowiło dwa razy więcej, niż przeciętnie wynosiły jego literackie zarobki, gdy pracował dla siebie. Wierzyciele otrzymali obecnie pierwszą dywidendę — sześć szylingów za funta — co było najlepszym dowodem ich rozsądku, gdy zgodzili się

nie doprowadzać do bankructwa, a jednocześnie świadczyło o nadzwyczajnej wytrwałości i pracowitości Scotta.

Wierzycciele Constable'a zaproponowali teraz sprzedanie praw wydawniczych tych powieści Scotta, które ten wydawca niegdyś nabył. Trust zgodził się zakupić je do spółki z Cadellem, dawnym współnikiem zmarłego ostatnio Constable'a. Był to dalszy powód do satysfakcji, gdyż dzięki temu autor mógł przygotować zbiorowe wydanie swoich dzieł, zarówno prozy, jak i poezji, z przypisami historycznymi i objaśnieniami. „Jeżeli umrę ciągnąc mój zaprzęg, co jest bardzo prawdopodobne, umrę z honorem.”

Opowieści dziadunia, wydane w roku 1827, zdobyły od razu ogromne powodzenie, co znacznie poprawiło finansowe położenie Scotta i ułatwiło życie córce Annie, która wciąż narzekała na obsesyjną oszczędność ojca. Coraz ciężiej chory na kręgosłup małż John Hugh Lockhart, któremu ta książka była dedykowana, wyraził za pośrednictwem pewnej pani, przyjaciółki rodziny, swoją całkowitą aprobatę dla *Opowieści dziadunia*, z jednym zastrzeżeniem: „Nie lubię rozdziału o cywilizacji i proszę, żeby dziadunio nigdy więcej nic o tym nie mówił, bo nie lubię tego wcale”. A co małż Johnnie lubił, okazało się, gdy po wysłuchaniu dziadkowych opowieści z dziejów Szkocji spróbował zasztyletować swego małego braciszka — nożyczkami w braku sztyletu.

Na rzecz wierzyccieli poszedł dochód z następnej powieści Scotta, *The Fair Maid of Perth* (*Piękna dziewczyna z Perth*), wydanej w marcu 1828 r. Akcja tej powieści rozgrywa się w XIV wieku i rozpoczyna się od próby porwania Catherine Glover, owej „piękne dziewczyny” z tytułu. Porwanie udaremnia płatnerz Henry Smith, który się kocha w Katarzynie. Historia wysiłków niefortunnego uwodziciela, dążącego do zemsty, prowadzi czytelnika poprzez pojedynki, bitwy klanów, morderstwo i samobójstwo do ostatecznego połączenia Henryka i Katarzyny. Powieść czyta się przyjemnie. Mamy tu jeszcze jednego z nie zaspokojonych i wewnętrznie rozdartych bohaterów Scotta; jest to młody wódz górali, którego tym razem autor potraktował według swej nowej metody, opisując go nie tyle przez postęпки, które okazują się po prostu tchórzliwe, ile odtwarzając wnikliwie jego stany psychiczne. W powieści znowu świetnie jest ukazany kontrast pomiędzy coraz bardziej wyrafinowanym życiem miast dolnej Szkocji a prymitywem gór.

Ogromne powodzenie *The Fair Maid of Perth*, do którego przyczyniło się być może ostateczne zdjęcie przezroczystej zasłony anonimowości, dodało autorowi otuchy i ufności, że ma jeszcze nadal dość sił, by zabawić czytelników, a wierzyccielom posłużyło jako dalszy dowód, że oczekiwanie na spłatę należności nie potrwa już długo.

Niestety, zły stan zdrowia sir Waltera jeszcze się pogorszył. Do reumatyzmu dołączyły się bóle głowy, wzrok nie dopisywał. Pojawiły się objawy, początkowo nie rozpoznane, zbliżającej się apopleksji. Objawy te jednak przestraszyły pisarza, który donosił swemu synowi Walterowi: „W ciągu ostatnich trzech dni uszło ze mnie bardzo dużo krwi... Nie zamierzam umierać ani o chwilę wcześniej z tego powodu, ale gdy tak wciąż wydalam krew, wydaje mi się, że niebawem będę musiał spocząć w ziemi”.

Jednym z objawów jego poważnego stanu zdrowia była zmiana charakteru pisma, które stało się do tego stopnia nieczytelne, że nawet on sam miał trudności z odcyfrowaniem własnych notatek. Towarzyszył temu zanik wyobraźni, która czasem zawodziła go w środku rozdziału, tak iż musiał odkładać pracę, aż głowa przestanie mu płać przykre figle. Trwało to przez cały rok 1828.

W następnym roku zaczęły się ukazywać pierwsze tomy zbiorowego wydania dzieł Scotta. Był to triumf: miesięcznie rozchodziło się 35 000 egzemplarzy. Ale pisarz tymczasem tracił swoich dawnych przyjaciół, co jest jedną z kar za długie życie. Aktor Terry, sir William Forbes — mąż Wilhelminy, a później tak niespodziewanie lojalny przyjaciel odrzuconego wielbiciela swej żony — Archibald Constable i ów lord Buchan, który niegdyś chciał zająć się pogrzebem pisarza — wszyscy odeszli. A James Ballantyne, chociaż żył jeszcze, był jak umarły dla dawnego patrona, gdyż po śmierci swej żony uległ manii religijnej, którą Scott uznał za jedną z form tak mu zawsze wstrętnego roztkliwiania się nad sobą.

Czekały Lairda jeszcze gorsze przeżycia. Gdy przed paru laty Tom Purdie zachorował, Scott pielęgnował go z czułością kobiety i pisał: „Już prawie byłbym utracił mego biednego Sancho Panse”. Tym razem, w październiku 1829 r., nie było już miejsca na „prawie”: śmierć przyszła nieodwołalnie. Po skończonej całodzienniej pracy lojalny towarzysz Lairda usiadł przy stole, wsparł się na nim i zasnął — by nigdy więcej się nie obudzić. Zrozpaczony Scott potrafił się jednak zdobyć na smutny żart, mówiąc, że chciałby kazać napisać na grobie Toma: „Tu leży człowiek, któremu można było powierzyć nie policzone złoto, ale nie nie zmierzoną whisky”. Stratę odczuł bardzo boleśnie i nie otrząsnął się z tego już nigdy. Wkrótce potem pisał do przyjaciela: „Tak przywykłem do tego biedaka, że teraz czuję się, jak bym utracił ręce i nogi, gdyż on był zawsze gotów zastąpić mi moje członki. Chciałem ściąć drzewo, Tom już był obok z siekierą... Chciałem wejść na trudną ścieżkę, mocne ramię Toma już mnie wspierało”.

W tym czasie w Anglii coraz bardziej nagłaża stawała się potrzeba emancypacji katolików, którzy jako obywatele nadal nie byli pełno uprawnieni z powodu swoich przekonań religijnych. Głos opinii publicznej wywarł nacisk na parlament. Scott tak dalece zmienił własną opinię w tej sprawie, wyrażoną przed dwudziestu pięciu laty, iż na publicznym zgromadzeniu w Edynburgu wystąpił z wnioskiem o emancypację katolików. Gdy petycja szkocka została odczytana w Westminsterze, posłowie wstali i wiwatowali na cześć sir Waltera Scotta. Powodzenie dodało mu może bodźca do zajęcia się polityką — ale już następne posunięcie na tym polu miało pozostawić bardzo gorzki posmak.

W roku 1829 ujrzała również światło dzienne *Anna z Gerstein*, książka dla młodzieży, która zaczyna się od opisu krajobrazu Szwajcarii i na tle XV wieku snuje opowieść pełną zabobonów, wizji, tajnych stowarzyszeń, lochów, niewytłumaczalnych zniknięć i całego warsztatu „romansu grozy”. Ale bohaterowie, Artur i Anna, są istotnie czarującymi kochankami, a prócz tego galeria szwajcarskiej młodzieży jest doskonale sportretowana. Książka rozchodziła się dobrze, prawdopodobnie wśród czytelników nowych dla Scotta. A tymczasem regularnie pojawiające się tomy dzieł zebranych nadal biły rekordy nakładu. Cadell miał się wyrazić: „Wszystkie dotychczasowe sukcesy wydawnicze są żartem w porównaniu z tym”.

Pewnego ranka w lutym 1830 r., po doskonałym śniadaniu, na które złożyły się jaja i wołowina, Scott siedział za stołem z gościem, z którym omawiał sprawę jakichś pamiątek, przygotowywanych właśnie do druku. Gdy gość się pożegnał, Scott wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie Anna siedziała z przyjaciółmi. Na widok ojca Anna zemdląła. Twarz Scotta była nienaturalnie ściągnięta na jedną stronę, mówił niewyraźnie, bełkotliwie, a po chwili przestał mówić w ogóle. I tylko chodził tam i z powrotem po pokoju, spoglądając co chwila na zegarek i na pozór nie zwracając żadnej uwagi na

nieprzytomną córkę. Przyjaciele ocucili Annę, a Laird stanął, schował swój zegarek i rzekł: „Piętnaście minut”. Sprawdzał z zegarkiem w rękę, na jak długo utracił mowę.

Doktorzy przepisali mu lekarstwa, dietę, zabronili pić wino, palić tytoń i pracować. Był posłuszny we wszystkim prócz jednego: pracował, mówiąc, iż „nie ma innego lekarstwa na coraz cięższą chorobę prócz śmierci, a to nieprzyjemna kuracja”. Umysł jego, który już od pewnego czasu nie działał tak sprawnie jak dawniej, teraz coraz częściej odmawiał posłuszeństwa. W parę miesięcy później Scott rzekł się pracy w sądzie, otrzymawszy dożywotnią pensję w wysokości 840 funtów rocznie. Rząd w Londynie ofiarował się uzupełnić tę sumę do wysokości 1 300 funtów, ale pisarz miał jeszcze dość energii, by odmówić: „Słusznym jest, abym zachował moją niezależność — przywilej swobodnego przemawiania do mych współrodaków”. Nie chciał, aby posądzano go, że będzie przemawiał tak lub inaczej dlatego, że jest opłacany przez rząd.

W listopadzie, po obiedzie, którym podejmował gością pijąc whisky wraz z nim, sir Walter upadł bez przytomności na podłogę w swoim sypialnym pokoju. Nikt nie usłyszał jego upadku i gdy wrócił do przytomności, sam zawlókł się do łóżka, nikogo aż do rana nie przerażając smutną wieścią.

W tym czasie właśnie Scott po raz drugi uznał, że trzeba znowu zabawić się w polityka i przemówić do rodaków. Gdy był u szczytu sił intelektualnych i powodzenia, unikał czynnego mieszania się do życia publicznego, wyjąwszy sprawy towarzyskie i artystyczne. Wiadomo było, że jest przekonany konserwatywnych, ale prócz głosowania nie brał czynnego udziału w żadnej kampanii politycznej. Teraz, gdy liczył sześćdziesiątkę, gdy umysł nie działał już sprawnie gdy zmagał się z ogromnymi przeciwnościami, jakiś demon, związany może z jego stanem fizycznym, skusił go, by wmieszać się w sprawy, do których rodzaj jego wyobraźni i sposób życia wcale go nie czyniły powołanym. Jego interwencja nie wpłynęła na przebieg spraw ani w sposób ujemny, ani dodatni, a jedynym rezultatem była osobista przykreść i przekonanie — niezupełnie słuszne — że nierozsądnie poświęcił popularność, którą miał dawniej wśród wszystkich sfer społeczeństwa. To przekonanie dręczyło go nawet w przedśmiertnej malignie.

Cała Wielka Brytania przeżywała stan podniecenia w związku z reformą prawa wyborczego, którego rozszerzenie było sprawą oczywistą i pilną. Dla ludu pracującego walka ta była wojną o elementarne przywileje. Istotnym skutkiem reformy, którą wprowadzono w życie w dwa lata później, było przejście władzy z rąk wielkich właścicieli ziemskich do rąk wielkich przemysłowców — ale o tym miano się przekonać dopiero po fakcie.

Scott wmieszał się do kampanii — po stronie reakcji. Napisał artykuł, w którym zaatakował nie szczegóły nawet, ale samą zasadę reformy, i od opublikowania tego artykułu z największym trudem powstrzymały go połączone wysiłki Laidlawa, Cadella i Jamesa Ballantyne'a, którzy z nieprzepartą logiką udowadniali mu, że nie nadąża za swoimi czasami. Ale nie mogli przeszkodzić mu w wystąpieniu na wiecu urządzonym przez anty reformistów w Jedburghu. Przemawiał z wahaniem, niewyraźnie, a słowa jego przerywało gwizdanie i krzyki większości obecnych, zapalonych reformatorów. Wobec takiego przyjęcia odparł nietaktownie: „Tyle dbam o wasze hałasy, co o gęganie gęsi na murawie”. Taka zniewaga własnych rodaków, których w rzeczywistości głęboko ukochał, nie była do pomyślenia wówczas, gdy był w pełni władz umysłowych i sił żywotnych.

W dwa miesiące później jego krewny, Scott z Harden, kandydował z okręgu Jedburgh z ramienia konserwatystów. Gdy nadszedł dzień wyborów, Anna i Zofia, która także była w Abbotsfordzie,

czyniły wszystko, co w ich mocy, by zatrzymać ojca w domu. Wierzyły, że im się to udało, aż do chwili, gdy ujrzały jego powóz podjeżdżający przed dom. Lockhart przekonał go, aby przynajmniej pozwolił mu towarzyszyć sobie. Tłumy w Jedburghu obrzuciły powóz kamieniami, a gdy sir Walter wysiadł, jakaś kobieta plunęła na niego z okna. Próbował przemawiać, ale go zakrzyczano. Większość zwolenników reformy nie miała prawa głosu, więc Scott z Harden został wybrany głosami ziemian i ich pachołków, a ludność Jedburgha wrzała, rozgniewana jaskrawą niesprawiedliwością. Lairda Abbotsfordu trzeba było przeprowadzić bocznymi zaułkami do powozu, gdy wszedł, rozległy się krzyki, które miały mu brzmieć w uszach stale w ciągu tych paru krótkich miesięcy, jakie mu jeszcze pozostały do życia — „Udusić sir Waltera!”

Walter Scott był już wtedy, jak podaje Lockhart, chudy i wyniszczony chorobą, ubranie wisało na nim luźno, jeden policzek miał wykrzywiony. Mówił z trudnością, często zaczynał coś opowiadać tylko po to, by nagle przerwać w połowie, rozglądając się tępo po twarzach słuchających. Potykał się o meble. Kiedyś upadł na marmurową posadzkę sieni. Chodnik, który Anna położyła na posadzce, rozżłóścił go, jako sugerujący jego niedołęstwo, i odrzucił go łaską na bok.

Ale wbrew wszystkiemu, wbrew częstym skargom na „zamącenie umysłu”, pracował wytrwale, dyktując Williamowi Laidlaw nową powieść — *Count Robert of Paris (Robert hrabia Paryża)*. Próbował też po trochu podejmować gości, ale rezultat tej próby był fatalny. Po paru kieliszkach szampana wieczorem miał nowy atak. Gdy doktorzy go wreszcie opuścili na chwilę, dowiedział się, że Cadell i Ballantyne na podstawie przesłanych im pierwszych rozdziałów powieści uznali, że reputacji Waltera Scotta zaszkodziłoby opublikowanie „tak słabej książki”.

Natomiast wiele radości sprawiły mu odwiedziny syna, majora Waltera Scotta, który wzniosł toast za zdrowie ojca na ostatnim, jaki się odbył w Abbotsfordzie, bankiecie, dnia 17 września 1831 r. Pan domu jadł sucharki i popijał herbatką. Wśród gości, z których większość należała raczej do pokolenia majora Waltera niż jego ojca, znalazł się kapitan James Burns, syn poety Roberta. Następnego ranka Laird przyglądał się, jak jego syn-żołnierz przeskakuje konno wysoki mur, i wołał: „Patrzcie na niego! Tylko patrzcie na niego! Czyż to nie wspaniały chłopak?”

I znowu miłą wieścią było przekazanie sir Walterowi przez jego wierzycieli na własność wszystkich ruchomości Abbotsfordu, co traktowano jako dowód uznania dla jego honorowego postępowania i wdzięczności za nieporównane i jakże owocne wysiłki, które podjął dla ich dobra.

Może po tej nowinie sir Walter odetchnął i uznał, że jego zadanie jest spełnione. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że w obecnym, zmałym stanie umysłu uważał, że dług jest już w całości spłacony. W rzeczywistości pełne wyrównanie długu miało nastąpić dopiero w piętnaście lat po jego śmierci. A epilog zaprawiony był gorzką ironią, ponieważ w chwili, gdy to nastąpiło, wszyscy najbliżsi mu spadkobiercy, tzn. jego dzieci i najstarszy wnuk, już nie żyli.

Przerobiwszy z wielkim trudem opowieść *Count Robert of Paris* tak, aby zaspokoić życzenia Cadella i Ballantyne'a, i dołączwszy drugie opowiadanie, zatytułowane *Castle Dangerous*, Scott doczekał jeszcze wydania obu tych utworów, jako dalszego ciągu *Opowieści mego gospodarza*, w listopadzie 1831 r. Wydawca i drukarz mieli w pewnym sensie słuszość, tak ostro krytykując te opowiadania. Chociaż oparte na ciekawym i dobrym materiale, zdradzają już one ówczesny stan umysłu autora swoją zawiłością i niejasnością. Dziwić może tylko, że w ogóle ukazały się w druku, a jeszcze bardziej, że czytelnicy kupowali je i czytali z zapałem, co skłoniło sir Waltera do napisania w liście do zięcia:

„Wstydzę się, po raz pierwszy w życiu, tych dwóch powieści. Ale skoro myśląca publiczność przyjęła je tak przychylnie, nie pozostaje mi nic innego do zrobienia, jak tylko jeść swój pudding i trzymać język za zębami”.

Były to dwa ostatnie utwory, jakie miał dać czytelnikom sir Walter Scott, utalentowany powieściopisarz, który tak dobrze umiał wykorzystać zalety swych większych od siebie poprzedników, jak choćby Henryka Fieldinga, i wywarł ogromny wpływ na również większych od siebie następców, między innymi Balzaca i Tołstoja. Tłumaczono go na wszystkie możliwe języki i dzieła żadnego spośród pisarzy angielskich, prócz Szekspira, nie są tak często wydawane w tak wielu krajach.

A jeszcze większym od Waltera Scotta-pisarza — jakkolwiek go ocenimy — był Walter Scott-człowiek. Historia literatury niewiele zna postaci szlachetniejszych. Sportretował on Napoleona jako człowieka wielkiego, ale pozbawionego dobroci; o nim samym można powiedzieć, że jako pisarz nie był naprawdę wielki, ale nie można mu zarzucić, by jako człowiek nie był dobry.

„ROZDAWAŁ NIEWINNĄ ROZRYWKĘ”

Był koniec września roku 1831. Sir Walter przyjechał z Anną do Londynu i zatrzymał się u Lockhartów. Pani domu, do którego zaproszono pisarza na śniadanie, poszła na targ rybny — Billingsgate — by kupić wędzone śledzie, ulubioną potrawę gościa. Poprosiła przekupkę, by przesłała kupione ryby do jej domu. „Żałuję, proszę pani, ale pod ten adres to za daleko, nie będę mogła tam ryb dostarczyć.” „To kłopot — zastanawiała się głośno pani domu. — Teraz idę z wizytą i nie mogę się zjawić z rybami... A tak chciałam mieć te wędzone śledzie na jutro rano na śniadanie dla sir Waltera Scotta...” Przekupka natychmiast zmieniła zdanie: „Sir Walter Scott? Czy pani powiedziała sir Walter Scott? Dostarczę te śledzie dziś wieczór. Nie, nie dziś wieczór: jutro o siódmej rano dostanę świeży transport ryb. I najlepsze śledziki przyniosę dla niego na śniadanie. Sir Walter Scott! Kto by pomyślał, że ja będę dostarczać ryb dla sir Waltera Scotta! Powiadają, że on chorował; a jak się teraz czuje?” Następnego ranka, słuchając przy śniadaniu tego opowiadania, Scott zauważył: „Wydaje mi się, że jeszcze nigdy moje książki nie dały rezultatów, które by mi tak przypadły do smaku!”

Londyn miał być tym razem tylko przystankiem w dalszej podróży. Przypominając sobie, jak Henryk Fielding w ciężkiej chorobie wyjechał do Portugalii i jak pośmiertnie wydrukowano jego czarujące wspomnienia z tej podróży, Scott postanowił także wybrać się w podróż. Zimą zamierzał spędzić w Neapolu, gdzie syn jego Karol był teraz początkującym dyplomatą w poselstwie brytyjskim. Admiralicja pięknym gestem oddała do dyspozycji pisarza fregatę „Barham”, która miała go razem z Anną, Walterem i jego żoną zawieźć na Morze Śródziemne. Dnia 29 października wypłynęli z Anglii — w *Dzienniku* Scotta znajdujemy notatki o zimnej i wietrznej pogodzie i o niemożliwie kołyszającym statku. Panie trochę chorowały, ale pocieszały się względami uprzejmych oficerów marynarki, z którymi tak flirtowały, aż irytowało to starzejącego się Lairda. On sam spędzał długie godziny na pokładzie i ze wzruszeniem przypatrywał się, jak mijano Przylądek Św. Wincentego i Trafalgar, miejsca upamiętnione zwycięstwami Nelsona.

Na Malcie, pod koniec listopada, pisarz, który uniknął choroby morskiej, zaczął wyraźnie cierpieć na nostalgię. Syn jego zaobserwował, że ojciec pije więcej, niż powinien ze względu na stan zdrowia, i że nie przestrzega przepisanej diety. Scott zaczął pisać nową powieść — *The Siege of Malta (Oblężenie Malty)* — która nigdy nie została opublikowana. W dzień wyruszenia do Neapolu byli świadkami nieznacznego trzęsienia ziemi. Wydaje się, jakby przyroda chciała szczególnie upamiętnić tę podróż, bo w dzień przybycia do Neapolu, 17 grudnia, wybuchł Wezuwiusz, i to tak silnie, jak nie wybuchał od wielu lat.

Przyjęcia i uroczystości, którymi Neapol witał sławnego pisarza, męczyły go. Myślamy był w Szkocji, a ponieważ wydawało mu się, że już w całości spłacił swoich wierzycieli, zaczął więc rozważać możliwość dokupienia przyległych do Abbotsfordu gruntów, które właściciel chciał sprzedać za 10 000 funtów. Był roztargniony i w dziwnym nastroju. Gdy nadeszła wiadomość o śmierci jego ukochanego wnuczka, małego Johnnie Hugh Lockharta, nie okazał wiele zmartwienia i tegoż wieczoru poszedł do teatru na operę. Gdy zdechł ulubiony pies, Scott odwołał wizytę, na którą miał pójść. Można to wszystko wytłumaczyć tylko postępującą atrofią jego władz umysłowych.

Chwilami błyskał jeszcze dawnym dobrym humorem. Pisał np. do Willie Laidlaw, że neapolitańscy żołnierze „bardzo dzielnie się przedstawiają i sami mówią, że oprócz wojowania znają wszelkie

żołnierskie obowiązki nie gorzej od jakichkolwiek wojsk w Europie”. Na ogół jednak Laird nie był w owym czasie łatwym i przyjemnym towarzyszem.

Nadszedł Wielki Post i wesoły Neapol, gdzie co nocy odbywały się bale i maskarady i gdzie do modnych szaleństw należało obrzucanie kompanów zabawy kandyzowanymi owocami, otrzeźwiał nagle. Każdy się wstydził swoich szaleństw i starał się, jak mówił Scott, wyglądać poważnie. Planowano dłuższy pobyt w Rzymie, ale wszystkie plany zmieniono, gdy nadeszła niespodziewanie wiadomość o śmierci Goethego. Sir Walter zamierzał w powrotnej drodze odwiedzić w Weimarze wielkiego poetę, którego utwory w młodości przekładał na język angielski. Ale teraz śmierć poety odstraszyła go od zamiaru. „Niestety, Goethe nie żyje! On przynajmniej umarł w domu. Wracamy do Abbotsfordu.”

Zakupiono powóz, Karol otrzymał zwolnienie z poselstwa, by towarzyszyć ojcu — Walter już musiał wrócić do swego pułku — po czym z Anną i dwojgiem służby rozpoczęto dnia 16 kwietnia ciężką podróż przez Europę. Karol cierpiał na reumatyzm, Anna miała jakieś dolegliwości żołądkowe, a Laird był w kiepskim humorze. Gdy dotarli do Rzymu, okazało się, że Scott nie miał już cierpliwości do zwiedzania i obejrzał tylko grób ostatniego ze Stuartów. Tęsknił „za własnym kominkiem, własnym fotelem i własnym łóżkiem”, gdzie by mógł zasnąć i zapomnieć, może już na zawsze, o trudach tego niemiłego świata.

W Wenecji Scott na chwilę zainteresował się Mostem Westchnień, na którym stojąc deklamował początek Pieśni IV *Childe Harolda* Byrona. Tyrol, Monachium, Heidelberg, Frankfurt — nie miały dla niego żadnych uroków. Pogoda nie sprzyjała, chociaż był już początek czerwca. W Moguncji napisał — ostatni, jaki wyszedł spod jego pióra — list do Schopenhauera, przepraszając, że nie będzie mógł go przyjąć, gdyż czuje się nazbyt chory. W Kolonii dnia 9 czerwca miał następny, czwarty z kolei atak, ale wkrótce odzyskał przytomność na tyle, by upierać się przy dalszej podróży. W cztery dni później leżał w łóżku w pokoju hotelowym przy ulicy Jermyn w Londynie, nieprzytomny, mówiąc w malignie do zebranych wokół niego dzieci, że ludność Jedburgha obrzuca go kamieniami.

Hotel przy ulicy Jermyn stał się na trzy tygodnie centralnym punktem stolicy. Rodzina królewska przysyłała regularnie z zapytaniami o stan zdrowia porażonego Lairda, gazety ogłaszały codzienny biuletyn o jego chorobie, rząd ofiarował pomoc finansową, gdyby to było potrzebne. Lockhart pisze, że któregoś dnia zatrzymało go na ulicy kilku ludzi czekających na rogu; jeden z nich zapytał: „Przepraszam pana, ale czy to jest ulica, gdzie On leży?” Jak gdyby tylko jeden człowiek umierał w tej chwili w Londynie, dodaje Lockhart. Scott prawdopodobnie nie był już nigdy w stanie zrozumieć znaczenia tego incydentu, gdyż do końca cierpiał na obsesję niepopularności, którą ściągnął na siebie, jak mu się wydawało na zawsze, z powodu zajścia w Jedburghu.

Cierpiał na jeszcze jedną obsesję. Pragnął za wszelką cenę powrócić do Abbotsfordu. Doktorzy, wiedząc zapewne, że pacjentowi już nic nie zaszkodzi ani nie pomoże, zgodzili się wreszcie i dnia 7 lipca zniesiono Lairda na pokład parowca, który w dwa dni później przybił do ojczystych jego brzegów. Gdy zobaczył góry ukochanego Pogranicza, poweselał i zdawało się, że stan jego bardzo się poprawił. A gdy przyjechał do Abbotsfordu, z trudem tylko powstrzymano go od wyskoczenia z powozu.

Uznano, że najlepiej będzie zmienić wielką jadalnię na pokój sypialny dla Scotta. Tam go położono. Poznał Willie Laidlaw, który przyszedł go powitać, ale wkrótce znowu stracił rozeznanie i pamięć —

i tak leżał, a stęsknione za panem psy wspinały się na łóżko i lizały jego ręce. Przytomność wracała chwilami, ale rzadko kiedy na cały dzień. Kazał się wozić w fotelu na kółkach po ogrodzie i mówił: „Dużo widziałem, ale nic się nie może porównać z moim własnym domem, z moim własnym ogrodem”. Po takim spacerze kazał się raz posadzić za biurkiem, ale gdy mu włożono pióro w rękę, nie mógł go utrzymać bezwładnymi palcami — łzy popłynęły mu po wychudłych policzkach i osunął się w fotel.

W sierpniu nie mógł już wyjeżdżać do ogrodu. Umysł jego był zmaczony. Często nie poznawał własnych córek, bełkotał coś, co przypominało wyroki, jakie wydawał w sądzie, albo wołał Toma Purdie i kazał mu sadzić drzewa. Ale najczęściej w tym półprzytomnym stanie powracał do owej chwili w Jedburghu, kiedy mu wygrażały wrzeszczące tłumy, i powtarzał ów straszny okrzyk: „Udusić sir Waltera”.

Dni mijały i przynosiły ze sobą więcej spokoju, aż nadszedł spokój ostateczny. Cała rodzina zebrała się w Abbotsfordzie. Był to dzień 21 września 1832 r. Nie było nikogo, kto by pamiętał go z czasów, gdy jako mały chłopiec o włos tylko uniknął przedwczesnej śmierci z rąk na wpół obłąkanej niańki... Major Walter Scott, najstarszy syn, ucałował ojca i zamknął mu powieki.

Ze wszystkich zakątków Wysp Brytyjskich zjechali się wybitni i sławni ludzie, by iść w kondukcie pogrzebowym, wśród ludności ukochanego przez pisarza Pogranicza. Nie było ani chaty, ani dworu na wiele mil wokoło, skąd by mieszkańcy nie przyszli na pogrzeb, a wiele domostw opustoszało zupełnie na te godziny, bo poszli i państwo, i służba. Konie wyjazdowe z Abbotsfordu ciągnęły karawan do Opactwa Dryburgh, gdzie miano złożyć trumnę obok Charlotty. Gdy konie dotarły do miejsca, skąd rozciągał się ulubiony widok Lairda, zatrzymały się same i stały przez pół godziny, tak jak przywykły czynić za jego życia.

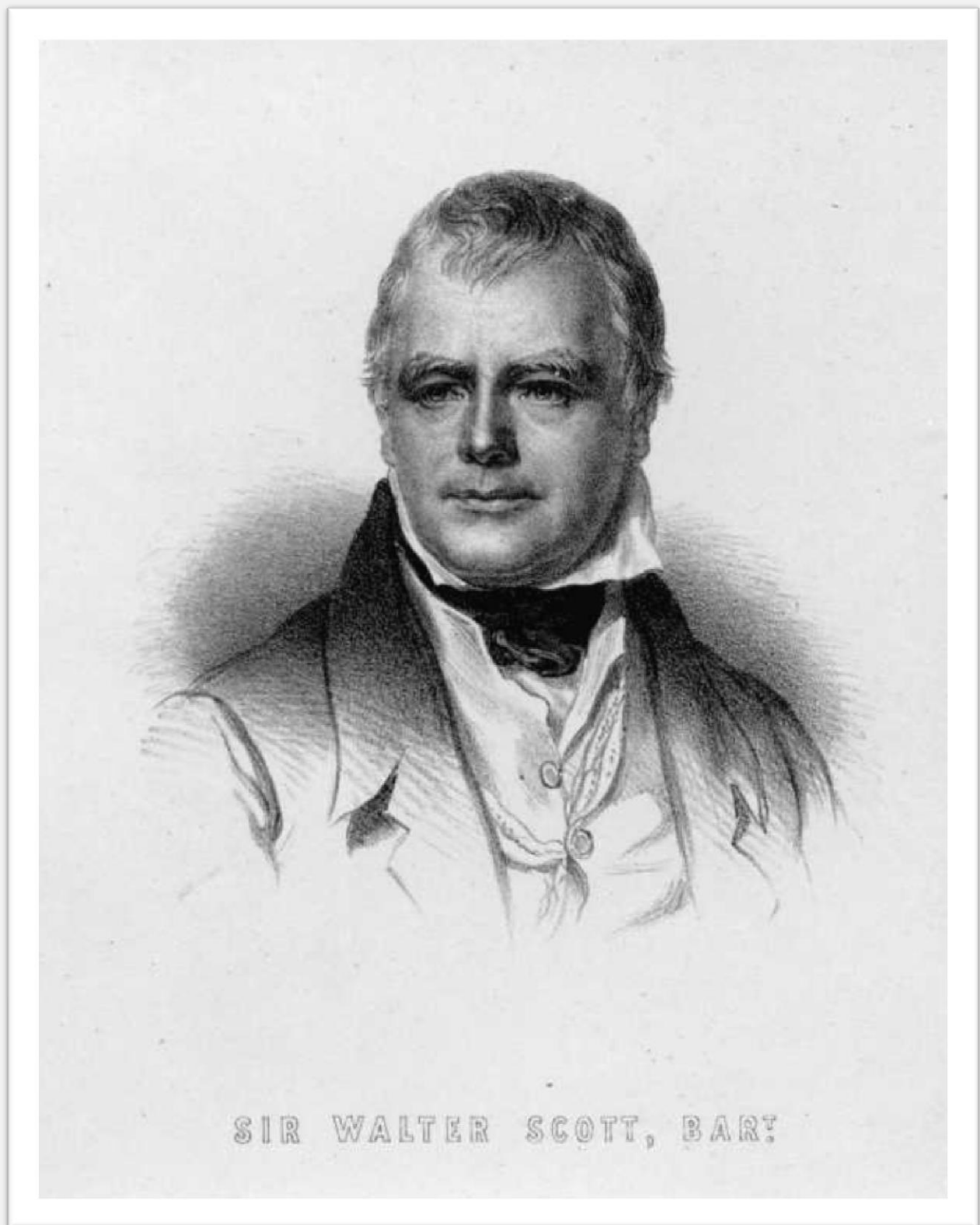
Przyjaciel sir Waltera, poeta William Wordsworth, napisał jego epitafium. Epitafium tego nikt nie zakwestionuje, a sam pisarz byłby się nim uradował: „Rozdał więcej niewinnej rozrywki, niż było udziałem jakiegokolwiek ludzkiej istoty w ciągu jej życia”.

SPIS ILUSTRACJI

1. **Henry Raeburn, *Sir Walter Scott*, 1822.** Z: Bridgeman Images
<http://www.bridgemanimages.com/en-GB/asset/68272>
2. **Walter Scott.** Z: Project Gutenberg. *The Modern Scottish Minstrel , Volume I., by Various*
<http://www.gutenberg.org/ebooks/18396>
3. **Tartan rodu Scottów.** Z: Wikipedia.org, File:Scott tartan (Vestiarium Scoticum).png
[https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Scott_tartan_\(Vestiarium_Scoticum\).png](https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Scott_tartan_(Vestiarium_Scoticum).png)
4. **Strój z tego tartanu nosił Walter Scott przyjmując króla.** Z: Wikipedia.org, File:Black Watch or Campbell tartan.svg
https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Black_Watch_or_Campbell_tartan.svg
5. **Rodzina Waltera Scotta w Abbotsford.** Ilustracja (rysunek) David Wilkie z „*The Poetical Works of Sir Walter Scott*”, wyd. Edinburgh 1851, s. tytułowa.
6. **Sandy Knowe, inaczej Smailholm.** Ilustracja (rysunek) W. Miller z „*The Poetical Works of Sir Walter Scott*”, wyd. Edinburgh 1851, s. 1.
7. **St. Mary's Loch.** Ilustracja (rysunek) W. Miller z „*The Poetical Works of Sir Walter Scott*”, wyd. Edinburgh 1851, s. 64.
8. **River Clyde below Greencoke.** Ilustracja (rysunek) E. Goodall z „*The Poetical Works of Sir Walter Scott*”, wyd. Edinburgh 1851, s. 548.
9. **Olbuck przy śniadaniu.** Ilustracja (rysunek) z W. Scott „*The Antiquary*”, wyd. Edinburgh 1871, s. tytułowa.
10. **Klify w pobliżu Arbroth.** Ilustracja (rysunek) R. A. Stanfield z W. Scott „*The Antiquary*”, wyd. Edinburgh 1871, s. 68.
11. **Melrose Abby.** Ilustracja (rysunek: S. Prout, miedzioryt: E. Findor) z W. Scott „*Abbot*”, wyd. Edinburgh 1871, s. 74.
12. **Ilustracja do „Narieczona z Lammermoor”, autorstwa Charlesa Roberta Leslie, 1886 r.**
Z: Wikipedia.org, File:Walter Scott Legend of Montrose Illustration.jpg
https://en.wikipedia.org/wiki/File:Charles_Robert_Leslie_-_Sir_Walter_Scott_-_Ravenswood_and_Lucy_at_the_Mermaidens_Well_-_Bride_of_Lammermoor.jpg
13. **Ilustracja do „A Legend of Montrose”, 1872 r.** Z: Wikipedia.org, File:Walter Scott Legend of Montrose Illustration.jpg
https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Walter_Scott_Legend_of_Montrose_Illustration.jpg
14. **Abbotsford, widok współczesny.** Z: Wikipedia.org, File:Abbotsford Aug2009 01.jpg
https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/e/ef/Abbotsford_Aug2009_01.jpg



1. Henry Raeburn, Sir Walter Scott, 1822



2. Walter Scott



3. Tartan rodu Scottów



4. Strój z tego tartanu nosił Walter Scott przyjmując króla



5. Rodzina Waltera Scotta w Abbotsford



6. Sandy Knowe, inaczej Smailholm



7. St. Mary's Loch



8. River Clyde below Greenocke



9. Oldbuck przy śniadaniu



10. Klify w pobliżu Arbroth



11. Melrouse Abby



FROM C. R. LESLIE, R.A.

RAVENSWOOD AND LUCY AT THE MERMAIDEN'S WELL.

As they arose to leave the fountain which had been the witness of their mutual engagement, an arrow whistled through the air, and struck a raven perched on the sere branch of an old oak.—PAGE 193.



13. Ilustracja do „A Legend of Montrose”, 1872 r.



14. Abbotsford House, widok współczesny

